

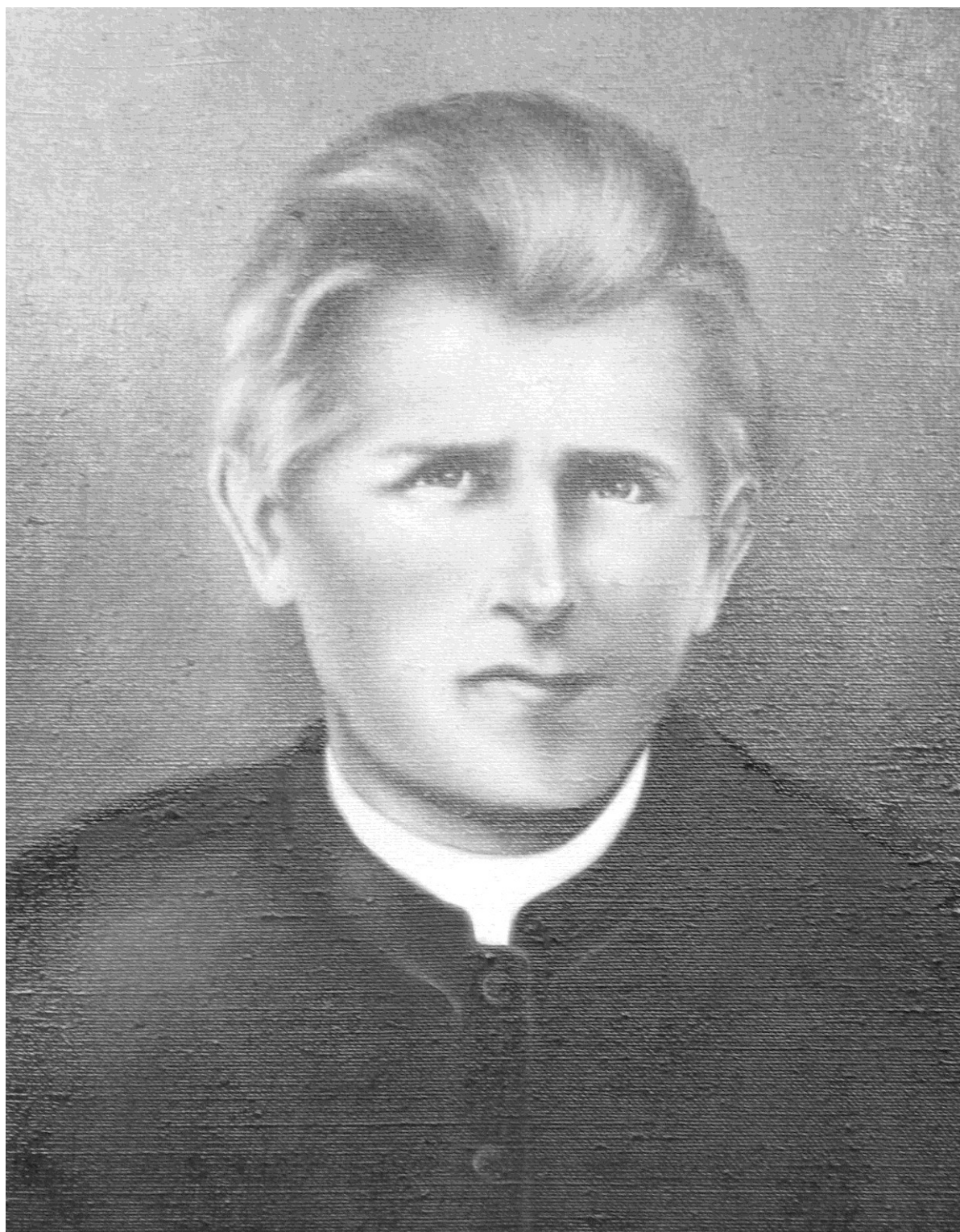
Astronomia – nauka i wiara

Tom II

Pamięci księdza Bonawentury Metlera



Częstochowa 2015



Ks. Bonawentura Metler
(1866 - 1939)

Astronomia - nauka i wiara

Tom II

Redakcja

Bogdan Wszolek

Instytut Fizyki w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie
Obserwatorium Astronomiczne Królowej Jadwigi w Rzepienniku Biskupim

Autorzy przyczynków:

Tomasz Barański
Jadwiga Biała
Kazimierz Błaszczak
Piotr Cebula
Grzegorz Czepiczek
Adam Kłóś
Łukasz Kopera

Jacek Marciniec
Krzysztof Maślanka
Francis Oger
Konrad Rudnicki
Virginia Trimble
Bogdan Wszolek
Stanisław Wszolek



Stowarzyszenie Astronomia Nova

oraz

Instytut Fizyki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie

Wersja elektroniczna wydania jest dostępna na stronie

www.astronomianova.org

Podstawową wersją wydania jest książka drukowana

Zespół recenzentów

Marek Biesiada, Marek Jamrozy, Krzysztof Maślanka

Redakcja naukowa

Bogdan Wszolek

Korektorzy

Bogdan Wszolek, Agnieszka Kuźmich

Redakcja techniczna

Bogdan Wszolek

Projekt okładki

Agnieszka Kuźmich, Bogdan Wszolek

© Copyright by Astronomia Nova oraz Wydawnictwo AJD w Częstochowie

ISBN 978-83-7455-436-7

Wydawnictwo im. Stanisława Podobińskiego
Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie
42-200 Częstochowa, ul. Waszyngtona 4/8
tel. (34) 378-43-29, faks (34) 378-43-19
www.ajd.czyst.pl
e-mail: wydawnictwo@ajd.czyst.pl

Do Czytelnika

Minęło 75 lat od męczeńskiej śmierci ks. Bonawentury Metlera – człowieka gorącej wiary i postępowej myśli, któremu badania przyrodnicze, a zwłaszcza astronomiczne, służyły pogłębianiu wiedzy o Bogu. W ślad za Kopernikiem, Keplerem i Galileuszem głosił Metler potrzebę dążenia do jedności między mistycznym i naukowym sposobem doświadczania rzeczywistości. Zdawał sobie sprawę, że ta jedność leży u podstaw postępu ludzkości, tak w zakresie materialnym jak duchowym.

W dniach 31 sierpnia i 27 września 2014 roku Stowarzyszenie Astronomia Nova, we współpracy z Akademią im. Jana Długosza w Częstochowie oraz z Oddziałem Częstochowskim Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii, oddało honory ks. Metlerowi, najpierw w Parzymiechach, potem w Planetarium Instytutu Fizyki Akademii im. Jana Długosza. W Parzymiechach odprawiono mszę świętą za duszę ks. Metlera, po której przemieszczono się uroczyscie na miejscowy cmentarz i, po odpowiednich przemowach okolicznościowych, złożono kwiaty na grobie księdza – astronoma. Cztery tygodnie później, zorganizowano w częstochowskim planetarium drugą, po wcześniejszej z 2009 roku, konferencję naukową *Astronomia – nauka i wiara*, dla uczczenia pamięci księdza Metlera oraz dla odświeżenia refleksji o doniosłej roli astronomii w kształtowaniu poglądów naukowych i religijnych.

Program konferencji obejmował trzy sesje:

O księdzu Bonawenturze Metlerze i jemu podobnych, W kierunku lepszego ujęcia relacji nauki i religii oraz Religie w obliczu wielkich odkryć naukowych. Podczas otwarcia uszanowano minutą ciszy ś.p. Konrada Rudnickiego, kapłana i astronoma, wykładowcę na pierwszej konferencji *Astronomia - nauka i wiara* w 2009 roku. Na zakończenie konferencji wyświetlono seans planetaryjny *Tajemnica Gwiazdy Betlejemskiej* oraz film *Chopin – the Space Concert*.

Podczas konferencji wygłoszono w sumie 10 referatów:

Na granicy światów - między nauką a teologią (Dąbek),

Ks. Bonawentura Metler w Maluszynie (Kopera),

Ks. Metler w prasie częstochowskiej w latach 1909-1938 (Czepiczek),

Piękno Wszechświata - harmonia nauki i wiary w twórczości abpa Józefa Życińskiego (Marciniec),

Profesor Kazimierzak-Połońska – nauka i wiara z grozą w tle (Biała),

Maria Kunitz – pierwsza dama astronomii (Błaszczak),

Od separacji dyskursów do eksplikacji sensów (Wszolek),

Kiedy jesteśmy racjonalni? (Cebula),

Dylematy wokół koncepcji organizmu. Wysiłki badaczy w służbie odkrycia misterium życia (Kłóś),

Religijne i astronomiczne aspekty wielkich odkryć geograficznych (Godłowski).

Podobnie jak w 2009 roku, konferencja spotkała się ze sporym zainteresowaniem, zarówno ze strony samych wykładowców jak i biernych słuchaczy. W sumie skorzystało z niej ponad 50 osób. Wszystkim, którzy w taki czy inny sposób przyczynili się do uświetnienia konferencji składam serdeczne podziękowanie. W szczególności dziękuję wykładowcom za wygłoszenie interesujących wykładów, władzom Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie za udostępnienie planetarium i innych pomieszczeń, zapewnienie bazy hotelowej oraz konieczną pomoc finansową, Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego za wsparcie finansowe konferencji, Agnieszce Dymarek i Magdalenie Wszólek za prace przy bezpośredniej obsłudze konferencji.

W książce niniejszej zamieszczono teksty większości wykładów prezentowanych podczas konferencji. Uzupełniono je także innymi przyczynkami, które, z takich czy innych powodów, nie mogły być wygłoszone podczas konferencji, a tematycznie do niej pasowały. W szczególności zamieszczono teksty poświęcone Konradowi Rudnickiemu, który pragnął uczestniczyć w tej konferencji, lecz jej nie doczekał. Zbiór przyczynków jest niejednorodny zarówno ze względu na treść jak i formę. Są artykuły utrzymane w ryzach typowych dla publikacji naukowych oraz pisane językiem bardziej pogładowym, otwartym na szerszego odbiorcę. Autorom pozostawiono swobodę i każdy mógł wyrazić treści w sposób dla niego najodpowiedniejszy.

Rzepiennik Biskupi, maj 2015

Bogdan Wszólek

Spis treści

Do Czytelnika	5
Przedmowa	9
Życie i działalność Księdza Bonawentury Metlera	
Przemówienie F. Ogera nad grobem Metlera w dniu 31.08.2014	15
Przemówienie B. Wszółka nad grobem Metlera w dniu 31.08.2014	16
Wiejski proboszcz wśród gwiazd (<i>T. Barański</i>)	17
Ks. Metler w prasie częstochowskiej w latach 1909-1938 (<i>G. Czepiczek</i>) ...	39
Ks. Bonawentura Metler w Maluszyńcu (1932 – 1934) (<i>Ł. Kopera</i>)	67
Spiritism in the times of Camille Flammarion (<i>F. Oger</i>)	81
Teleskopy księdza Metlera (<i>B. Wszólek</i>)	87
Wspomnienia o Konradzie Rudnickim	
Nic nie wzrusza nieba bardziej, jak śmierć astronoma (<i>B. Wszólek</i>)	95
Someone you have met only half a dozen times (<i>V. Trimble</i>)	99
Konrad Rudnicki – kilka wspomnień (<i>K. Maślanka</i>)	101
U boku Mistrza (<i>B. Wszólek</i>)	107
Między nauką, wiarą i religią	
Helena Kazimierczak - Połomska – nauka i wiara z grozą w tle (<i>J. Biała</i>)	113
Maria Kunic, pierwsza dama astronomii (<i>K. Błaszczak</i>)	127
Piękno Wszechświata. Harmonia nauki i wiary w twórczości arcybiskupa Józefa Życińskiego (<i>J. Marciniec</i>)	133
Moja droga do religii (<i>K. Rudnicki</i>)	145
Wiara naukowców (<i>B. Wszólek</i>)	163
Stymulacja zainteresowania niebem w planetarium (<i>B. Wszólek</i>)	169
W kierunku lepszego ujęcia relacji nauki i religii	
Kiedy jesteśmy racjonalni? (<i>P. Cebula</i>)	175
Kształtowanie się pojęcia organizmu na tle sporu Gottfrieda Wilhelma Leibniza z Georgiem Ernstem Stahlem (<i>A. Klóś</i>)	187
Separacja dyskursów – eksplikacja sensów (<i>S. Wszólek</i>)	207

Przedmowa

Zagadnienie relacji nauki i wiary przewija się przez tysiąclecia w kulturze ludzkiej. Astronomia dostarczała w przeszłości, a jeszcze silniej czyni to dzisiaj, podniety dla wielu rozważań filozoficznych i teologicznych. Leży ona u podstaw większości wierzeń religijnych i w miarę postępu pozwala coraz lepiej je porządkować i często oczyszczać z fałszywych mitów. Antropocentrycznie obciążone poglądy i działania są przez astronomię, bardziej niż przez inne nauki, poddawane coraz surowszym próbom. Ludzie myślący nie akceptują wiary ślepej, bezrozumnej. Hamuje ona rozwój człowieka i czyni go mniej użytecznym społecznie. Religie, jeśli mają odgrywać pozytywną rolę w rozwoju społeczeństw, to powinny nadszperkować zdobycze nauki. Inaczej, może być tak, że negatywne możliwości wykorzystania tych zdobyczy wyprzedzą możliwości pozytywne, a wyznawcy religii będą przeżywać dręczące lęki przed nowoczesnością zamiast z niej skwapliwie korzystać. Rodzi to dalej wrogość do nauki i ostatecznie szybko prowadzi do zubożenia kulturowego.

Nie bez racji oświeceni przywódcy religijni, jak chociażby papież Jan Paweł II, nawołują ludzkość do szanowania zdobyczy nauk przyrodniczych, dawania im wiary, korzystania z nich radośnie, tak w procesie dochodzenia prawd o Bogu jak i w sferze poprawy warunków bytowania. W dobie gwałtownego przyspieszenia rozwoju nauk przyrodniczych, w szczególności astronomii i dyscyplin jej pokrewnych, za zmianą obrazu świata, w którym żyjemy, wypada, i to bez zwłoki, rewidować postanowienia dotyczące prawd wiary.

W czasach, kiedy naukami zajmowały się wyłącznie osoby duchowne, nie było podstaw do narastania wielkiego rozdźwięku między nauką i wiarą. Obecnie rzeczy mają się inaczej. Rozdźwięk się pojawił i ciągle ma tendencję wzrostową. Nie służy to dobrze ani instytucjom naukowym ani religijnym, skutecznie hamując rozwój wiedzy o Bogu, o człowieku i o świecie. Dla dobra ludzkości należy dążyć do łagodzenia tego rozdźwięku, tyle, że nie przez ograniczanie dociekań naukowych czy ukrywanie ich rezultatów, ale poprzez odpowiednie uaktywnienie środowisk odpowiedzialnych za formację etyczną społeczeństwa.

W tym kontekście warto jest przywoływać postawy reprezentowane przez Kopernika, Keplera i Galileusza i stawiać je, jako wzory do naśladowania. Z tych wzorów niewątpliwie korzystał Bonawentura Metler, wykształcony przyrodnik i kapłan w jednej osobie, który upodobał sobie szczególnie wyraz Boga zapisany w gwiazdach i z nim wychodził do ludu.

W latach dzielących pierwszą i drugą konferencję z serii *Astronomia – nauka i wiara* odeszło do wieczności dwóch wybitnych Polaków, współczesnych przewodników po trudnych szlakach niebiańskich. W roku 2011 Józef Życiński, a w 2013 roku Konrad Rudnicki. Nie mogli już po

normalnemu uczestniczyć w ostatniej konferencji, ale wolno nam wierzyć w ich duchowe zjednoczenie z obradującymi w Częstochowie, którą obaj za życia chętnie i często odwiedzali. Na dalszą część przedmowy chcę oddać głos Życińskiemu, przywołując obszerne fragmenty jego homilii, wygłoszonej we Fromborku 22 maja 2010 podczas uroczystości powtórnego pochówku Mikołaja Kopernika (pełny tekst homilii jest dostępny na stronie www.jozefzycinski.eu).

[...] Mikołaj Kopernik patrząc na przyrodę podziwiał harmonię świata, przeżywał fascynację tym, że odległe rejony Kosmosu dają się opisać w języku matematyki, zastanawiał się nad genezą tej fascynującej matematyczności przyrody, myśli o Bogu i człowieku. [...]

Sto lat przed Kopernikiem, Raymund Sabundus w swoich rozważaniach o teologii naturalnej, czyli księdze stworzeń mówił, że dla ludzi Bóg zostawił dwie księgi do podstawowej lektury. Pierwsza to Księga Przyrody. Czytając ją mamy odkrywać najbardziej istotne treści. Ale, konkludował Sabundus, z upływem czasu umysł człowieka robi się coraz bardziej tępy. Trzeba mu pomocy, komentarzy i wyjaśnień, więc Bóg dał mu Księgę Pisma Świętego, abyśmy potrafili zrozumieć to, co tylko geniusze odkrywają w bezpośrednim dialogu z Przyrodą. [...] Albo się było geniuszem, albo zazwyczaj nie rozumiało się tego, co Bóg mówi przez dzieło Stworzenia. W tej perspektywie refleksja nad treścią Pisma Świętego była czymś koniecznym.

Dwie księgi współistniały ze sobą. Kanonik Kopernik czytał je i znał doskonale. Nie wszyscy jednak potrafili czytać, płynący czas przynosił zmiany w interpretowaniu treści. W czasach Galileusza, niektórzy z lektorów kładli główny nacisk [...] na fragment z Księgi Jozuego. Dla nich najważniejsze było to, że Jozue zatrzymał Słońce. Uważali, że trzeba to rozumieć dosłownie, mimo że już w czasach św. Augustyna zwracano uwagę na to, iż są pewne fragmenty Pisma Świętego, których nie wolno tłumaczyć dosłownie. Późniejszy regres intelektualny, przewaga racjonalności arystotelesowskiej nad egzegezą biblijną sprawiły, że to, co było oczywiste dla Augustyna, przestało być oczywiste dla krytyków Galileusza. [...] Jeszcze w czasach Kopernika, jak to słusznie zauważył ksiądz Janusz Pasierb, granice Europy były wyznaczane przez katedry. Ludzie Kościoła czuli się odpowiedzialni za rozwój uniwersytetów, za organizację bibliotek, za tworzenie dialogu kultur, w którym rozwijała się chrześcijańska odpowiedzialność za prawdę, chrześcijański szacunek dla człowieka.

[...] Kiedy się czyta ocalałą dokumentację z procesu Galileusza, widać, iż głównym czynnikiem, który wpłynął było to, że recenzenci - *qualificatores* – podzielali bezkrytyczną miłość do naiwnej fizyki Arystotelesa. Wtedy koncepcja racjonalności, koncepcja absurdu, nawet koncepcja herezji, która w astronomii ma niewielkie znaczenie, były inspirowane Arystotelesem. Jest

to ważny przyczynek do zadumy, iż Arystoteles w tamtej XVII – wiecznej wersji przesłonił Chrystusa. Jako rezultat, Jan Paweł II musiał przeproszać za orzeczenie z 1616 roku, musiał powołać specjalną komisję, która zrehabilitowała niesłusznie potępionych. Nadgorliwość samozwańczych obrońców Kościoła, prowadzi do większych szkód dla Kościoła, niż można by się spodziewać. Także wybór jednego guru. Kościół mówi językiem wielu ksiąg, językiem bogactwa kultur. Natomiast, jeśli się znajdzie jednego guru, jeden autorytet filozoficzny, jednego genialnego polityka, tylko jednego patriotę, płacimy za to zawsze bolesną cenę. My jesteśmy posłani ku wszystkim narodom, ku bogactwu kultur, ku wielości autorytetów. Tu właśnie dramat z 1616 roku musiał znaleźć swą kontynuację w uczciwym postawieniu sprawy przez Jana Pawła II.

Z zadumą możemy popatrzeć na dokumenty z tamtej epoki, gdy kilkadziesiąt lat po śmierci Kopernika tak zmienił się klimat wokół jego teorii. Jeden z pełnych temperamentu zakonników włoskich, Nicolo Lorini, zaatakował wtedy w swoim wystąpieniu *diabelską sektę matematyków, która broni jakiegoś Ipernika*. Określenie „matematyków” nie budzi oporów, bo wtedy tych, co liczyli ruch ciał niebieskich, nazywano matematykami. Natomiast „diabelska sekta” to określenie raczej nietypowe w ustach przedstawiciela środowiska osób duchownych. Gdy jakieś pokolenie przemawia takim językiem, następne pokolenie musi się wstydić. Jest to dramat, który powtarzał się w wielu sytuacjach. Tomasso Caccini w swoim kazaniu na Wniebowstąpienie Pańskie, nawiązując do słów Ewangelii: *Mężowie Galilejczy, czemu próżno patrzycie w niebo* (por. Dz 1,11), karmił wtedy zwolenników teorii Kopernika mówiąc, że próżno patrzą w niebo, gdyż Ziemia jest centrum Wszechświata i tylko na Ziemi poznajemy prawdę. Jest to wysoce oryginalna forma obrony chrześcijaństwa, przez atakowanie prawdy o niebie.

Całkiem inny kierunek wybrali biskupi polscy w 1973 roku, pisząc pamiętny list o Koperniku i wtedy, kiedy w siermiężnej rzeczywistości politycznej usiłowano straszyć walką klasową, biskupi mówili *Kopernik uczy nas patrzeć ku niebu, podnosić głowy ku górze, dostrzegać to, co istotne. Tak bardzo potrzeba nam Kopernikańskiego wyjścia poza to, co smutne, szare, nijakie*. [...]

Można by pytać, dlaczego reakcja na teorię kopernikańską była tak silna i w wielu środowiskach negatywna? Czasami wchodziły w grę uprzedzenia, które nie miały nic wspólnego ani z prawdą, ani ze świadectwem poszukiwania wartości. Kiedy Pius VII dowiedział się o nowych badaniach, które przemawiały wreszcie na rzecz teorii Kopernika, sugerując istnienie efektu paralaksy i tych zjawisk przyrodniczych, których nie można było wcześniej potwierdzić, bo zbyt słaba była aparatura pomiarowa, wtedy odpowiedzialny za Indeks Ksiąg Zakazanych Filip Alfonsi powiedział, że żaden papież nie będzie mu nakazywał, kogo ma on usunąć z Indeksu, bo

w tym przypadku wchodzi w grę odwieczne nauczanie Kościoła i Pius VII nie może go zmienić. Wtedy papież Pius VII wydał drugi dokument, mówiący, że jeśli Alfonsi nie zmieni zdania i nie wycofa dzieła Kopernika z Indeksu, zostanie natychmiast pozbawiony wszystkich dotychczasowych funkcji i przywilejów. Pryncypialny krytyk Kopernika ustąpił. Ale to są właśnie uwarunkowania, w których nieraz czynniki nieistotne, drugorzędne podnosi się do rangi czegoś, co urasta do roli najwyższego kryterium obrony prawdy.

[...] nie jest (też) tak, że w imię wolności nauki każda forma absurdu jest uzasadniona. Natomiast czymś ogromnie ważnym jest, żebyśmy w imię rozwoju nauki widzieli, że Chrystus zbawiający, Chrystus niosący nadzieję, jest ciągle tym samym Chrystusem, co w czasach apostoelskich i dlatego nasze lęki, przerażenia powinny zostać rozwiane, bo On przynosi nadzieję w każde warunki.

[...] Aby poznać pełną prawdę o człowieku, trzeba znać astronomię, biologię i psychologię. Nie poznamy jednak tej prawdy bez studium ludzkiej duchowości, bez odniesienia naszego życia do zbawczej misji Jezusa Chrystusa. Przypominał o tym Jan Paweł II. Jego pierwsza encyklika, poświęcona ludzkiej godności, podkreśla, że *Redemptor hominis*, Odkupiciel Człowieka, wylał swą Krew za całą ludzkość, że my bez względu na rasę i uwarunkowania jesteśmy odkupieni przez Niego. Mówi o tym papieska wizja dialogu nauk, wyrażona choćby w pamiętnym liście do George'a Coyne'a z racji 300-lecia publikacji *Principiów* Newtona. To jest ta wielka wizja, w której świat fizyki i świat biologii, świat teologii i filozofii mówią komplementarnymi językami. Wzajemnie dopełniamy się, ale dajemy świadectwo tej samej godności, bronimy tych samych zasad, staramy się uczynić świat ludzki i piękny.

[...] Wśród współczesnych wyzwań, gdy tak często do głosu dochodzi antyintelektualizm, gdzie tak łatwo o filozofię rozpacz, celebrowanej pustki, zagubienia, pozostaje zadaniem dla nas wszystkich, byśmy umieli spoglądać w niebo, przywołując zmartwychwstałego Chrystusa. Nie dając się sprowokować do absurdalnych sporów i konfliktów, winniśmy w całej przyrodzie odkrywać przychodzącego Boga i powtarzać: *Boże, nasz Panie, Ty jesteś tak bardzo wielki odziany we wspaniałość i okryty światłem* (por. Ps 104). Amen.

Bogdan Wszolek

Życie i działalność Księdza Bonawentury Metlera

Serię właściwych artykułów poprzedzą dwa przemówienia, Francisa Ogera i Bogdana Wszółka, wygłoszone w Parzymiechach nad grobem Metlera w dniu 31 sierpnia 2014.



Przy grobie Metlera na cmentarzu w Parzymiechach. (archiwa autora)

Przemówienie F. Ogera nad grobem Metlera w dniu 31.08.2014

[w tłumaczeniu Bogdana Wszółka]

Czuję się wzruszony tym, że zaprosiliście mnie do wzięcia udziału w tej uroczystości przypominającej tragiczne zdarzenia, zarówno w historii Polski jak i w życiu Bonawentury Metlera. Z tej okazji chciałbym przywołać wspomnienia astronomicznej i edukacyjnej aktywności Metlera we Francji, w czasach jego młodości.

Nazywam się Francis Oger, jestem wice-prezesem Francuskiego Towarzystwa Astronomicznego i dyrektorem Obserwatorium Astronomicznego w Juvisy-sur-Orge. Kamil Flammarion założył Francuskie Towarzystwo Astronomiczne w 1887. Jego obserwatorium zostało otwarte w tym samym roku, w obecności ważnych osobistości, w tym przywódcy Brazylii.

Cztery lata później, Metler został kapelanem zgromadzenia polskich siostr szarytek, które miało swą siedzibę zaledwie 100 metrów (na północ) od obserwatorium. Zgromadzenie było częścią Instytutu Świętego Kazimierza, który wciąż istnieje w Paryżu.

Metler działał w zgromadzeniu do 1907 roku. Jest wspominany w kronikach Instytutu Św. Kazimierza, jako bardzo aktywny ksiądz; miałem okazję sam to przeczytać podczas wizyty w Instytucie. Dr Zygmunt Ostrowski, w imieniu Instytutu, powiedział mi, że oni też włączają się w dzisiejsze tutejsze wspomnienie o Metlerze.

Metler interesował się astronomią i w roku 1899 wstąpił do Francuskiego Towarzystwa Astronomicznego. Przez 40 lat, do samej śmierci, był jego członkiem.

W roku 1900, Flammarion ogłosił w naszym czasopiśmie L'Astronomie, że Metler skonstruował swoje własne obserwatorium, z kopułą i lunetą, na dachu budynku sióstr szarytek. Metler używał obserwatorium zarówno do celów naukowych jak i dydaktycznych, podobnie zresztą jak to czynił później w Polsce. W rzeczy samej, wiele dzieci znalazło wtedy schronienie u sióstr. Wierzimy, że ta sama luneta jest teraz trzymana w Parzymiechach. W 1905 roku sytuacja we Francji stała się trudna dla instytucji religijnych w związku z wprowadzeniem rozporządzenia o separacji Kościoła od państwa. W konsekwencji Instytut Św. Kazimierza był zmuszony zamknąć swój oddział (zgromadzenie sióstr szarytek) w Juvisy w 1907 roku.

Zdecydowano, że tak Metler jak i siostry szarytki zostaną przeniesieni do Częstochowy. Metler dobrze wiedział, że sytuacja w Polsce, pod zaborem rosyjskim, nie jest korzystna dla rozwoju astronomii. Przed wyjazdem do Częstochowy zdążył jeszcze wykonać, we współpracy z Flammarionem, 30-cm teleskop, który potem wykorzystywał w Częstochowie. W istocie był to największy polski teleskop do czasów II wojny światowej, kiedy uległ zniszczeniu.

Przemówienie B. Wszółka nad grobem Metlera w dniu 31.08.2014

W dniu upamiętniającym tragedię sprzed 75 lat stoimy przy grobie człowieka wyjątkowego, nie tylko na czasy w których żył lecz również z ogromnym ich wyprzedzeniem. Ks. Bonawentura Metler przybliżał światu wspaniałą prawdę o człowieku, jako bycie stworzonym dla poznawania i przeobrażania świata w każdej skali, ale przede wszystkim w skali największej, kosmicznej. Że «w gwiazdach ręka pisuje Boża» wiedział doskonale, i pewnie nie od Norwida, ale z własnych doświadczeń. Czuł, że nie będzie ładu w organizacji społecznej, nie będzie też pokoju na świecie, dopóki człowiek nie zechce otworzyć się całym swoim rozumem i uczuciem na sprawy nieba, Kosmosu. Dlatego, bez względu na czasy w jakich przyszło mu żyć i bez względu na miejsce w jakim przebywał, nieustrudzenie kierował myśli ludzi ku rozgwieżdżonemu niebu, którego kontemplacja pomaga zrozumieć Stwórcę wszech rzeczy i odnaleźć właściwe powołanie ludzkości, a w ramach niego również swoje własne.

Jeśli piękny Duch Metlera jest tu z nami, niech pomoże nam z siebie zaczerpnąć motywację i siły dla wielu wspaniałych przedsięwzięć, w tym dla zdobywania i szerzenia wiedzy o Wszechświecie.



Agnieszka Dymarek i Bogdan Wszółek przy grobie Metlera. Reprezentują Stowarzyszenie Astronomia Nova oraz Częstochowski Oddział Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii. (fot. A. Leśniczek)

Wiejski proboszcz wśród gwiazd

Tomasz Barański

Astronomia Nova, Częstochowa

[Artykuł jest opracowaniem wykorzystującym, w całości lub częściowo, treści artykułów wymienionych w bibliografii]

Opracowanie niniejsze powstało w hołdzie dla nieustrzonego, niezłomnego szerzyciela wiedzy astronomicznej w Częstochowie na początku minionego stulecia, księdza Bonawentury Metlera, w 75 rocznicę jego męczeńskiej śmierci. Rocznicą ta ważna jest również dlatego, iż astronomia w Częstochowie nie miała szczęścia rozwijać się instytucjonalnie i gdyby nie On.... Poza tym od czasów Metlera i później wegetowała jedynie na poziomie miłośniczym i była traktowana w podjasnogórskim grodzie jedynie, jako ciekawe hobby. Nie było tutaj również gruntu do tworzenia takich instytucji jak planetarium czy obserwatorium astronomiczne. Obserwatorium odziedziczone po księdzu Metlerze w podjasnogórskim parku, nie mając nadzoru merytorycznego, umarło śmiercią naturalną (popadło wręcz w ruinę). Władze miasta Częstochowy, tak dawne, jak i obecne, wykazują małe zrozumienie dla potrzeby tworzenia klimatu sprzyjającego szerzeniu wiedzy astronomicznej. Sytuacja, w której kwitnący charakter tej dziedziny nauki można zaobserwować w Częstochowie obecnie, stała się możliwa dzięki osobie nieustrzonego krzewiciela, organizatora, społecznika, człowieka wielkiej pasji, męża opatrznościowego Ziemi Częstochowskiej, niezaprzeczalnego następcy Bonawentury Metlera, dr. Bogdana Wszółka. Sam fakt powstania niniejszej książki byłby w ogóle niemożliwy, gdyby nie postać odnowiciela Częstochowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii. Ale prawdopodobnie należy to również złożyć na karb cudów, jakie chyba tylko zdarzyć by się mogły w naszym „świętym Mieście”.

*

Ksiądz Bonawentura Metler urodził się 7 lipca 1866 roku w Ciążeniu w powiecie słupeckim, guberni kaliskiej. Był kapłanem diecezji częstochowskiej oraz znaczącym astronomem. Został zamordowany 2 września 1939 roku przez Niemców w czasie II wojny światowej. Jego rodzicami byli Bernard i Maria z d. Winnicka. Został ochrzczony w miejscowym kościele pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. Wielokrotnie podkreślał, że matce swojej zawdzięczał religijne wychowanie, nadto zaznaczył, że matka ofiarowała go specjalnie Matce Bożej. Na tej podstawie można przypuszczać, że jako dziecko Bonawentura ciężko chorował i jak było wówczas w zwyczaju, matka w celu uratowania mu życia ofiarowała go

Najświętszej Maryi Pannie. Rodzice należeli do miejscowej szlachty. W rodzinie młodego Bonawentury żywe były tradycje powstańcze. Jego ojciec brał udział w powstaniu listopadowym, najbliżsi matki w powstaniu styczniowym. Niestety o początkowym jego wykształceniu nie zachowały się wiadomości – najprawdopodobniej, tak jak w innych rodzinach szlacheckich – wykształcenie podstawowe otrzymał w domu rodzinnym. W roku 1875 rozpoczął naukę w Męskim Gimnazjum Klasycznym w Kaliszu. Program nauczania miał charakter ogólnokształcący z rozbudowanym systemem nauki języków starożytnych i nowożytnych. Celem procesu dydaktycznego w gimnazjum było m. in. dobre przygotowanie absolwentów do studiów uniwersyteckich. Dzieje tego gimnazjum były analogiczne do innych szkół średnich w Królestwie Polskim, prowadzących swą działalność po upadku powstania styczniowego. Tak więc, od roku 1867 nie podlegało Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, ale Okręgowi Naukowemu Warszawskiemu, który bezpośrednio podlegał centralnym władzom w Petersburgu. W okresie kiedy w Królestwie Polskim nad sprawami oświaty sprawował władzę Aleksander Apuchtin (1879 – 1897 – tzw. noc apuchtinowska), proces rusyfikacji osiągnął najwyższy poziom, także w dziedzinie szkolnictwa. Nauczycieli i uczniów podejrzanych o nieprawomyślność, Apuchtin nakazywał usuwać ze szkół, zastosował dozór policyjny w szkołach i wszelkimi środkami tępił konsekwentnie wszelkie przejawy kultury polskiej. W klasycznym gimnazjum owego czasu do podstawowych przedmiotów należała nauka języków łacińskiego i greckiego. Podobny status miał język niemiecki. Natomiast fakultatywnie uczniowie mogli uczyć się języka francuskiego. Od 1869 roku językiem nauczania w szkołach średnich był język rosyjski. Język polski był przedmiotem nadobowiązkowym, a historii Polski całkiem zaprzestano nauczać. Do kaliskiego gimnazjum uczęszczali uczniowie różnych wyznań religijnych – katolicy, ewangelicy i prawosławni, a dla każdej grupy uczniów należących do tego samego wyznania religijnego były prowadzone lekcje religii, jako przedmiot nadobowiązkowy. Katolicy uczniowie uczęszczali ponadto na nabożeństwa w kościele św. Mikołaja w Kaliszu. Dyrektorami szkoły byli Rosjanie, których działalność coraz bardziej pogłębiała proces rusyfikacji młodzieży. Uczniowie narodowości polskiej napotykali duże trudności w okresie uczęszczania do szkoły, a szczególnie przy uzyskiwaniu świadectwa dojrzałości. Ośmioletni pobyt Bonawentury Metlera w gimnazjum kaliskim wypadł akurat w okresie najwyższej rusyfikacji tej szkoły, którą prowadzili nie tylko rosyjscy dyrektorzy, ale także znaczna część nauczycieli. Uczniowie polscy prawdziwym zaufaniem darzyli tylko polskich nauczycieli. To ci nauczyciele, sami prześladowani, uczyli umiłowania Ojczyzny swoich wychowanków i uczniów. W takiej właśnie atmosferze zdobywał wiedzę i wychowywał się młody Metler.

Zapewne nie miał trudności w nauce. W swoim życiorysie napisał o sobie „Primus inter condiscipulos Gymnasii Calissiensis”. Należał więc do najlepszych uczniów i absolwentów tej szkoły. Po ośmiu latach nauki otrzymał świadectwo dojrzałości i zdecydował się wstąpić do Seminarium Duchownego we Włocławku. Warunkiem przystąpienia do Seminarium było posiadanie świadectwa dojrzałości, czego nie wszędzie przestrzegano. Świadectwo dojrzałości uzyskane w gimnazjum kaliskim dało mu podstawę do podjęcia studiów filozoficzno – teologicznych we Włocławku. Studia kościelne trwały wówczas 5 lat, a poziom naukowy w seminarium włocławskim był wysoki. Biskupi włocławscy, Wincenty Teofil Chościak Popiel, a następnie Aleksander K. Bereśniewicz, otaczali wielką troską swoją uczelnię. Tendencje rusyfikacyjne i represje władz rosyjskich dotyczyły zarówno profesorów jak i seminarzystów, ale roztropne kierownictwo władzy diecezjalnej przyczyniło się do należytego wykształcenia kleru, a także uformowania właściwej postawy patriotycznej. Według zarządzeń carskich po zlikwidowaniu wydziałów teologicznych na terenie Kongresówki bardziej uzdolnieni klerycy z ostatnich lat studiów seminaryjnych lub młodzi kapłani mogli kontynuować studia teologiczne w Akademii Duchownej w Petersburgu, w której (i tylko tam), można było zdobywać stopnie akademickie. Studenci Akademii Duchownej w Petersburgu w znacznej mierze pokrywali koszty swego pobytu w stolicy cesarstwa rosyjskiego, co w znacznej mierze określało grupę przyszłych studentów Akademii. Ponadto władze carskie wyrażały zgodę na podjęcie studiów przez poszczególnych studentów, wyznaczonych przez władzę kościelną. Wreszcie, liczba kandydatów na studia w Petersburgu była ograniczona przez władze carskie dla poszczególnych diecezji w Królestwie Polskim. Liczba ta była niewielka i wynosiła zaledwie kilku studentów z każdej diecezji. Po czwartym roku studiów seminaryjnych we Włocławku, biskup włocławski Aleksander Kazimierz Bereśniewicz i zarząd seminaryjny skierowali kleryka Bonawenturę Metlera na studia do akademii Duchownej w Petersburgu. Rzeczą oczywistą było, że podstawą tej decyzji były wyniki osiągnięte w nauce, a także warunki materialne, które mogły umożliwić mu studia w Petersburgu. Podejmując jednakże decyzję o wysłaniu Metlera do Petersburga na kilkuletnie studia nie zwrócono uwagi na warunki klimatyczne panujące w tej części Rosji. Warunki atmosferyczne w Petersburgu (daleka północ) nie były łatwe. Ostry klimat, jednocześnie bagienne otoczenie stolicy carskiego imperium powodowały, że niektórzy spośród studentów nie mogli kontynuować studiów ze względów zdrowotnych. W takiej właśnie sytuacji znalazł się także Metler. Po kilku miesiącach pobytu w Rosji, w roku 1888 zdecydował się opuścić miasto carów i udać się na dalsze studia „ad externos nationes”, co było równoważne z decyzją na dalsze studia w uczelniach Europy Zachodniej. Największym jednak powodem tej decyzji były najprawdopodobniej

warunki klimatyczne, przede wszystkim wysokie mrozy, jakie panowały w Petersburgu (twierdził jednak, że była to jego osobista decyzja). Jednakże nie podawał, z jakich powodów decyzji swej nie uzgodnił z właściwą władzą kościelną, która to jedynie mogła zdecydować o zmianie dalszych jego studiów. Tymczasem władza diecezjalna, kierując go na studia do Petersburga, posiadała własne plany względem niego po ukończeniu studiów. Podobnie jak władze administracyjne, które musiały udzielić swego zezwolenia na wyjazd poza granice cesarstwa rosyjskiego. W tym to czasie był dopiero diakonem, bowiem wcześniej rozpoczął studia gimnazjalne i seminaryjne. Wobec tego powinien posiadać zezwolenie biskupa włocławskiego na wyjazd poza granice diecezji na kilkuletnie studia. Nie wiadomo czy takie zezwolenie otrzymał. Wszystko wskazuje jednak na to, że władza diecezjalna w jakiejś formie zgadzała się na jego wyjazd do Europy Zachodniej, bowiem w dniu 18 listopada 1888 został Metler wyświęcony na kapłana we Włoszech przez arcybiskupa Alojzego Zorn z Gorycji, a do czegoś takiego biskup udzielający święceń kapłańskich musiał otrzymać *litterae testimoniales* od właściwego biskupa. Dalsze specjalistyczne studia kontynuował Metler w Rzymie. Warunkiem podjęcia studiów uniwersyteckich w Wiecznym Mieście było także przedstawienie zezwolenia właściwej władzy diecezjalnej, które najprawdopodobniej przedstawił. W Akademii Duchownej w Petersburgu studiował teologię ogólną, natomiast jeśli chodzi o Rzym – to podjął studia specjalistyczne, estetyczne w zakresie sztuki kościelnej (chodzi o malarstwo, rzeźbę i architekturę). Taki kierunek studiów podejmowało niewielu duchownych. Kontynuował swe studia później w Monako, Paryżu i Londynie. Był przecież świetnym poliglotą. Przebywając w różnych krajach poznał kilka języków. Biegle posługiwał się językiem francuskim, angielskim i niemieckim. Znał także rosyjski, włoski oraz wspomnianą już łacinę i grekę. Był później nauczycielem języków nowożytnych. Ciekawostką jest to, że podczas zwiedzania muzeów w Europie i Ameryce odnalazł i zidentyfikował zniszczone dzieło Jana Sossoferata (ur. 1605) „*Depositio de cruce*”. Obraz ten całkowicie odnowił. Odczytał na nim napis, który często w późniejszym życiu powtarzał „*Quem Virgo ter iuuit, ad Buona Ventura me resuscitavit, Buona Ventura a Sossoferato missus generato*”. Tego typu studia, a szczególnie dalekie podróże pociągały za sobą duże wydatki, ale najprawdopodobniej dysponował on odpowiednimi funduszami, które zapewniali mu krewni. Wraz ze święceniami rozpoczął się nowy okres w życiu ks. Bonawentury Metlera. Ujawniła się też jego osobowość – był ciekawy, żądny wiedzy w wielu dziedzinach, odnośnie jeszcze języków obcych, to uczył ich prywatnie oraz w szkołach francuskich i angielskich. Wspominał, że najtrudniej było mu nauczyć się jednego języka obcego, następnie nauka innych języków była już znacznie łatwiejsza. I tak we Francji (*in scholis Gallorum*) uczył języka francuskiego i niemieckiego,

a w Anglii języka francuskiego i niemieckiego. Dla ułatwienia nauki języków obcych napisał nawet „Grammaire anglaise”, oraz nieco później „French pronuntiation” – czyli po prostu gramatykę z zasadami wymowy dla Francuzów (angielską) i odwrotnie francuską dla Anglików. Ponadto przygotował dla kształcących się w seminariach duchownych w Polsce książkę – podręcznik pt. „Gramatyka niemiecka”. Jak sam wielokrotnie podkreślał podręcznik oparty był na podstawie dotychczas używanych w nauczaniu różnych pomocy, których zasób zebrał w swoim dziele. Nie było to więc dzieło oryginalne, ale bez wątpienia świadczyło o dobrej znajomości przedmiotu przez Metlera. Należy przypuszczać, że praca dydaktyczna była w oczywisty sposób podstawowym źródłem utrzymania za granicą. Domeną zainteresowań intelektualnych ks. Metlera były jednak studia teologiczne, filozoficzne i nauki przyrodnicze. Kontynuował studia w Rzymie, Innsbrucku, Oksfordzie i Sorbonie w Paryżu. W życiorysie swym napisze później, że „szukał wszędzie i we wszystkim Boga i Prawdy Jego”. Co dały mu studia w wyżej wymienionych ośrodkach akademickich? Zapewne zdobył nowe zasoby wiedzy teoretycznej w różnych dziedzinach, jednakże niewiadomym jest czy uzyskał jakieś stopnie akademickie, gdyż sam nie wspomina nic na ten temat, ani też nie zachowały się żadne dokumenty. W latach późniejszych podkreślał wprawdzie doniosłość stopni naukowych oraz o swych zabiegach w tym kierunku, ale nie podał, czy jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Szukał też Bożej Prawdy, odbywając w latach 1901 – 1904 dalekie podróże morskie. Zachowała się do naszych czasów jego relacja na temat swej działalności badawczej podczas wyprawy naukowej na Ocean Indyjski w roku 1902. Biorąc udział w tejże wyprawie przeprowadzał badania nad stanem istot żyjących w tym oceanie. W czasie wojaży doznawał różnych wrażeń. Płynąc ku brzegom Australii pisał na pokładzie statku : „Boże, co za los mnie spotkał. Dokąd mnie wiedziesz? Ty znawco serca mego, powiedz, czy ja tego chciałem...? Raz duszę mą ranisz Polski wspomnieniem, raz serce rozrywasz pamięcią o Juvisy (o Juvisy mowa będzie nieco później). Owocem prowadzonych przez niego prac naukowych było dzieło pt. „Les Algues Marines – L’Ocean Indien 1902”, wydane w Australii w 1902 roku. Obecnie trudno cokolwiek powiedzieć o wartości naukowej tej rozprawy, poświęconej glonom w Oceanie Indyjskim, gdyż tej książki nie udało się odnaleźć. Natomiast w samej Australii w mieście Melbourne „profesorem był języków francuskiego i łacińskiego”. Po powrocie z wyprawy naukowej ks. Metler rozpoczął studia w Sorbonie (1906) – jako student rzeczywisty Matematyk Wyższych (ściślej – rozpoczął właśnie studia z astronomii) – interesując się mechaniką teoretyczną i praktyczną, zrekonstruował też duży bo 30 – centymetrowej szerokości teleskop i otworzył w Juvisy pod Paryżem obserwatorium astronomiczne – zresztą własnym kosztem. W dniu 27 lipca tegoż roku gotowy teleskop testował najbardziej znany w tym czasie astronom francuski

i zarazem popularyzator wiedzy astronomicznej – sam Camille Flammarion i ocenił go pozytywnie. W dodatku, uczony ten był nie tylko profesorem, u którego kształcił się Metler, ale także jego przyjacielem i inicjatorem konstrukcji tegoż dużego teleskopu, który później został przewieziony do Polski. Zresztą, to o Flammarionie, pisał później ks. Metler, że to on właśnie, nauczyciel i przyjaciel, wzbudził w nim „ogień miłości do Astronomii”. Owocem studiów astronomicznych ks. Metlera stała się praca: „Teleskop, teoria i praktyka”. Jednocześnie on sam został profesorem Szkoły Komercyjnej (L'Ecole Commerciale) Pigiera w Paryżu, wykładając języki angielski i niemiecki, a także został nauczycielem księcia Eugeniusza Gagarina i Hrabiego de Montfort. Był też wychowawcą książąt Poniatowskich (potomków królewskich) w latach 1906 – 1907, przygotowując ich do szkół francuskich (należy dodać, że wychowankom swym wykladał wszystkie przedmioty w językach polskim, francuskim i angielskim). Niezwykle ważnym etapem życia ks. Bonawentury Metlera był okres gdy pełnił obowiązki kapelana w Domu Polskich Weteranów – Instytucie św. Kazimierza, przeznaczonym dla polskich emigrantów – patriotów, we wspomnianym już Juvisy – sur – Orge pod Paryżem, w klasztorze Sióstr Szarytek św. Wincentego a Paulo (Maison de S. Stanislas Kostka). Kapelanem był w latach 1891 – 1907 i tutaj właśnie, w tym klasztorze, skonstruował własnym kosztem obserwatorium astronomiczne na wzór obserwatorium w Bourge. W swych późniejszych relacjach zaznaczył, iż przebywając we Francji bardzo ciężko chorował, a swe wyzdrowienie zawdzięczał wyłącznie cudownej interwencji Matki Bożej z Lourdes. Nie ujawnił jednak, jaka to była choroba, jak też nie opisał w szczegółach cudownego uzdrowienia – jak sam je określał. Niestety, w owym czasie zmieniła się polityka emigracyjna we Francji, ponieważ rząd socjalistyczny nie zezwolił polskim siostrom zakonnym na dalszą pracę. Szarytki z Instytutu św. Kazimierza musiały opuścić Francję i udać się do Polski. Z Juvisy wyjechały do Częstochowy. Przybyły tu w 1907 roku, gdzie znalazły zamieszkanie i pracę w Schronieniu św. Antoniego dla Paralityków, tuż pod murami klasztoru jasnogórskiego, w dzielnicy Rynek Wieluński. Był to zakład opiekuńczy ufundowany przez Marię Czarniecką, właścicielkę posiadłości ziemskich w okolicach Częstochowy. W ślad za siostrami szarytkami opuścił także Dom św. Stanisława Kostki jego kapelan. W kwietniu 1908 roku ks. Metler wrócił do kraju, do swojej diecezji włocławskiej. „Tęsknota za Polską nie pozwoliła mi przyjąć synostwa od Francji, co mnie do życia wskrzesiła” – napisał po powrocie. Nie tylko nurtująca tęsknota za krajem kierowała nim, lecz także chęć pospieszenia z wiedzą do rodaków. Przed wyjazdem odwiedził jeszcze Wieczne Miasto – Rzym, gdzie też otrzymał specjalne błogosławieństwo papieża Piusa X. Jako powód powrotu do Polski podawał chęć służenia Ojczyźnie wiedzą zdobytą w czasie studiów zagranicznych. Powracał do kraju będącego nadal pod

zaborem rosyjskim. Przywiózł z sobą zapał i doświadczenia naukowe oraz był zaopatrzony we wszystkie „instrumenta” (jak wówczas mówiono) – astronomiczne. Pragnąc zaś ten dział wiedzy dla kraju spożytkować, ciągle myślał o utworzeniu obserwatorium w podjasnogórskim grodzie. A propos jeszcze zaborów – w tym miejscu należałoby przyjrzeć się bliżej sytuacji duchowieństwa katolickiego w Kongresówce, jako tła klimatów panujących na ziemiach polskich znajdujących się w granicach zaboru rosyjskiego w ogóle. Duchowieństwo katolickie w Królestwie Polskim na przełomie XIX i XX wieku znajdowało się w szczególnie trudnej sytuacji. Chodzi tu o represje carskie po Powstaniu Styczniowym, które wciąż pozostawały aktualne. Równocześnie, w społeczeństwie polskim występowały coraz silniejsze tendencje wolnościowe. Sumienna praca organiczna od podstaw wśród ludu polskiego, znalazła swe odbicie także w działalności kleru katolickiego, mimo istniejących utrudnień i przeciwności w tym zakresie ze strony władz carskich. Rosyjscy urzędnicy na terenie Kongresówki osiągnęli sukces doprowadzając w wielu regionach do zerwania tradycyjnych więzi pomiędzy ludnością polską a miejscowym duchowieństwem katolickim – czego przejawem była nieufność wiernych wobec miejscowego proboszcza. Duchowny katolicki, który przestrzegał przepisów rosyjskich – lojalny wobec władz administracyjnych, był uważany przez okoliczne społeczeństwo polskie za urzędnika państwowego. Cóż, jeśli od władz rządowych otrzymywał wynagrodzenie za prowadzenie ksiąg stanu cywilnego (chodzi o urząd parafialny), a kancelarię prowadził w języku rosyjskim, tudzież z ambony ogłaszał rozporządzenia carskie, a podczas nabożeństw z kolei odmawiał publicznie modlitwy w intencji cara i jego rodziny (drukowane z resztą w cenzurowanych księgach kościelnych). Nawet zapisy w księgach metrykalnych prowadził w języku rosyjskim zamiast w łacińskim, jak to było w wielowiekowej tradycji kościelnych kancelarii. Zwykły mieszkaniec tych ziem nie zdawał sobie sprawy, że taki sposób postępowania był wymuszony przez władze zaborcze wbrew założeniom i woli władz kościelnych. Z drugiej strony w sprawach duszpasterskich ten sam duchowny był bezustannie inwigilowany i nie mógł swobodnie prowadzić swej pracy duszpasterskiej, nawet prace remontowo – budowlane budynków kościelnych prowadził dozór kościelny, ustanowiony odgórnie przez władze administracyjne. W takiej sytuacji proboszcz wszędzie miał „związane ręce” i napotykał co krok na ograniczające jego działalność przepisy carskich władz. Na tzw. tle, które ukazało warunki działalności duchowieństwa katolickiego w Królestwie Polskim, należy spojrzeć i na osobę ks. Bonawentury Metlera, kapłana – duszpasterza oraz człowieka uprawiającego także działalność naukową w zakresie astronomii. W tej ostatniej pozostawił po sobie najtrwalszą pamięć, a jego teleskop i utworzone jego staraniem obserwatorium astronomiczne w Częstochowie są trwałymi pomnikami jego wyjątkowej postawy kapłańskiej

i specyficznych zainteresowań naukowych – przypomnijmy – wszystko to miało swój początek w okresie żelaznego uścisku zaborcy i zdawałoby się jego triumfu. Akurat wraz z przybyciem Metlera do kraju (od jego wyjazdu upłynęło 20 lat) nastąpiły zmiany w zarządzie diecezją. Nowym biskupem został Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki. Metler powracał do diecezji, w której był właściwie nieznany. Wieloletni jego pobyt za granicą stwarzał pewne trudności, a w dodatku trwała tzw. walka z modernizmem i studia z zakresu nauk przyrodniczych budziły obawy. Z tych powodów zrodziła się pewna nieufność ze strony diecezjalnej i stanowiła przeszkodę w zaaklimatyzowaniu się w kraju. Ks. Metler próbował wyjaśniać długość swojego pobytu za granicą działalnością patriotyczną – chodzi tu o udział jego ojca w powstaniu oraz jego działalność w Instytucie Polskich Emigrantów we Francji. Wprawdzie wybuch rewolucji w 1905 roku złagodził ucisk władzy rosyjskiej na ziemiach Królestwa, ale wkrótce powróciły dawne praktyki. W takiej oto rzeczywistości znalazł się w roku 1908 powróciwszy na „ojczyzny łono”, ojczyzny trwającej w nieszczęściu. Powracał do diecezji włocławskiej, w zamiarze służenia swojemu narodowi zdobytą wiedzą, zgłaszając się do biskupa Zdzitowieckiego we Włocławku. Biskup powierzył mu obowiązki nauczania wiary w szkołach ludowych. (Częstochowa znajdowała się wówczas w diecezji włocławskiej). Jednocześnie został mianowany kapłanem przytułku dla paralityków, pozostającego pod opieką Sióstr Miłosierdzia, przybyłych z Paryża (w samym przytułku zorganizował małe obserwatorium astronomiczne i prowadził stale obserwacje astronomiczne) i prefektem szkół miejskich (jeszcze później zaś mianowała go Władza Duchowna prefektem gimnazjum polskiego p. Kościńskiego i gimnazjum żeńskiego p. Słowikowskiej). Jako wzorowy kapłan, dobry i światły nauczyciel, jak również gorący opiekun młodzieży, do tej pracy podchodził, jako do czegoś całkowicie odmiennego w swoim życiu. Ale jeśli chodzi o ścisłość nie pałał doń entuzjazmem, bowiem zapisał na ten temat w swojej autobiografii, że „uczył w szkołach elementarnych dzieci duchowo tępego pospólstwa Częstochowy”. Nie zapomniał też o swym powołaniu, uczył bowiem, tak młodzież jak i osoby starsze, „duchem wybiegać poza Ziemię”. Ale i w tym zaściankowym środowisku, znalazł szczęśliwie możliwości propagowania wiedzy przyrodniczej, głównie z zakresu astronomii. Słuchaczami jego prelekcji była młodzież szkół średnich w Częstochowie. Wynikało to z przekonania, iż młodzież ostatnich lat szkół średnich, która będzie stanowić polską inteligencję, powinna znać najnowsze kierunki naukowe, jakie rozwijają się w Europie. Niestety spotykał się także z przykrym przyjęciem ze strony rodziców dzieci szkolnych. Nie byli oni, bowiem, zaangażowani w sprawę nauki religii i w ogóle w sprawy szkolne, co było wynikiem niskiego poziomu intelektualnego. Należał też do Diecezjalnego Koła Księża Prefektów w Częstochowie. Na marginesie należy wspomnieć również, iż

mieszkał w domu zakonnym Sióstr Szarytek przy Schronieniu św. Antoniego dla Paralityków. Znalazł też jednakowoż zrozumienie dla swej wiedzy u władz miejskich. Otrzymał pozwolenie na prowadzenie zajęć dla młodzieży, popularyzujących wiedzę astronomiczną. Odbywało się to na specjalnych spotkaniach z młodzieżą szkół średnich. Odprawiał też z racji funkcji prefekta szkolnego, nabożeństwa dla młodzieży w kościele Imienia Maryi – i, jak na sumiennego księdza przystało, w kazaniach swych podkreślał, że właśnie wiedza astronomiczna wskazywała od zawsze wielkość Boga – Stwórcy Wszechświata i Mądrości Bożej Opatrzności. Wśród młodzieży szkolnej zorganizował oddział Sodalicji Mariańskiej, który został włączony do Sodalicji Mariańskiej na Jasnej Górze. (Sodalicje Mariańskie, inaczej Kongregacje Mariańskie – stowarzyszenia religijne, pierwotnie młodzieży szkolnej, męskiej, propagujące kult maryjny, związane były pierwotnie z działalnością Jezuitów. Po kasacie zakonu podupadły, ale po jego restytucji w 1814 roku ożywiły się na nowo i wślawiły, będąc narzędziem oddziaływania Kościoła na życie społeczne). Dzięki gorliwej pracy i wzorowemu duszpasterstwu młodzieży szkolnej znalazł uznanie u władz kościelnych, a praca ta dawała mu poczucie osobistej satysfakcji. Również Magistrat m. Częstochowy dostrzegł tytaniczną pracę i działalność ks. Bonawentury oraz jego starania dla zorganizowania obserwatorium astronomicznego. W roku 1913 Magistrat uchwalił kredyty na stworzenie obserwatorium. Metler miał również zamiar przekazać dla przyszłego obserwatorium, skonstruowany przez siebie i przywieziony do Polski, duży teleskop oraz inne urządzenia służące do badań astronomicznych. Niestrudzony ksiądz Metler pragnął także utworzyć w Częstochowie „Popularne Towarzystwo Astronomiczne Polskie”, poprzednika Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii, które to założyło swój pierwszy oddział w Warszawie dopiero w roku 1929 – co świadczy o tym, iż ks. Metler należy do jego najdawniejszych, absolutnych prekursorów! Jednakowoż, przeszkody czynione przez władze carskie, a następnie wybuch wojny światowej, udaremniły realizację tych planów. Będąc prefektem w szkołach średnich, był także członkiem Koła Księży Prefektów. Jego działalność pedagogiczna znalazła uznanie u władz diecezjalnych. Szczególnie biskup Zdzitowiecki darzył go zaufaniem. Wyrazem uznania dla jego działalności popularyzatorsko – naukowej było choćby to, że biskup Zdzitowiecki wziął udział w jubileuszu 25 – lecia kapłaństwa Metlera i odprawił z tej okazji uroczystą mszę w kościele pod wezwaniem Imienia Maryi w dniu 23 listopada 1913 roku. W następnym roku, 13 lipca 1913, Zdzitowiecki mianował Metlera kanonikiem honorowym w kapitule kolegiackiej w Kaliszu. Ksiądz Metler był przekonany, że biskup Zdzitowiecki miał duże uznanie dla uprawianych przez niego dyscyplin naukowych oraz jego studiów zagranicznych. Przekonanie to było zdecydowanie uzasadnione i zaowocowało wspomnianym już awansem.

Nominację tę otrzymał w Sopocie. Kilka dni później, 23 lipca, na Helu Metler ratował życie biskupa Zdzitowieckiego podczas burzy morskiej, narażając własne życie na duże niebezpieczeństwo. Zbliżała się już nieuchronnie wielka wojna, która przerwała jego działalność katechetyczną i oświatową. Z chwilą wybuchu działań wojennych okolice Częstochowy i samo miasto znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie. Nastąpiła okupacja niemiecka i austriacka (Jasna Góra i kilka pobliskich domów były enklawą austriacką). Przerażony okrucieństwem wojny i okupacji – sam słabego zdrowia, nękany wieloma dolegliwościami fizycznymi, ciężko przeżywał początkowe miesiące wojny i na początku roku 1915 postanowił wyjechać do Ameryki, skąd do jasnogórskiego grodu powrócił dopiero w maju 1918 roku, doczekawszy wolnej Polski. Tymczasem w diecezji włocławskiej, na skutek działań wojennych oraz bardzo trudnych warunków bytowania znacznie zmniejszyła się liczba duchowieństwa. W takich okolicznościach otrzymał nominację na stanowisko proboszcza w małej, niedawno utworzonej parafii w miejscowości Garnek k. Radomska. Wśród biednej ludności wiejskiej organizował życie parafialne i prowadził zwyczajne duszpasterstwo. Był to bardzo trudny okres w jego życiu. Powrócił z Ameryki bardzo chory i załamany wewnętrznie. W dodatku w duszpasterstwie parafialnym dotychczas nie pracował, w tej sytuacji wszystkie rodzaje duszpasterstwa rozpoczynał od początku, co nie było przecież łatwe, a tutaj jeszcze, najbliższe okolice zostały całkowicie spalone podczas toczącej się wojny. Zdobyta przez niego wiedza astronomiczna nie mogła być wykorzystana w pracy parafialnej, gdyż parafianie byli analfabetami i nic nie zrozumieliby z jego wywodów naukowych. Natomiast w swoich kazaniach radował się z odzyskanej niepodległości po latach niewoli narodowej, co też przyniosło mu uznanie u wiernych. W swoich wspomnieniach podawał, że ludność okoliczna wybrała go posłem do pierwszego polskiego sejmiku po odzyskaniu niepodległości, w którym notabene występował w obronie praw Bożych w społeczeństwie polskim. Niestety jednak w wykazach posłów z lat 1919 – 1927 jego nazwisko nie zostało wymienione, lecz jednocześnie w podanym wykazie zostało pominiętych również wielu innych posłów. Praca duszpasterska w takim środowisku nie dawała mu, rzecz oczywista, satysfakcji. Dlatego chętnie przyjął nominację biskupa Zdzitowieckiego z dnia 19 maja 1919 roku na stanowisko proboszcza dużej parafii Kruszyna k. Radomska. W Kruszyńcu stacjonował jeszcze oddział wojska polskiego – mieszkańcy tej okolicy po raz pierwszy widzieli żołnierzy polskich. W samej parafii kolatorem (patronem, fundatorem kościoła, tym, który miał prawo przedstawienia biskupowi kandydata na wakujące beneficjum przy kościele) – był sławny ród Lubomirskich. Właściciele majątków kruszyńskich dbali o utrzymanie kościoła parafialnego i uposażenie proboszcza. Z oczywistych względów warunki pobytu i pracy duszpasterskiej były tu znacznie lepsze niż

w poprzedniej parafii. W pamięci ks. Metlera i miejscowych parafian szczególnie zapisały się udziały wojska w nabożeństwach. Na tego rodzaju nabożeństwa przybywały wielkie rzesze okolicznych mieszkańców. Do tych żołnierzy, właśnie w duchu patriotycznym, przemawiał z ambony ks. Metler. W końcu jednak wojsko opuściło Kruszyne w styczniu 1920 roku, udając się na wschodnie rubieże, dopiero co odrodzonej Rzeczypospolitej (a już ponownie zagrożonej). W swoich zapiskach podał, iż nazajutrz po opuszczeniu Kruszyzny przez wojsko było widoczne na niebie nadzwyczajne zjawisko, które według miejscowej ludności zapowiadało wielkie niebezpieczeństwo, kojarzone z wojną polsko – bolszewicką. W nowej parafii z zapalem przystąpił do pracy duszpasterskiej, zdając sobie sprawę z trudności, jakie wynikały z tego, że będzie on sam wobec ok. 5000 wiernych. Naturalnie, w parafii były duże zniszczenia materialne z czasów wielkiej wojny (zniszczone wieże kościelne oraz zniszczone zabudowania na plebanii). Jeszcze gorszym był, znaczący upadek życia moralnego i religijnego. Był to dla niego czas wytężonych wysiłków nad odrestaurowaniem świątyni parafialnej – co w warunkach powojennych było dużym wysiłkiem, chociaż właściciele miejscowego zamku i majątku, Lubomirscy, nie szczędzili środków na ten cel. Jeśli chodzi o odnowę życia religijnego w parafii, to najpierw zorganizował misje parafialne, które prowadzili redemptoryści, ze sławnym kaznodzieją Bernardem Łubieńskim na czele. Misje trwały 10 dni. Kazania głosiło 4 redemptorystów. Rekolekcje te i kazania samego proboszcza, przyczyniały się do pogłębienia umiłowania wolnej Ojczyzny i szacunku miejscowych wiernych dla obrońców niepodległości. Jednocześnie (takie były czasy) w spokojnej dotychczas parafii pojawili się zwolennicy Stanisława Thuguta, którzy propagowali lewicowe i antykościelne poglądy wśród wiejskiej ludności. Pełne niepokoju były też wystąpienia przeciwko bogatym posiadaczom ziemi, a Lubomirscy z Kruszyzny posiadali przecież rozległe majątki. Wystąpienia te groziły niepokojem społecznym – nawoływały m.in. do usunięcia duchownych z Kościoła katolickiego i wyboru ich przez miejscowych mieszkańców. I tu w Kruszyne dążyli do usunięcia proboszcza. Sytuacja był groźna, ale roztropne działanie biskupa pomocniczego W. Krynickiego, mieszkającego w Częstochowie, skutecznie zapobiegło niebezpieczeństwu. Dalsza praca wymagała jednak czujności, co w dużej parafii nie było łatwe. Tymczasem starania o wyznaczenie do pracy duszpasterskiej w Kruszyne drugiego kapłana (wikariusza) nie były możliwe do realizacji, gdyż wszędzie brakowało kapłanów. Zaraz po zakończeniu I wojny światowej, podobnie jak w całej Europie, tak i w Polsce, pojawiła się bardzo niebezpieczna epidemia grypy – zwanej *hiszpanką*. Na terenie rozległej parafii spełniał ksiądz Metler posługę religijną względem chorych, nawet w najbardziej odległych wioskach. Do chorych dojeżdżał furmanką w każdej sytuacji, gdy istniała groźba śmierci. Był to duszpasterski obowiązek udzielania ostatnich

sakramentów, wiatyku i namaszczenia chorych, umierających nawet na śmiertelne epidemie. W zaistniałej sytuacji wykazał się wielkim bohaterstwem i gorliwością. Narażając się na utratę życia, a także zakazowi administracyjnemu, udawał się do konających, aby spełnić posługi kapłańskie. Niestety podczas wypełniania tych powinności względem chorych, sam także zapadł na hiszpankę, a do tego dołączyło się zapalenie płuc. Groziło to w każdej chwili śmiercią. Zaprzyjaźniony lekarz z Warszawy, po udzieleniu mu niezbędnej pomocy, zalecił, aby Metler udał się do uzdrowiska w okolicach Bordeaux we Francji, gdzie tę chorobę leczono. Zdecydował się wówczas na podróż do Francji, do uzdrowiska Arcachon, gdzie dawni znajomi przygotowali mu odpowiednie warunki leczenia. Kuracja we Francji okazała się skuteczna. Ale większych jeszcze trudności przysporzyły „wiejskiemu proboszczowi”, jak sam o sobie mówił, wrogie poglądy wobec Kościoła katolickiego, głoszone przez różnorakich działaczy ludowych, wśród ludności wiejskiej na terenie jego parafii. Tutaj właśnie szczególnie udzielali się thugutowcy – skrajnie lewicowi działacze ludowi. Nie pozostawał obojętny wobec tych wystąpień. Dodatkowo w Kruszyńcu i okolicach istniał dogodny grunt do takiej działalności – duże posiadłości ziemskie, szczególnie sprzyjały takiej działalności, wrogiej wobec właścicieli dworów, jak i duchowieństwu katolickiemu. Nadal czuł się Metler „wiejskim proboszczem”, zatroskanym o wszystkie sprawy parafialne. Mimo dużej życzliwości i pomocy ze strony Lubomirskich, nie mógł tutaj ks. Metler realizować swych planów naukowych. Pragnął z całych sił kontynuować swe umiłowane dzieło „szukania przy pomocy formuł matematycznych i promieni świetlnych, przy pomocy astronomii Boga w ogromie i nieskończoności Piękna Światów Jego”. Swoje niezadowolenie przedstawił biskupowi Krynickiemu, a ten zaproponował mu podjęcie zajęć dydaktycznych z zakresu astronomii w gimnazjum biskupim we Włocławku. A tu poglądy ludności wiejskiej stawały się coraz bardziej radykalne. W liście do wspomnianego biskupa pisze: „proboszcz wiejski, z konieczności wojennych jałem się pracy, jako urodzony fachowiec, usuwania fiordów norweskich, zwartej ciemnoty z masy naszego ludu. Bóg tak chce – obowiązek do ostatka sił wypełnić trzeba. Jednakże dobry Jezus daje chwile odpoczynku. Rekolekcje letnie, a teraz znowu czterodniowy zjazd organizacyjny nauki w zmartwychwstałej i zjednoczonej Polsce odsłoniły na krótko wstęp do światów wyższych...” – chodzi o (wielkie wydarzenie w życiu Księdza), jakim było uczestniczenie w 1920 roku w I Zjeździe Nauki Polskiej w Warszawie. Swój udział w tym zjeździe uważał za wielki zaszczyt i uznanie dla swej działalności naukowej ze strony organizatorów. Uważał, że było to ukoronowanie jego działalności naukowej. Obrady zjazdu odbywały się w auli Uniwersytetu Warszawskiego. Obecni byli przedstawiciele polskich uniwersytetów, Akademii Umiejętności, instytucji naukowych i społecznych, a także

naukowcy. Mimo istniejących różnic i przekonań uczestników, wszystkim przyświecała idea odbudowy wolnej ojczyzny, poprzez wznoszenie przybytku wiedzy na terenie całej Polski. Mimo, iż na zjeździe było kilku duchownych, żaden z nich nie został zaproszony do wygłoszenia referatu. W takiej sytuacji ks. Metler, jako najstarszy spośród nich wiekiem, zdecydował się zabrać głos w sprawach nauk teologicznych (teologia w tych obradach w ogóle nie była przewidziana). W swoim wystąpieniu wskazał, że poznanie człowieka nie ogranicza się wyłącznie do sfery doświadczalnej, lecz wskazał także na prawa nadprzyrodzone, rządzące światem we wszystkich wymiarach. Na koniec swego przemówienia postulował, aby w Polsce utworzono obserwatorium astronomiczne i Popularne Polskie Towarzystwo Astronomiczne z siedzibą w Częstochowie. Zwrócił się także z prośbą, żeby w przyszłości na tego typu zjazdy naukowe byli wzywani także przedstawiciele nauk teologicznych. Pod koniec 1920 roku znacznie poprawił się stan jego zdrowia i mógł bez przeszkód prowadzić pracę duszpasterską w parafii kruszyńskiej. W czasie jego choroby, gdy przebywał we Francji, spaliła się cała wieś kościelna. Mieszkańcy Kruszyzny mówili wówczas, że była to kara Boża za wystąpienia przeciw proboszczowi. No cóż, w roku 1923 stan jego zdrowia pogorszył się ponownie i ze względu właśnie na to zrezygnował z nauczania w gimnazjum biskupim we Włocławku. Nie podreperował jego zdrowia także pobyt sanatoryjny w Zakopanem. Postanowił przejść na emeryturę. Mimo podjętego procesu leczenia stan jego zdrowia pogarszał się. Na czas kuracji musiał też znaleźć kapłana, który zastąpiłby go w pracy duszpasterskiej. 25 lutego w 1923 roku założył (mimo problemów zdrowotnych) Komitet Organizacyjny Polskiego Popularnego Towarzystwa Astronomicznego. Na ten cel urząd miejski przeznaczył fundusze oraz dwa pokoje i salę odczytową w Muzeum Higienicznym w Parku Podjasnogórskim oraz pawilon „Zawiercie”, który dotychczas był jednym z pozostałych budynków po Wystawie Rolniczo – Przemysłowej w 1909 roku. Ten właśnie budynek przeznaczono na obserwatorium astronomiczne, a Metler został jego dożywotnim dyrektorem. Pisał następnie: „w grodzie Maryi, ku chwale Stwórcy Świata, ku czci Królowej Polski, również ku chwale duchowieństwa polskiego i pożytkowi Kościoła”. Honorowym prezesem Towarzystwa Astronomicznego miał być Camille Flammarion. W ten sposób (na nasze szczęście – znaczy Częstochowian), upadły projekty ks. Metlera na zorganizowanie ośrodka wiedzy astronomicznej we Włocławku. Tymczasem, ze znanych już względów, czyli braku kapłanów, jego rezygnacja z posługi kapłańskiej nie została przyjęta przez władze diecezji. Panował wtedy kryzys gospodarczy i „wiejski proboszcz” naiwnie liczył na to, że zakończy się on po roku, i że wtedy łatwej będzie mu się przenieść do stolicy diecezji. Również tam planował zorganizować obserwatorium astronomiczne, w którym zainstalowany byłby największy w Polsce teleskop oraz inne urządzenia

astronomiczne. Twierdził, iż w przyszłości Polska „musi przecież puścić się na wyścigi z innymi narodami ku pozyskaniu przestworzy niebieskich”. Kryzys gospodarczy jednak nie minął i Metler nadal pozostał w Kruszyń. W okresie jego duszpasterstwa w Kruszyń wydatnie przyczynił się do powstrzymania miejscowej ludności przed wyjazdami na roboty sezonowe do Niemiec i Francji. To dzięki jego zabiegom właściciele majątków ziemskich na tym terenie, stworzyli odpowiednie warunki pracy, aby nie było potrzeby wyjazdu za granicę kraju. Po okresie niewoli narodowej w Kościele w Polsce nastąpiła konieczność reorganizacji granic metropolii i diecezji. We wszystkich projektach wyrażono potrzebę powołania diecezji częstochowskiej. W Częstochowie przeważało przekonanie, iż pierwszym biskupem zostanie mieszkający w mieście biskup pomocniczy Władysław Krynicki. Ksiądz Metler towarzyszył biskupowi w roku 1925 w Wiecznym Mieście w charakterze przewodnika, gdyż dobrze znał to miasto. W Rzymie ks. Metler spotkał się z kardynałem Maffi, który był także entuzjastą wiedzy astronomicznej. Na mocy bulli papieża Piusa X (z 1925 roku), powstała diecezja częstochowska, a jej pierwszym biskupem został ks. Dr Teodor Kubina z Katowic. Od tej pory Metler należał do nowej diecezji częstochowskiej, gdzie nadal pozostał na stanowisku proboszcza w Kruszyń. Jednocześnie dojeżdżał do Częstochowy w celu popularyzowania wiedzy astronomicznej wśród młodzieży. Wobec władzy diecezjalnej zdecydował się zaprezentować swoje projekty w zakresie szerzenia wiedzy astronomicznej. W tymże celu, w styczniu 1924 roku, udał się do biskupa nominata, dra T. Kubiny w Katowicach, aby przedstawić mu swe propozycje szerzenia wiedzy astronomicznej w Częstochowie. Już wtedy biskup Kubina wyraził zgodę na prowadzenie dotychczasowej działalności naukowej w Częstochowie, a także zapewnił go, że otrzyma wikariusza do pracy duszpasterskiej w Kruszyń (został nim ks. Aleksy Cudziński). Odtąd mógł znacznie więcej czasu poświęcać działalności popularyzatorsko – naukowej w Częstochowie. Wygłaszał wówczas prelekcje w szkołach średnich w Częstochowie – była to akcja odczytowa pt. „O tajemnicach nieba”. W Kruszyń została zorganizowana Liga Katolicka, a następnie Akcja Katolicka. Rozpowszechniono także czytelnictwo prasy katolickiej. Palącym problemem owych czasów był jednak brak kapłanów i z tego powodu otrzymał wiadomość, że znów sam będzie prowadził pracę duszpasterską. I w ten sposób, będąc jedynym duszpasterzem w dużej parafii, przy tym, przy stale pogarszającym się zdrowiu, prosił biskupa o przeniesienie go na inną placówkę parafialną. I w ten sposób, w dniu 14 maja 1932 roku, został mianowany administratorem parafii Maluszyn – wkrótce też został proboszczem tej parafii (w powiecie gidelskim). Równocześnie też został mianowany członkiem dozoru szkolnego w gminie Maluszyn. Kolatorem kościoła był tu hrabia Stanisław Potocki. Metler pracował tu jako zwykły proboszcz przy

układającej się współpracy z kolatorem, ale i tu z kolei wilgotny klimat nadpilicki źle wpływał na jego zdrowie, chorował w tym czasie na gruźlicę płuc. Z tej przyczyny biskup Kubina mianował go 18 czerwca 1934 roku proboszczem w parafii Parzymiechy, gdzie wśród lasów sosnowych i piaszczystych gleb panował suchy klimat, będący najlepszym lekarstwem na jego chorobę. Kolatorami byli tu również Potoccy, a w tym czasie hrabia Karol Potocki. W okresie bożonarodzeniowym w 1933 roku w „Gońcu Częstochowskim” ukazał się artykuł popularyzujący działalność ośrodka astronomicznego w Częstochowie. Autorem tego artykułu był najprawdopodobniej sam Metler. Autor informował w nim, że w mijającym roku obserwatorium odwiedziło 1451 osób. Polskie Towarzystwo Przyjaciół Astronomii w Częstochowie liczyło 26 członków rzeczywistych. Była tu mowa także o dokonaniu istotnych prac adaptacyjnych w budynku oraz o tym, że wygłoszono wiele odczytów. Na odczyty przybywała przeważnie młodzież gimnazjów częstochowskich; I Państwowego, Sióstr Nazaretanek, Społecznego, Szkoły Rzemieślniczo – Przemysłowej, Kursów Doksztalczących Miejskich oraz niektórych szkół powszechnych, a także harcerze. W dalekosiężnych planach „wiejskiego proboszcza” było zorganizowanie w Częstochowie, w dzielnicy Zacisze, na ofiarowanej przez Tadeusza Bogusławskiego posesji – obserwatorium astronomicznego – ściśle naukowego. Nowe obserwatorium miałoby nawiązać kontakty z obserwatoriami w innych krajach i realizować zadania w skali międzynarodowej. Jednak i w Parzymiechach pracował sam i dopiero po długich staraniach otrzymał do pomocy wikariusza. Prowadził też nadal obserwacje astronomiczne za pomocą własnego teleskopu. Ze względu na przebyte choroby płuc gardła, duże trudności sprawiało mu głoszenie kazań i nauczanie religii dzieci. Nauczycielem był wymagającym i jednocześnie domagał się dobrego zachowania się uczniów w szkole. Jeśli chodzi o Parzymiechy, to było to środowisko typowo wiejskie, biedne i niesprzyjające działalności naukowej. Jego pasje nie budziły żadnego zainteresowania. Pod koniec lat trzydziestych, widać było już zmiany w jego postawie – liczne choroby i podeszły wiek, znacznie utrudniały mu kontynuowanie dawnej aktywności popularyzatorsko – naukowej. Owe choroby stawały się coraz większą przeszkodą w jego pracy. W ogrodzie plebańskim (a jakże!), posiadał mały teleskop, który jednak jedynie przypominał mu dawną działalność naukową. Wikariuszem w parafii Parzymiechy był wówczas ks. Marian Ratuszny, który wykazywał duże zainteresowanie wiedzą astronomiczną. Ks. Metler wprowadził młodego kapłana w tajniki wiedzy astronomicznej. Myślał też o przekazaniu mu całej swojej spuścizny astronomicznej wraz ze zobowiązaniem przekazywania wiedzy astronomicznej młodemu pokoleniu Polaków. Zbliżał się wybuch II wojny światowej. Parzymiechy leżały w strefie przygranicznej z Niemcami. W miesiącach wakacyjnych 1939 roku do Parzymiech i okolicy przybywało

wojsko polskie, celem obrony zachodniej granicy Polski. W niedziele i święta żołnierze przychodzili na nabożeństwa parafialne. Jak dawniej do tych żołnierzy przemawiał z wielkim patriotyzmem. Otrzymał wówczas nowego współpracownika, neoprezbitera ks. Józefa Daneckiego, który do parafii przybył 25 sierpnia 1939 roku. 15 sierpnia 1939 roku, w dniu Wniebowzięcia NMP, odbyło się w Parzymiechach uroczyste nabożeństwo na placu przed szkołą. Mszę św. odprawił ks. Metler, a kazanie wygłosił, znany jako świetny kaznodzieja, ks. Marian Ratuszny. Religijno – patriotyczna manifestacja, niewątpliwie nie uszła uwadze obywateli polskich niemieckiego pochodzenia, wywodzących się z tzw. kolonistów. Byli wśród nich zdrajcy, członkowie hitlerowskiej piątej kolumny. Tymczasem Metler, w imieniu mieszkańców i własnym, wysłał telegram do marszałka Edwarda Rydza – Śmigłego, zapewniając w nim o wierności wobec ojczyzny i gotowość jej obrony, ale treść tego telegramu przechwycił wywiad hitlerowski. W pierwszych godzinach II wojny światowej, tereny przygraniczne narażone były bardzo na wiele niebezpieczeństw. We wczesnych godzinach rannych 1 września, rozpoczęły się bohaterskie walki polskich żołnierzy z wojskami hitlerowskimi. Wobec przewagi bojowej Wehrmachtu, żołnierze polscy w zorganizowany sposób wycofywali się. Na wieży kościelnej pozostał polski żołnierz, trwając na stanowisku z karabinem maszynowym. W Parzymiechach walczące oddziały piechoty polskiej zadały poważne straty wkraczającym oddziałom hitlerowskim. Żołnierze polscy z najwyższym poświęceniem bronili ojczystej ziemi. Wielu żołnierzy Wehrmachtu poległo. Wobec tego, okrutna zemsta żołnierzy niemieckich, skierowana była przede wszystkim wobec polskiej ludności cywilnej. Mordowano nawet polskie niemowlęta oraz starców i kobiety. Zaś teleskop ks. Metlera żołnierze Wehrmachtu uznali za przyrząd, którym posługiwano się w kierowaniu atakiem polskich żołnierzy. Ukrywających się w piwnicy na plebanii kapłanów oraz ich sąsiadów zaczęli hitlerowcy maltretować i mordować – uprzednio jeszcze zdążyli spalić ich domy. W końcu wielu mieszkańców, w tym obu kapłanów i organistę, aresztowali. Przesłuchiwali głównie ks. Metlera, który dobrze mówił po niemiecku, ks. Daneckiego i organistę. Zostali ustawieni przed plebanią. Ks. Metler, mimo wszystko, pod strażą żołnierzy niemieckich, udał się do świątyni. Zdołał też uratować z kościoła Najświętszy Sakrament, a część spożył – ratując Go przed profanacją, do bursy dla chorych, ukrytej pod sutanną zabrał wiatyk, na wypadek konieczności zaopatrzenia na śmierć konających. Sakrament ukrył pod sutanną. Gdy żołnierz niemiecki zapytał, co to jest – odpowiedział po niemiecku - to jest mój Bóg. Wówczas żołnierz silnie go popchnął i doprowadził do stojących Polaków. Następnie podpalili plebanię, a kapłanów i innych mieszkańców wywieźli do wsi Grabarze. Ks. Metler znów był przesłuchiwany, ale tym razem został także pobity. Kiedy powrócił do swoich powiedział: „ja już żył nie będę”. Po bestialskich torturach

w nocy, został wraz z wikariuszem i organistą zawleczony za samochodem do wsi Jaworzno k. Wielunia (ok. 6 km), gdzie 2 września zostali rozstrzelani przez żołnierzy Wehrmachtu, strzałami w plecy. Jeszcze wcześniej do ks. Metlera podszedł oficer Wehrmachtu, rozerwał mu sutannę i wyrwał bursę z sanctissimum i rzucił na ziemię – pobity Metler zdołał jeszcze zawołać „o Boże!”. Po egzekucji zostali pogrzebani na podwórzu miejscowego gospodarza Piotra Omyły. Po kilku dniach gdy powrócili polscy mieszkańcy, odkryli świeżą mogiłę. Po zezwoleniu przez władze niemieckie, dwa tygodnie później, przeniesiono ciała zamordowanych na cmentarz grzebalny i pochowano we wspólnej mogile. Śmiertelna kula skierowana do ks. Metlera utkwiała w naczynku z Najśw. Sakramentem. Na mogile położono też obrazek Najświętszego Serca Jezusa, który od lat nosił ks. Metler. Obrazek ten był zalany krwią. Jak relacjonowali świadkowie, z których później część przewieziono na przymusowe roboty do Niemiec w Grabarzach i Jaworznie, powodem zamordowania ks. Metlera i jego towarzyszy był teleskop na plebanii w Parzymiechach, a także treść telegramu, przesłanego do marszałka Rydza – Śmigłego, w którym dał wyraz wierności swojej i całej parafii wobec ojczyzny. Po zakończeniu okupacji hitlerowskiej w 1945 roku zwłoki ks. Metlera i jego współpracowników zostały ekshumowane i pochowane zgodnie z zasadami pochówku chrześcijańskiego, pod przewodnictwem bp. Teodora Kubiny. Gdy po wielu latach zastanawiano się, co było bezpośrednią przyczyną zabicia księdza, stwierdzono jednakże, iż obecnie trudno to ustalić. Trudno ustalić, co formalnie mu zarzucano. Niektórzy twierdzili, że chodziło o ostrzał Niemców z wieży kościelnej. W rzeczywistości zarzuty postawione ks. Metlerowi, były tylko pretekstem. Uwięziono go i skazano na śmierć tylko dlatego, że był on duchowym przywódcą miejscowej ludności. W podobnych okolicznościach zginął ks. Ignacy Chartliński, proboszcz pobliskiej parafii Działoszyn. W testamencie, ślubowaniu uczynionym w Lourdes w 1891 roku, ks. Bonawentura Metler modlił się o łaskę męczeństwa, tymi słowami: „Cierpieć, ach cierpieć bez końca, bez miary – Pożądam – wołam męczeństwa i ofiary”. Dopełniło się to blisko po pół wieku. Ksiądz Metler żywił szczególne nabożeństwo do Serca Pana Jezusa. Kiedy znajdował się w trudnej sytuacji, wpatrywał się w skrytości w wizerunek Serca Pana Jezusa, prosił o radę i pomoc. Mówił głośno tak, że zdawało się, iż rozmawia z żyjącą osobą. Kiedy w czasie ekshumacji ciała Bonawentury Metlera znaleziono przestrzelony i skrwawiony obrazek, jak również połamany różaniec, złożono to na jego grobie (wraz ze strzępem jego siwych włosów) na cmentarzu w Jaworznie. Ostatecznie przewieziono zwłoki ks. Metlera i jego towarzyszy do jednej mogiły na cmentarzu w Parzymiechach. W ten sposób zakończyło się życie i działalność księdza kanonika Bonawentury Metlera. Z wykształcenia i zamiłowania był astronomem. We Wszechświecie szukał śladów Wszechmogącego Boga

i w tej wielkiej świątyni Bożej Opatrzności znajdował je. Był kapłanem zakochanym w gwiazdach, w tym również Tej „najjaśniejszej Gwieździe – Dziewicy, co strzeże Sanktuarium Aktu Czystego”. Był pionierem krzewienia astronomii miłośniczej w naszym kraju i z tego względu przyniósł sobie i swojemu regionowi chwałę, a my możemy być z tego powodu przejęci dumą. Nasze pokolenie również złożyło mu hołd – 5 września 1999 roku w Parzymiechach odbyły się uroczystości patriotyczno – religijne. Pod pomnikiem „Niobe” złożono kwiaty i wieńce. Uroczystą Sumę w intencji parzymieskich męczenników odprawił ks. prof. dr Jan Związek. Wygłosił on też homilię i dokonał poświęcenia pamiątkowej tablicy ku czci zamordowanych księży i organisty (głównym powodem była 60 rocznica ich tragicznej śmierci). Fundatorem tablicy pamiątkowej był współorganizator uroczystości w Parzymiechach, żołnierz AK i KWP – Mieczysław Orzelek.

Dotychczasowe wiadomości na temat życia i działalności ks. Bonawentury Metlera opierały się na niewielkim zbiorze akt personalnych, przechowywanych w Archiwum Diecezjalnym w Częstochowie. Niestety nie są to kompletne akta personalne, zwyczajowo gromadzone i przechowywane w archiwach kościelnych. Podczas działań wojennych, toczonych we Włocławku w czasie wojny bolszewicko – polskiej zostały zniszczone dokumenty dotyczące Metlera. Szczęśliwie jednak, włocławska władza diecezjalna już w następnych latach, nakazała wszystkim kapłanom, napisanie i przesłanie do kurii biskupiej we Włocławku szczegółowego, własnego curriculum vitae. Jeśli chodzi o CV ks. Metlera – to jest to specyficzny autobiogram, bowiem został napisany po łacinie (jest to łacina bogata w słownictwo i formy klasyczne). Do cenniejszej spuścizny po księdzu – astronomie należy sprawozdanie z uczestnictwa w Ogólnym Zjeździe dla Organizacji Nauki Polskiej w Warszawie w dniach 7 – 10 kwietnia 1920 roku. Obok relacji o przebiegu Zjazdu, ks. Metler przytoczył także obszernie fragmenty swego przemówienia, wygłoszonego na Zjeździe. Osoba księdza Bonawentury Metlera znana jest również w literaturze historycznej. Od czasu do czasu przypominało o jego działalności duszpasterskiej i naukowej, ale przede wszystkim zwracano uwagę na jego męczeńską śmierć w drugim dniu II wojny światowej. Jednakże wielkość i znaczenie dla nauki polskiej ks. Metlera spowodowały zamieszczenie jego życiorysu w „Polskim Słowniku Biograficznym” – niestety autor tegoż wpisu wskazał jedynie na fakt uprawiania i popularyzowania wiadomości astronomicznych w Częstochowie i okolicach. W maju 1994 roku udało się odnaleźć kilka rękopisów ks. Metlera. Znajdowały się one w posiadaniu ks. Mariana Ratusznego, który był wikariuszem w parafii Parzymiechy. Współpraca Ratusznego z Metlerem trwała kilka lat. Ks. Ratuszny, wówczas młody kapłan, był zafascynowany astronomią, a ksiądz Metler udzielał mu fachowej wiedzy z tej dziedziny. Po śmierci Metlera, Ratuszny ocalił przed

zniszczeniem jego rękopisy. W dniu 19 maja 1995 roku, odbyła się Sesja popularno – naukowa nt. Książd Bonawentura Metler i jego następcy. Organizatorami byli m.in.: Częstochowskie Towarzystwo Naukowe oraz Częstochowski Oddział Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii. Pierwsza przedpołudniowa część Sesji odbyła się w Muzeum Częstochowskim w ratuszu, której uczestnikami byli najwybitniejsi przedstawiciele częstochowskiego i ogólnopolskiego środowiska naukowego, władz miasta oraz dostojnicy kościoła. Druga część Sesji, odbyła się w obserwatorium astronomicznym WSP (obecnie AJD) w Częstochowie, w podjasnogórskim Parku im. Stanisława Staszica. Sesja poświęcona była astronomicznej działalności ks. Metlera oraz przyszłości i teraźniejszości Obserwatorium Astronomicznego, którego był założycielem. Zamiar założenia obserwatorium astronomicznego w Częstochowie powziął ks. Metler już w chwili przybycia do Częstochowy, w 1908 roku. Jako obiekt użyteczny do tego celu upatrzył sobie wolno stojący budynek w parku miejskim (obecnie im. S. Staszica). Był to pawilon pozostały po zorganizowanej w 1909 roku Wystawie Przemysłowo – Rolniczej, własność Towarzystwa Akcyjnego „Zawiercie”. Rozpoczął więc starania o ten budynek. Zostały one uwieńczone sukcesem w roku 1923. Wtedy to, w 450 rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika, ówczesny prezydent miasta Częstochowy, Józef Marczewski, przekazał pawilon w celu przystosowania go do potrzeb przyszłego obserwatorium astronomicznego. Wspólnym wysiłkiem społeczeństwa Częstochowy, częściowo z funduszy mieszkańców, a także z zasobów własnych (!) ks. Metlera, przebudowano pawilon, zamieniając go w 12 – Kątną wieżę zwieńczoną kopułą o średnicy 5m. Otwarcia Obserwatorium Astronomicznego dokonano w roku 1928 z ks. Metlerem, jako dożywotnim kierownikiem tejże placówki. Na wyposażeniu znalazła się luneta – ekwatoriał z optyką Zeissa, ofiarowana przez majora WP Wincentego Skrzywaną, który ją własnoręcznie skonstruował, kilkudziesięciotomowa biblioteka oraz wysokiej klasy zegar astronomiczny. Notabene zegar ten po wielu perypetiach wrócił do Obserwatorium i bezbłędnie działa do dziś. W tym samym roku, 17 listopada, powstał Częstochowski Oddział Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Astronomii. Największy rozkwit działalności Obserwatorium przypadł na lata tuż przed II wojną światową. Obserwatorium opiekowali się wówczas; Tadeusz Sejfried, Stanisław Przesłański i Jan Gustowski. W roku 1936 odbył się remont budynku, zmieniono m. in. blachę pokrywającą kopułę. Po wybuchu wojny, obserwatorium zostało zamknięte. Optykę lunety ukrył u siebie w domu Tadeusz Sejfried, zegar znalazł schronienie na Jasnej Górze. Po wojnie, w 1945 roku, Zarząd Miejski roztoczył opiekę nad obserwatorium i dopomógł w jego otwarciu. Grupa entuzjastów astronomii, uczniów Liceum im. H. Sienkiewicza pod kierunkiem profesora tego Liceum,

Tadeusza Sejfrieda, doprowadziła budynek do używalności. Naprawiono lunetę. W latach 1949 – 1956 obserwatorium stało w zupełnym zapomnieniu. W 1956 roku powołano do życia Częstochowski Oddział Polskiego Towarzystwa Matematyczno – Astronomicznego, któremu przewodniczył mgr Jerzy Rudenko. Obserwatorium odremontowano dzięki staraniom Wydziału kultury Prezydium MRN. Przyszły jednak lata chude, czyli brak zainteresowania władz miejskich dalszym losem Obserwatorium. Rudenko zrzekł się zajmowanego stanowiska. Powoli Obserwatorium zaczęło popadać w ruinę. W roku 1962 funkcję prezesa Oddziału PTMA objął doc. dr inż. Roman Janiczek. Oczyszczono pomieszczenie oraz wykonano roboty malarskie wewnątrz budynku. Przebudowano kopułę w celu umożliwienia obserwacji w zenicie, zakupiono nową lunetę (stara historyczna luneta została przekazana do dyspozycji Zarządu Głównego PTMA). Zmodernizowano wnętrze, zakupiono dodatkowy sprzęt obserwacyjny. A oto jak powojenną historię obserwatorium widział Roman Janiczek, cytując: „Wypadło mi się zająć budynkiem Obserwatorium w Częstochowie. To powystawowy pawilon z roku 1908. Pusta wewnątrz wieża wys. 10 m średnicy 6 m, wewnątrz schody drewniane oparte o ścianę i zawieszone na żelbetowej płycie dachowej, na niej ksiądz Bonawentura Metler zbudował w 1929 roku drewniany pawilon obserwacyjny z obrotową kopułą oraz lunetą, darowaną przez majora Skrzywana. Po wojnie działalność popularyzatorską prowadził tu, do czasu, gdy urządzenia obrotowe przestały działać, mgr Jerzy Rudenko, nauczyciel matematyki w Liceum im. R. Traugutta. Dałem wybrać się na prezesa Częstochowskiego Oddziału PTMA 6 VII 1962 r. Obiecałem urządzić budynek Obserwatorium. Mając kontakty z biurem projektów „Miastoprojekt” w Częstochowie, namówiłem kolegów do opracowania dokumentacji przebudowy budynku Obserwatorium w czynie społecznym. Dokumentacja była gotowa w 1964 roku. 5 XI wraz z Rudenką byliśmy na audencji u wojewody Jerzego Ziętki. Zacząłem mówić o Obserwatorium. Ziętek przerwał: „Ile Wam trzeba?”. Powiedziałem, nie chcąc zbyt wiele żądać: „Tak około 200 tysięcy zł”. Ziętek powiedział „Niech Kowalski ze mną porozmawia” i podał nam rękę na pożegnanie. Za dwa tygodnie odwiedziłem Przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej w Częstochowie, pana T. Kowalskiego, i zapytałem czy rozmawiał z Jerzym Ziętkiem. Lekko niezadowolony odpowiedział: „... wy nie macie głupich 200 tysięcy na Obserwatorium?”. Więc mieliśmy już środki na rozpoczęcie budowy. Według projektu: dwa stropy na własnych słupach i schody, wszystko w żelbecie, ściany działowe. Instalacje wewnętrzne i zewnętrzne ich doprowadzenie. Dopiero w październiku 1965 przystąpiło do robót Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo – Budowlane. Wiele robót, zwłaszcza instalacyjnych, zostało wykonanych przez właściwe przedsiębiorstwa w czynach społecznych. Niektóre instytucje, jak Spółdzielnia Spożywców „Społem”, ofiarowały nam dotacje. Ostatecznie

oficjalne otwarcie, połączone ze Zjazdem Prezesów PTMA, z udziałem prof. Eugeniusza Rybki, nastąpiło 25 maja 1969 roku (rocznica Kopernikowska). Dokumentacja nie uwzględniała remontu kopuły obserwacyjnej, więc, przy pomocy majstrów z laboratorium wytrzymałości materiałów z Politechniki Częstochowskiej, zrobiliśmy prowizoryczny remont; umożliwiający pracę na parę lat. Dopiero, gdy utworzyłem na Politechnice Częstochowskiej nowy wydział (Instytut Inżynierii Lądowej), w którym zostałem dziekanem, powstały możliwości zbudowania nowego pawilonu obserwacyjnego. W ramach prac dyplomowych dałem temat „Szkieletowa konstrukcja stalowa dla kopuły pawilonu obserwatorium astronomicznego”. Więc powstała dokumentacja. Do pomocy przy prowadzeniu zajęć z mechaniki budowli przyjąłem młodego, niezwykle sympatycznego dyrektora technicznego Przedsiębiorstwa Budowlano – Montażowego Hutnictwa mgr. inż. Adama Kielichowskiego (PBMH prowadziło wiele robót w kraju i za granicą – między innymi na terenie budowy Huty Katowice). Zapytałem go, czy nie mógłby przeprowadzić zbudowania nowej kopuły obserwatorium w Parku Staszica. Ponieważ formalnie właścicielem Obserwatorium był Zarząd Miejski w Częstochowie, więc stąd winien wyjść wniosek z prośbą o wykonanie tej pracy w czynie społecznym. I tą drogą obserwatorium w Częstochowie otrzymało całkowicie nowy pawilon obserwacyjny. Odbiór tej pracy został przeprowadzony 25 listopada 1981. Stwierdziwszy brak zainteresowania przez członków Częstochowskiego Oddziału PTMA działalnością statutową, w trosce o dalsze losy budynku Obserwatorium, uznane zostało za właściwe przejęcie budynku Obserwatorium przez Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Częstochowie. Prezydium Zarządu Głównego PTMA przygotowało w dniu 27 kwietnia 1983 umowę, gwarantującą prawa członków PTMA. Podpisano ją dnia 29 kwietnia 1983. Ze strony PTMA: ja, jako Prezes PTMA oraz mgr Jan Wieczorek, jako Prezes Częstochowskiego Oddziału. Ze strony WSP Prorektor ds. Nauki, doc. dr Wojciech Lenkow”.

Wymienione działania nie zdołały jednak ożywić pracy Obserwatorium na odpowiednim poziomie. W Częstochowie nie było człowieka, który byłby w stanie wziąć na siebie ciężar animacji życia astronomicznego, a tym bardziej utrzymania w kondycji Obserwatorium. Ustalenie podwójnych praw do budynku, wyższej uczelni (WSP) i PTMA, w dodatku przy braku wsparcia ze strony władz Miasta, nie było szczęśliwym pomysłem.

Podjęmowane przez WSP próby remontu budynku, doprowadziły do drastycznego pogorszenia jego stanu. Ostatecznie, po 2000 roku, dr Bogdan Wszolek, wtedy świeżo przyjęty do pracy w WSP astronom, po przeprowadzeniu inspekcji Obserwatorium stwierdził, że budynek znajduje się w ruinie i w takiej postaci nie może pełnić funkcji obserwatorium astronomicznego. Zasugerował natychmiastowy i rozległy remont, albo oddanie budynku Miastu. Rektor WSP, prof. dr hab. Janusz Berdowski, wybrał drugi wariant. Instrumenty przeniesiono do budynków WSP,

a Miasto przejęło budynek. Od tego czasu astronomia częstochowska, animowana przez Bogdana Wszółka, ma swoje centrum w murach Akademii im. Jana Długosza przy Al. Armii Krajowej 13/15, a budynek dawnego obserwatorium został wspaniale odrestaurowany przez Miasto, ale nie na potrzeby astronomii. Po upadku wcześniejszego Częstochowskiego Oddziału PTMA, w roku 2009 dr Wszółek ponownie powołał go do istnienia i nadał nowemu Oddziałowi imię ks. Bonawentury Metlera. Oddział pielęgnuje pamiętki po swoim patronie, ale już poza parkiem podjasnogórskim.

Bibliografia

- Głowacki M., 1966, *Kształt Ziemi*: opracowanie według rękopisu Metlera z zachowaniem oryginalnej pisowni, *Ziemia Częstochowska* T. 23 s. 33
- Głowacki M., 2006 *Bonawentura Metler – pionier częstochowskiej astronomii*, *Ziemia Częstochowska* T. 33, s. 25
- Goniec Częstochowski, 1913, *Dwudziestolecie kapłaństwa*, nr 320, s. 3
- Właźlak W., 1998, *Bonawentura Metler – Wiara – Nauka – Ojczyzna*, Biuletyn Instytutu Filozoficzno – Historycznego WSP w Częstochowie, Nr 13, s. 29
- Związek J., 1996, *Per aspera ad astra: życie i działalność ks. Bonawentury Metlera*, *Ziemia Częstochowska* T. 23, s. 11
- Związek J., 1998, *Metler Bonawentura (1866 – 1939)*, W: Słownik biograficzny ziemi częstochowskiej (pod red. A. J. Zakrzewskiego) T. 1, s. 91
- Związek J., 2006, *Ks. Bonawentura Metler jako duszpasterz (1866 – 1939)*, *Ziemia Częstochowska* T. 33, s. 13

Ks. Metler w prasie częstochowskiej w latach 1909-1938

Grzegorz Czepiczek

Częstochowski Oddział PTMA

Wstęp

Od grudnia 2013 do marca 2014 przeglądałem prasę częstochowską z lat 1906 do 1939 w celu opracowania historii Rotundy, która istniała w Częstochowie w latach 1896 do 1935. Zauważyłem, że w prasie Częstochowskiej z lat 1909-1938, często pojawia się ks. Bonawentura Metler. Po przejrzeniu prasy przedwojennej, naliczyłem, że Metler występuje ponad 90 razy w przeglądanych gazetach. Niektóre artykuły były jego autorstwa.

Po raz pierwszy nazwisko Metlera znajdujemy w notatce prasowej pt. „Konferencje” w Gońcu Częstochowskim z dnia 7 marca 1909. Jest tam zapowiedź, że ksiądz Metler wygłosi następnego dnia referat. W tej pracy przytoczę najciekawsze artykuły, które dzielę na dwie kategorie. Pierwsza dotyczy astronomii, a druga religii.

Astronomia

Już w roku 1913 ks. Metler próbował w Częstochowie uruchomić obserwatorium astronomiczne. O tym informują trzy artykuły prasowe z Gońca Częstochowskiego (GC) z dnia 27 maja, 2 czerwca i 4 września. W tych notatkach możemy się dowiedzieć, że Radni Miasta Częstochowy przeznaczają były pawilon wystawowy „Zawiercie” pod obserwatorium astronomiczne. Miasto postanowiło przeznaczyć 600 rubli rocznie na utrzymanie tego obserwatorium oraz planowało wyposażyć je w odpowiednie instrumenty. Pomysł utworzenia w mieście obserwatorium spodobał się p. Gubernatorowi Piotrkowskiemu. Z pozytywną opinią utworzenia obserwatorium przesłał projekt do zatwierdzenia do Warszawy. Niestety w Warszawie uznano, że sprawa ta nie jest pilna i postanowiono odłożyć rzecz dla przyszłego Samorządu. Niestety, rok później wybuchła pierwsza wojna światowa i przystąpienie do realizacji projektu nastąpiło dopiero po 10 latach.

Pawilon wystawowy był własnością huty „Zawiercie”. Wystawa Przemysłu i Rolnictwa odbyła się w nim w dniach od 5 sierpnia do 3 października 1909. Na stronie internetowej <http://www.wystawa1909.pl> można znaleźć bliższe szczegóły dotyczące wystawy. Dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości udało się Metlerowi utworzyć w Częstochowie obserwatorium. Choć na początku nie było łatwo, bo miasto musiało się odbudować po 123 latach niewoli. W dniu 4 listopada 1925

nastąpiło jednak uroczyste wręczenie ks. Prałatowi Metlerowi kluczy do obserwatorium. Wręczył je, w zastępstwie Prezydenta Miasta, ławnik Nieprzecki.

— Obserwatorium astronomiczne w Częstochowie.

Dowiadujemy się z wiarogodnego źródła, że kwestja obserwatorium astronomicznego w Częstochowie przybierze wkrótce realne kształty. Radni miasta, pojmując doniosłość tej sprawy, zaofiarowują pod obserwatorium klośk „Zawiercie” w parku powystawowym, gdzie po odpowiednich przeróbkach urządzone będzie obserwatorium.

Częstochowa zyska w obserwatorium pożyteczną placówkę naukową, którą ma objąć znany w mieście prefekt ks. Bonawentura Mettler, uczony astronom, uczeń Kamilla Flammariona. Na razie ks. Mettler będzie używał własnych instrumentów, zaś miasto dostarczy z biegiem czasu nowe instrumenty po zebraniu odpowiedniego funduszu drogą składek.

Częstochowianie zainteresują się rozwojem obserwatorium, ważna to bowiem sprawa w kształceniu młodzieży szkolnej, która dotychczas swe wiadomości z dziedziny astronomji czerpie jedynie z suchych podręczników. Dzięki obserwatorium uczniowie będą mogli nabywać wiadomości astronomiczne drogą doświadczeń interesujących i wzbudzających w nich chęć do tej nauki.

— Obserwatorium w Częstochowie.

W uzupełnieniu notatki pod powyższym tytułem, zamieszczonej na łamach naszego „Gońca Częstoch.” nadmienić musimy, iż na piątkowym posiedzeniu Magistratu zapadła ostateczna uchwała oddania ks. Mettlerowi kiosku „Zawierci” w parku powystawowym na obserwatorium astronomiczne. Nadto uchwalono subsydjonować to obserwatorium asygnując po 600 rb. rocznie.

GC, 2 czerwca 1913, Nr 148, str. 5

W sprawie Obserwatorium Częstochowskiego.

Uznane za pożyteczne przez pp. radnych miasta z p. prezydentem na czele, co się okazuje z uchwalenia rocznego sybudyum w kwocie rb. 600, oraz podarowania na ten cel pawilonu „Zawiercie“ w parku. Obserwatorium Astronomiczne w połączeniu ze Stacją Meteorologiczną znalazło od samego początku szczere zainteresowanie u p. gubernatora Jaczewskiego, który ks. pr. Metlera w tej sprawie kilkakrotnie najprzychylniej przyjmował odsyłając go do miejscowych władz z obietnicą gorącego poparcia mającej powstać tak ważnej instytucji naukowej.

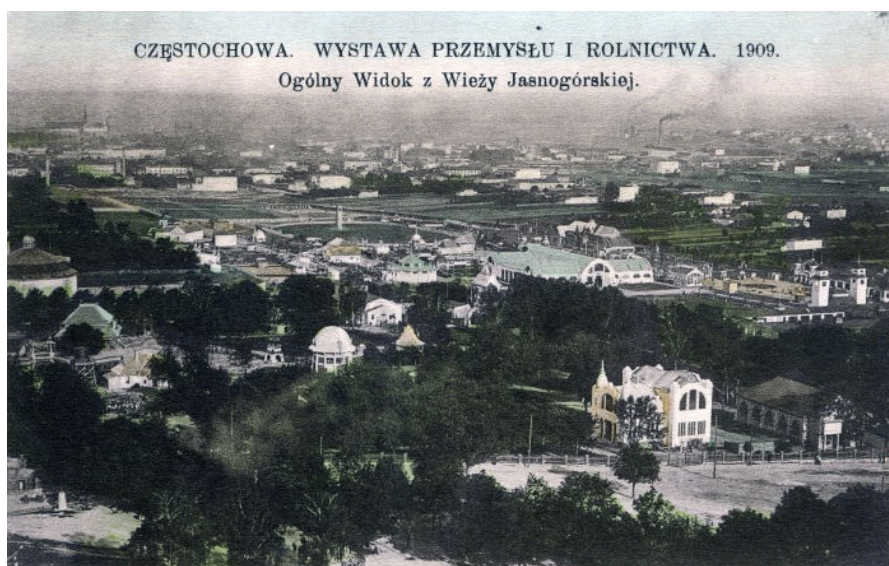
Dzięki też wysokiemu poparciu p. Gubernatora Piotrkowskiego, tudzież wielkiej przychylności byłego naczelnika pow. Częstochow. ks. Awałowa, Magistrat projekt Obserwatorium w czyn wprowadzić zamierzając, powyższą uchwałę do zatwierdzenia władzom przesłał przed dwoma miesiącami. Władze Częstochowskie ze swej strony chętnie ją przyjęły, a pan Gubernator Jaczewski z najlaskawszą opinią do wyższych władz w Warszawie ją przesłał do ostatecznego zatwierdzenia. W Warszawie jednakże uznano za właściwe sprawę tą, jako i inne sprawy odłożyć, jak się zdeje do przyszłego Samorządu. Jak każda ważna rzecz, tak i Obserwatorium musi przejść trudne fazy swego poczęcia.

Myśl jednak, znalazłszy ray uznanie ogółu, jako wielce pożyteczna dla uczącej się a tak w naszym mieście liczny młodzieży starszej, oraz dla wszystkich pragnących orjentować się w gwieździstym wszechświecie, znajdzie niebawem uznanie i u tych, w których ręku spoczywa jej urzeczywistnienie

R.

Częstochowa, 3—IX—13.

GC, 4 września 1913, Nr 242, str. 3



Widok na plac wystawowy z wieży jasnogórskiej. (Dawna widokówka)



Pawilon „Zawiercie” podczas wystawy. (Dawna widokówka)

Dowiadujemy się o tym z artykułu „Otwarcie Obserwatorium Astronomicznego” (GC, 5 listopada 1925). Z notatki prasowej „Kiedy uruchomione będzie Obserwatorium Astronomiczne?” (GC, 6 listopada 1925) dowiadujemy że Ks. Metler planował uroczyste otwarcie tego obserwatorium dla szerszej publiczności na dzień 3 maja 1926 roku. Niestety, problemy z finansowaniem obserwatorium przez miasto odsunęły uroczystość otwarcia do 1 września 1928 roku. Od 12 września, w środy każdego tygodnia, odbywały się obserwacje astronomiczne dla zapisanych członków Polskiego Popularnego Towarzystwa Astronomicznego. Zwykle odczyty miały odbywać się w każdą ostatnią niedzielę miesiąca, poczynając od września. Możemy o tym przeczytać w artykule „Otwarcie Obserwatorium Astronomicznego w parku Staszycy” (GC, 1 września 1928).

Ks. Metler został dyrektorem obserwatorium aż do wybuchu II wojny światowej.

Otwarcie Obserwatorium Astronomicznego

Z inicjatywy i na skutek osobistych zabiegów znanego astronoma, ucznia Flammariona, ks. prał. Metlera, pozostały z wystawy rolniczej pawilon Zawiercie, na skutek uchwały Rady miejskiej został przez Magistrat przebudowany na Obserwatorium Astronomiczne. Koszta przebudowy, dokonanej przez firmę „Szymkowiak i S-ka“, wynosiły około 9000 zł.

W dniu wczorajszym o g. 1 i pół po poł. odbyła się właśnie uroczystość otwarcia i przejęcia przez ks. prał. Metlera budynku Obserwatorium.

Wobec zaproszonych dyrektorów szkół, klucze od budynku wręczył ks. Prałatowi w zastępstwie prezydenta miasta p. ławnik Nieprzecki.

Po przemówieniu ks. prał. Metlera zgromadzeni goście zwiedzili budynek i na tem uroczystość zakończono.

Dzień uruchomienia Obserwatorium będzie wyznaczony przez ks. prał. Metlera po zaopatrzeniu budynku w niezbędne urządzenia.

— Kiedy uruchomione będzie Obserwatorium Astronomiczne?

Jak już donosiliśmy, w ub. środę Magistrat przekazał ks. prał. Metlerowi budynek przeznaczony na Obserwatorium Astronomiczne w parku Staszycy. Ks. Metler przy odbieraniu kluczy od ławnika Serednickiego oświadczył, że po sprowadzeniu własnych aparatów astronomicznych z Kruszyny i wewnętrznem urządzeniu przyjętego budynku, uroczyste otwarcie Obserwatorium odbędzie się w dniu 3-cim Maja 1926 r.

GC, 6 listopada 1925, Nr 257, str. 3

GC, 5 listopada 1925, Nr 256, str. 3

W dniu 26 października 1928 odbyło się walne zebranie Towarzystwa Miłośników Astronomii w Warszawie. Podczas tego zebrania zmieniono status Towarzystwa. Zmieniono nazwę na Polskie Towarzystwo Przyjaciół Astronomii i pozwolono tworzyć oddziały w innych miastach. W myśl tych zmian w Częstochowie utworzono oddział tego Towarzystwa. Stało się to w dniu 17 listopada 1928 w Magistracie Częstochowskim. Można o tym przeczytać w notce „Zebranie organizacyjne „Polskiego Popularnego Tow. Astronomicznego” (GC, 17 listopada 1928). Prezesem Oddziału został ks. Metler.

W dniu 5 marca 1930, podczas zebrania w Oddziale Częstochowskim Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Astronomii, dokonano wyboru nowego zarządu. Nowym prezesem został Płodowski, wiceprezesem Angulewicz, sekretarzem ks. Metler. Więcej informacji można przeczytać w artykule „Z zebrania Tow. Przyjaciół Astronomji” (GC, 12 marca 1930). W następnych latach w GC ukazują się coroczne sprawozdania z działalności Towarzystwa. I tak, w GC z dnia 12 listopada 1932, ukazuje się artykuł pod tytułem „Polskie T-wo Przyjaciół Astronomji. Działalność

T-wa Oddziału Częstochowskiego w roku 1931". Następne sprawozdanie, roku 1934, można znaleźć w GC z dnia 6 listopada 1935 w artykule „Z Tow. Przyjaciół Astronomji w Częstochowie”. Kolejne sprawozdanie z działalności Towarzystwa, za roku 1936, można znaleźć w GC z dnia 26 lutego 1937, w artykule „Z działalności częst. Oddziału Polsk. T-wa Przyjaciół Astronomii”.

— Otwarcie Obserwatorium Astronomicznego w parku Staszycy.

Jak dowiadujemy się od dyrektora Obserwatorium Astronomicznego ks. prałata Metlera, w dniu dzisiejszym rozpoczyna swą działalność Obserwatorium Astronomiczne w parku Staszycy.

Od 11 do 1-ej przyjmuje ks. prałat Metler w budynku Obserwatorium zapisy na członków powstającego przy temże Obserwatorium Polskiego Popularnego Tow. Astronomicznego. Zamiejscowi członkowie mogą zapisy skutecznie listownie pod adresem: Obserwatorium Astronomiczne Park Staszycy, Częstochowa.

Obserwacje astronomiczne dla zapisanych członków odbywać się będą od godz. 8 do 9 i pół wieczorem począwszy od 12 września w środy każdego tygodnia.

Wykłady z zakresu astronomji elementarnej dla młodzieży szkół średnich odbywać się będą od października po porozumieniu z dyrekcjami szkół.

Odczyty popularne dla szerszych warstw społeczeństwa urządzone będą w każdą ostatnią niedzielę miesiąca, począwszy od września.

— Z zebrania Tow. Przyjaciół
Astronomji.

W ub. środę o godz. 11-ej rano odbyło się walne zebranie Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Astronomji oddziału częstochowskiego pod przewodnictwem prezesa ks. kanonika Metlera. Na zebraniu dokonano wyboru Zarządu na rok bieżący w następującym składzie: prezes p. dyr. Wacław Płodowski, wiceprezes p. Angulewicz, sekretarz ks. kan. Metler, skarbnik p. Małuszkiewicz, członkowie Zarządu: pp. Zygmunt Bogusławski, Szostak i Stefan Walentowski. Do Komisji Rewizyjnej powołano na przewodniczącego p. Alfreda Gadomskiego; na członków pp. Adolfa Nofera i p. radcę Ludomira Nieprzeckiego, na zastępcę Ojca Piusa Przeździeckiego. Wicedyrektorem obserwatorium mianowano p. Stefana Walentowskiego.

Na zebraniu powyższem mianowano członkiem honorowym i członkiem założycielem pana majora Wincentego Skrzywana w uznaniu jego zasług dla Towarzystwa. Pierwszemu prezesowi Towarzystwa i dożywotniemu dyrektorowi obserwatorium astronomicznego ks. kanonikowi B. Metlerowi przyznano honorowe prezesostwo Towarzystwa.

Polskie T-wo Przyjaciół Astronomji

Działalność T-wa Oddziału Częstochowskiego w roku 1931.

Zgodnie z zasadniczym punktem umowy pisemnej z r. 1925 Magistratu m. Częstochowy z ks. kan. Bonawenturą Metlerem, Oddział Częstochowski P. T. P. A. przede wszystkim dba o regularne urządzenie lekcji praktycznych w samem Obserwatorium Astronomicznem w Parku Staszica, co ma miejsce w każdą środę i sobotę, a w inne dni po uprzednim zamówieniu. Setki osób, zgórą 500, zwłaszcza starsza młodzież szkolna, korzystały w roku sprawozdawczym z tych prób samodzielnego poznawania tajemnic Niebios. Sprawa odczytów dla szerszego ogółu jest w stadium przygotowania odpowiednich prelegentów i ujęcia ich w formę, dostosowaną do inteligencji miejscowej.

Pierwsze Gimn. Państw. im. H. Sienkiewicza ofiarowało już swą wielką salę w tym celu, a nauczyciele szkół średnich pp. Stefan Słobodzian i Franciszek Godzik z pokrewnem wyższem wykształceniem uniwersyteckiem studiują rzecz popularyzacji Astronomji pod kierownictwem ks. Metlera, dyrektora Obserwatorium. Zamiatowanie do Astronomji na terenie Częstochowy z każdym dnem wzrasta i gdyby nie składki do placenia, Oddział Częstochowski P. T. P. A. miałby nie dziesiątki, lecz setki członków.

Specjalne biuletyny astronomiczne i ogłoszenia na drzwiach Obserwatorium informują publiczność o aktualnem śledzeniu zjawisk niebieskich. Czytelną też jest wprowadzić skromną jeszcze Biblioteka Obserwatorium Towarzystwa.

Sprawozdanie kasowe za rok 1931.

Dochody:	
Saldo na 1.I 1931 r.	zł. 214.34
Subsydjum Magistratu	1100.00
Składki członkowskie	250.00
Bilety wstępu do Obserwatorium	15.00
Razem	zł. 1609.34

Wydatki:	
60% ustawowe dla Zarządu Centralnego r. 1930.	zł. 125.95
60% ustawowe dla Zarządu Centralnego r. 1931.	169.00
Dłoty Dyrektora Obserwatorium	172.90
Wynagrodzenie Asystenta Obserwat.	550.00
Wydatki kancelaryjne	35.70
Inwestycje w Obserwatorium	27.30
Ubezpieczenie Obserwatorium od ognia	31.21
Saldo 1.I.1932	99.28
Razem	zł. 1609.34

Preliminarny budżetowy na rok 1932.

Dochody:	
Subsydjum Magistratu	zł. 700.00
Składki członkowskie	360.00
Razem	zł. 1060.00

Wydatki:	
60% Zarządowi Centralnemu	zł. 216.00
Obsługa Obserwatorium	590.00
Wydatki kancelaryjne	50.00
Opał i światło	130.00
Ubezpieczenie i wydatki gospodarcze	100.00
Nieprzewidziane	74.00
Razem	zł. 1060.00

Imienna lista członków P. T. P. A. Oddział Częstochowski.

1. Augulewicz Jarosław, nauczyciel gimn. Częstochowa, 2. Bogusławski Zygmunt, wicedyrektor Tow. Kred. m. Częstochowy, 3. Dziuba Józef, naucz. gimn. Częstochowa, 4. Frost, dyrektor gimn. Częstochowa, 5. Godzik Franciszek, naucz. gimn. Częstochowa, 6. Kanigowska Lucyna, właścicielka wapienników, Rudniki-Rędziny, 7. Matuszkiewicz Władysław, dyrektor semin. Częstochowa, 8. Ks. Mondry Wojciech, redaktor „Niedzieli” Częstochowa, 9. Nieprzecki Ludomir, st. referent Magistratu, Częstochowa, 10. Nofer Adolf, naucz. gimn. Częstochowa, 11. Nowiński Józef, dyr. Banku Handlowego w Częstochowie, 12. Olewiński Józef, obywatel m. Częstochowy, 13. Płodowski Wacław, dyr. gimn. 14. Przeździecki Pius, O. Generał OO. Paulinów J. G. Częstochowa, 15. Schleicherowa Janina, obyw. m. Częstochowy, 16. Słobodzian Stefan, naucz. szkół średnich, Częstochowa, 17. Szostek Stanisław, kierownik szkoły powsz. Częstochowa, 18. Zalewski Adolf, Wołkowysk.

Członkowie Dożywotni: 1. Bogusławski Tadeusz, obywatel z Zacisze — Częstochowa. Członkowie Założyciele: 1. Metler Bonawentura, ks. kan. prob. Maluszyn, p. Słmiczka, 2. Skrzywan Wincenty, sędzia, major, Warszawa. Członkowie honorowi: Ks. Metler, Major Skrzywan. Prezes honorowy P. T. P. A. Oddział Częstochowa Ks. Metler. Członkostwa zbiorowe: 1. Dyrekcja Szkoły Handlowej, Częstochowa, 2. Dyrekcja szkoły Nauka i Praca, 3. Dyrekcja szkoły SS. Nazaretanek, Częstochowa, 4. Dyr. szkoły Państw. Sem. Żeńsk. dla Ochotników, Częstochowa, 5. Dyr. szkoły Rzem.-Przem. Częstochowa, 6. Dyr. Gimn. Żeńsk. J. Stowikowskiej, Częstochowa, 7. Komitet Rodzic. I-go Państw. Gimn. Częstochowa.

Skład Zarządu P. T. P. A. Oddział Częstochowa: prezes: Płodowski Wacław dyr. Gimn. Państw., wiceprez.: Augulewicz Jarosław, naucz. gimn., sekr.: Ks. Metler Bonawentura, skarbnik: Schleicher Janina, członkowie: Bogusławski Zygmunt, Matuszkiewicz Władysław, Słobodzian Stefan, Szostek Stanisław. Skład Komisji Rew.: Przewodniczący: Nieprzecki Ludomir, Członkowie: O. Plus Przeździecki, Adolf Nofer.

Na zebraniach Zarządu, których było sześć w ciągu roku, ważnym przedmiotem omówień i troski był konieczny gruntowny remont dolnej części Obserwatorium, gdzie się mieścił był zegar w izolowanej alko wie pokoju astronomii, jak również muzeum astronomiczne.

Roboty w tym celu podjęte, musiały być wskutek trudności finansowych magistratu dwukrotnie przerywane. Z wyznaczonego subsydjum 2500 zł. 1332,88 zł. wypłacono na rachunek Obserwatorium Astronomicznego.



Obserwatorium częstochowskie w latach międzywojennych. (*Dawna widokówka*)

Ostatni przedwojenny artykuł o działalności astronomicznej ks. Metlera można znaleźć w artykule „Z zebrania częst. Oddziału Tow. Przyjaciół Astronomii”, w GC z dnia 19 lutego 1938. W tym artykule jest podany nowy skład Zarządu Towarzystwa. Prezesem pozostał Płodowski, a sekretarzem ks. Metler.



Pomnik cara Aleksandra II na starej widokówce (z lewej) i zegar słoneczny Metlera wykonany ze wskazanego fragmentu pomnika. (*fot. G. Czepiczek*)

Z Tow. Przyjaciół Astronomji

w Częstochowie.

Dnia 23 paźdz. r. b. odbyło się zwykajne walne zgromadzenie członków Polskiego Tow. Przyjaciół Astronomji w Częstochowie, na którym stwierdzono i przyjęto, co następuje: W roku sprawozdawczym 1934 Towarzystwo liczyło 28-miu członków, w tem 6-ciu zbiorowych (szkoły). Zarząd odbył 7 posiedzeń. Na tematy popularno naukowe z zakresu astronomji wygłoszono 7 odczytów. Obserwatorium zwiedziło 997 osób, w tem wycieczki pozamiejscowe, jak z Zawiercia, Rybnika, Wielunia, a nawet z Lublina i Wilna. Obserwacje odbywały się w każdy pogodny wieczór. Do biblioteki Towarzystwa przybyło 16 dzieł

nowych, z których 4 sprowadzono ze Szwajcarii. Obecnie biblioteka liczy 88 dzieł. Do obserwatorium Towarzystwa nadeszło kilka biuletynów astronomicznych z obserwatorjów zagranicznych. Staraniem Zarządu obserwatorium w parku Staszycza zostało wewnątrz i zewnątrz odmalowane, na froncie został umieszczony zegar dla publiczności, z firmy zaś „Gerlach w Warszawie“ sprowadzono precyzyjny termometr, umieszczając go na wschodniej ścianie budynku.

Bilans kasowy na dzień 1-go stycznia 1935 r. w cyfrach globalnych przedstawia się następująco: dochody — 1367,37 zł., rozchody — 1018,54 zł., saldo na 1 stycznia 1935 r. 384,83 zł.

Przedłożone przez Komisję Rewizyjną absolutorjum zostało przyjęte.

Do Zarządu na rok 1935 jednomyślnie powołano: prezes — Wacław Płodowski, dyr. I państw. Gimn., wiceprezes — Jarosław Augulewicz, profesor II państw. Gimn., sekretarz — ks. Benawentura Metler, dyr. obserwat. astr., skarbnik — Franciszek Godzik, profesor Gimn. SS. Nazaretanek, członkowie

Zarządu: p. Janina Schlejcher i p. prezydent Jan Mackiewicz, asystent obserwatorium — Stefan Słobodzian, kier. szk. powsz. p. St. Ligezówny. Do Komisji Rewizyjnej weszli: ks. red. Wojciech Mondry, O. Marjan Paszkiewicz i p. Romuald Jarmulowicz.

Nowy Zarząd dla rozszerzenia działalności Towarzystwa postanowił zwrócić się do znanych osobistości spośród obywateli m. Częstochowy z usilnem zaproszeniem na członków Towarzystwa gwoili uzasadnienia wśród astronomów świata dobrego imienia, które sobie Częstochowa powoli, choć z trudem zdobywa. — Astronomja zaś, stykając się z wszechświatem bezpośrednio, prowadzi do Prawdy — do Boga...

Z racji przypadającego dziesięciolecia otwarcia obserwatorium w tym roku Zarząd zamierza po porozumieniu się z Magistratem przejąć dla miasta od ks. Metlera jeden z największych w Polsce teleskopów — odpowiednio urządzony do celów pomiarowych sfery nieba — altazymut — o średnicy 30 cm., i umieścić go tymczasowo w obserwatorium w parku Staszycza, które zresztą dla tego przez Camillea Flammariona osobistem użyciem w Juvisy pod Paryżem upamiętnionego instrumentu przygotowane zostało. Ta okoliczność zwiększy zapewne i tak już największą, o ile chodzi o inne obserwatoria w Polsce, frekwencję osób, które pragną choć raz w życiu przyrzyć się bliżej twórczej maszynie Boga i Niebios.

Miesięczne recenzje i artykuły astronomiczne w miejscowej prasie ułatwiają orientowanie się w obserwacjach nieba. Przedewszystkiem młodzież częstochowska ze szkół średnich i starsza ze szkół powszechnych najliczniejszy bierze udział w tych podnoszących jej ducha widzeniach.

GC, 6 listopada 1935, Nr 256, str. 3

W artykule „Zegar Słoneczny w Parku Staszycza”, który ukazał się w GC dnia 7 lipca 1935, możemy przeczytać, że Zarząd Miejski Częstochowy ofiarował ks. Metlerowi granitową bryłę na konstrukcję zegara słonecznego. Bryła granitowa pochodzi z fragmentu byłego pomnika Cara Aleksandra II Romanowa, który stał przed Jasną Górą w Częstochowie w latach 1889-1917. Konstrukcja zegara słonecznego trwała dwa lata. O ustawieniu zegara

słonecznego przed Obserwatorium w roku 1937 pisze GC z dnia 29 czerwca 1937, w artykule „Zegar Słoneczny w Parku Staszycy”.

Zegar słoneczny

W PARKU STASZYCA.

Po dłuższej nieobecności i ciężkiej chorobie przyjechał do Częstochowy ks. kan. B. Metler, dyrektor Obserwatorium Astronomicznego w Częstochowie, który wraz z prof. Słobodzianem zajmie się konstrukcją zegara słonecznego dla szerokości geograficznej naszego miasta. Bryłę granitową, przeznaczoną na ten cel, ofiarował Zarząd Miejski. Zegar słoneczny umieszczony będzie w parku Staszycy.

W związku z tem nasuwa się uwaga, że jakkolwiek zegar słoneczny jest potrzebny i ta inowacja w parku spotka się z sympatycznym przyjęciem ze strony publiczności, to jednak kosztowny blok granitowy winien być raczej użyty na inne cele, np. zachowany dla budowy pomnika w Częstochowie, zegar słoneczny natomiast z powodzeniem może być skonstruowany z innego materiału i kamienia.

GC, 7 lipca 1935, Nr 154, str. 6

Zegar słoneczny w parku Staszycy

W parku Staszycy Częstochowa uzyskała piękną ozdobę — zegar słoneczny. Za staraniem Oddziału Częstochowskiego Polskiego Polskiego Tow. Przyjaciół Astronomii Magistrat oddał część kolumny granitowej o średnicy blisko 1 i pół m. z pomnika cara Aleksandra II z pod szczytu Jasnej Góry.

Pod kierunkiem naukowym dyrektora Obserwatorium ks. Metlera tarcza zegaru wykończoną została w tych dniach bardzo pięknie przez Zakład Kamieniarsko-Rzeźbiarski Józefa Billewicza, który sam z wielkim trudem wykonał bezinteresownie, gwoili dobra społecznego, w twardej głazie granitu napis łaciński ku wiecznej m. Częstochowy chlubie. Brzmienie napisu po polsku jest następujące:

Dziewicy Kochanej
Stąd Miasto ku Gwiazdom
I Naród Hen Wzywa
Znak Dobrej Przyszłości.

Ks. Metler.

W obecnych czasach zegary słoneczne nie mają dla ogółu praktycznego znaczenia, dla nauki jednakże dostarczają nieustannego dowodu przedziwnej Boskiej dokładności ruchu Machiny Niebieskiej, naszego systemu słonecznego.

GC, 29 czerwca 1937, Nr 146, str. 4

Na łamach GC możemy znaleźć kilka informacji o odczytach z astronomii przeprowadzonych przez księdza Metlera. A oto one :

- „Tajemnice nieba” – w GC (9 czerwca 1928) „Odczyt astronomiczny ks. B. Mettlera”. Jest tam zapowiedź odczytu, a notatka prasowa GC „Z odczytu ks. Mettlera” z dnia 13 czerwca 1928 podsumowuje ten odczyt. Napisano, że przyszło 160 osób starszych i 80 młodzieży szkolnej. Odczyt odbył się 9 czerwca 1928 roku w Sali Straży

Ogniowej (zapewne przy ul. Strażackiej w Częstochowie) o godzinie 8 wieczorem. Wejście kosztowało 20gr.

— Odczyt astronomiczny ks. B. Mettlera.

Dziś, w sobotę, o godz. 8-ej wiecz. w sali Straży Ogniowej znany astronom ks. kan. Bonawentura Mettler wygłosi interesujący odczyt astronomiczny p. t. „Tajemnice nieba”. Odczyt będzie ilustrowany obrazami świetlnymi.—Wejście 20 gr

Niewątpliwie ciekawy ten odczyt zgromadzi nader liczny zastęp osób, interesujących się astronomią, jak i szersze koła publiczności.

GC, 9 czerwca 1928, Nr 131, s. 3

— Z odczytu ks. Mettlera.

W dniu 9 b. m. w sali Straży Ogniowej odbył się odczyt urządzony przez Wydział Oświaty i Kultury Magistratu .Odczyt pod tytułem „Tajemnice Nieba”, ilustrowany obrazami świetlnymi, wygłosił ks. Bonawentura Mettler. Na odczyt przy było zgórą 160 osób strasznych i 80 młodzieży szkolnej ze starszych oddziałów szkół powszechnych.

Wśród publiczności zauważono

wielkie zainteresowanie się odczytem z zakresu podstawowych wiadomości z astronomji, wygłoszonych przystępnie i ciekawie.

Ks. Mettler przyrzekł, że po porozumieniu się z p. majorem Skrzywanem zamierza następny odczyt wygłosić w końcu bieżącego miesiąca.

GC, 13 czerwca 1928, Nr 134, s. 3

- Odczyt „Wielkość Świata” został wygłoszony w dniu 23 czerwca 1928 roku o godzinie 8 wieczorem i tak jak poprzednio, wejście kosztowało 20 gr. Odczyt odbył się także w Sali Straży Ogniowej. Metler wygłosił referat wspólnie z majorem Skrzywanem. Informacje o tych wydarzeniach można znaleźć w GC (17 i 23 czerwca 1928): „Odczyt ks. Mettlera i mjr. Skrzywana p.t. Koniec świata”. Ten sam odczyt został powtórzony w Sali Panoramy al. NMP 75 (Rotunda) w dniu 30 września 1928 roku o godzinie 13:30. Nie mamy tu informacji czy odczyt był płatny. Ten odczyt wygłosił już sam mjr Skrzywan.

— Odczyt ks. Mettlera i mjr. Skrzywana p. t. „Koniec świata”.
W sobotę, dn. 23 b. m., o godz. 8-ej wiecz. w sali Straży Ogniowej odbędzie się niezwykle interesujący odczyt astronomiczny, który wygłoszą ks. kan. B. Mettler i mjr. Skrzywan na temat: „Koniec świata”. — Wejście 20 gr.

Odczyt, urządzony staraniem wydziału oświaty i kultury Magistratu m. Częstochowy, niewątpliwie zaciekaWi nietylko interesujących się bliżej astronomją, ale i szerszy ogół.

GC, 17 czerwca 1928, Nr 138, s. 4

— Odczyt ks. Mettlera i mjr. Skrzywana p. t. „Koniec świata”.
Dziś, w sobotę, o godz. 8-ej w. w sali Straży Ogniowej odbędzie się niezwykle interesujący odczyt astronomiczny, który wygłoszą ks. kan. B. Mettler i mjr. Skrzywan na temat: „Koniec świata”. Wejście 20 gr.

Odczyt urządzony staraniem wydziału oświaty i kultury Magistratu m. Częstochowy, niewątpliwie zaciekaWi nietylko interesujących się bliżej astronomją, ale i szerszy ogół.

GC, 23 czerwca 1928, Nr 143, s. 3

— Odczyt z dziedziny astronomji.

Staraniem Wydziału IV Magistratu „Kultury i opieki społecznej” tudzież ks. kan. Metlera, dyr. Obserwatorium miejskiego, odbędzie się dnia 30 bm. w niedzielę o godz. 1,30 po południu w sali Panoramy odczyt, na który specjalnie zaprasza się starszą młodzież szkół średnich na temat: „Wielkość świata”. Odczyt wygłosi major Skrzywan.

Przy tej sposobności zwrócić należy uwagę na niezwykle zainteresowanie, jakim się cieszą systematyczne pokazy nieba.

W. środę dn. 26 bm. już o godz. 19 zebrało się pod kopułą dostrzegalni kilkanaście osób starszych i młodszych, by oglądać Jowisz i księżyc. Objasnień udzielał ks. kan Metler i mjr. Skrzywan.

Wszyscy obecni zapisali się równocześnie do powstającego Towarzystwa astronomicznego, tak, że ilość kandydatów wzrosła do kilkunastu osób.

GC, 28 września 1928, Nr 225, s. 3

Wszystkie te odczyty były zorganizowane za staraniem Wydziału Oświaty i Kultury Magistratu miasta Częstochowy.

- „Popularyzacja astronomii w Polsce”. Ten odczyt ks. Metler wygłosił w Magistracie. Obecnie budynek pełni funkcję Muzeum Częstochowskiego. Odczyt odbył się w dniu 9 października 1934 o godzinie 17 i wejście kosztowało 30 gr dla osób dorosłych a dla uczącej się młodzieży 10 gr. Dochód został przeznaczony dla Obserwatorium Astronomicznego w Częstochowie. Taką informację można znaleźć w GC z dnia 9 października 1934r.

Ks. Metler był autorem wielu artykułów, które zostały opublikowane w GC. Poniżej podano listę tych, które udało mi się ustalić.

- *Dla przyjaciół astronomii*, GC, 6 stycznia 1917, Nr 4, s. 4
- *Dla przyjaciół astronomii*, GC, 11 lutego 1917, Nr 33, s. 4
- *Dla przyjaciół astronomii. Co widać na niebie?*, GC, 18 lutego 1917, Nr 39, s. 5
- *Dla przyjaciół astronomii. Co widać na niebie?*, GC, 25 lutego 1917, Nr 45, s. 5

W tych powyższych artykułach pisał co aktualnie jest widać na niebie.

- *Astronomia a pogoda*, GC, 2 lutego 1918, Nr 28, s. 4
- *Ze zjazdu naukowego*, GC, 21 kwietnia 1920, Nr 89, s. 3
- *W sprawie Obserwatorium astronomicznego w Częstochowie*, GC, 21 kwietnia 1928, Nr 93, s. 3
- *Astronomia w Częstochowie*, GC, 24 grudnia 1933, Nr 295, s. 3
- *Popularyzacja astronomii w Polsce. Stanowisko Częstochowy*, GC, 21 maja 1937, Nr 114, s. 7

Sprawy religijne i inne

Ksiądz Metler w roku 1913 obchodził jubileusz 25-lecia kapłaństwa. Obchodził je w Częstochowie. Uroczystości odbyły się w dniu 23 listopada o godzinie 10:00 w kościele Najświętniej Marii Panny przy al. NMP 56. Na tą okoliczność do Częstochowy przybył biskup kujawsko kaliski Stanisław Zdzitowiecki. Częstochowa w tym czasie należała do diecezji kujawsko kaliskiej. Własną diecezję ma od roku 1925. O tym wydarzeniu informują artykuły „Jubileusz kapłana” (GC, 19 listopada 1913), „Dwudziestopięciolecie kapłaństwa” (GC, 23 listopada 1913) oraz „Jubileusz ks. Mettlera w kościółku im. Maryi” (GC, 24 listopada 1913).

— Jubileusz kapłana.

W niedzielę 23 b. m. o g. 9 i pół rano w kościółku im. Maryi odbędzie się solenne nabożeństwo z racji 25-letniego jubileuszu kapłańskiego zasłużonego na niwie naukowej astronoma i prefekta szkół miejscowych ks. Mettlera.

Ograniczając się na razie na niniejszej notatce, szczegółowej ocenie zasług czcigodnego kapłana poświęcimy niebawem więcej miejsca na łamach naszego „Gońca Częstochowskiego”.

GC, 19 listopada 1913, Nr 316, s. 4

KRONIKA.

— Przyjazd J. E. ks. biskupa Zdzitowieckiego.

Wczoraj o godz. 5-ej min. 45 wieczorem pociągiem nr. 9 kolei w.-w. przybył do Częstochowy J. E. biskup kujawsko - kaliski Zdzitowiecki. Na dworcu powitali J. E. ks. kanonik Ciesielski, o. Piotr, ks. Cesarz, ks. Zawadzki, ks. Kalinowski, ks. W. Kneblewski, ks. Mettler oraz ks. prałat Barcz.

J. E. zabawi w Częstochowie kilka dni, przybył bowiem celem odprawienia rekolekcji oraz odwiedzenia szeregu tutejszych stowarzyszeń i instytucji społeczno-dobroczynnych. Między innemi w niedzielę Dostojny Pasterz zwiedzi schronienie sług pod wezwaniem św. Zyty przy ul. Teatralnej i schronienie dla paralityków przy ul. Wieluńskiej.

GC, 20 listopada 1913, Nr 317, s. 5

— Jubileusz kapłana.

Jutro, 23 b. m. o godz. 9 i pół rano w kościółku im. Maryi odbędzie się solenne nabożeństwo z racji 25-letniego jubileuszu kapłańskiego zasłużonego na niwie naukowej astronoma i prefekta szkół miejscowych ks. Mettlera.

GC, 22 listopada 1913, Nr 319, s. 4

Dwudziestopięciolecie kapłaństwa.

W dniu dzisiejszym odbędzie się uroczyste nabożeństwo w kościele p. w. N. M. P., o g. 10 r. w dwudziestopięcioletnią rocznicę święceń kapłańskich, znanego częstochowianom kapłana, prefekta i uczonego, ks. Bonawentury Metlera.

Dla wiadomości ogółu interesującą będzie rzeczą podanie niektórych szczegółów z dotychczasowego życia Jubilata.

Czcigodny jubilat urodził się w r. 1866. Seminarjum wrocławskie ukończył w r. 1887. Wybitne zdolności spowodowały Władzę duchowną, że go wysłała do Akademii Duchownej w Petersburgu. Niedługo jednakże w niej bawi, bo nadwątłone zdrowie i niezbyt odpowiedni klimat zmuszają go do wyjazdu ze stolicy w r. 1888. Uduje się przeto zagranicę, zatrzymuje się w Niemczech, studiując sztuki piękne i zaznajamiając się z ligwistyką zachodnią. W tych samych celach zwiedza całą Francję i Anglię. W Paryżu, poznawszy się z słynnym, uczonym astronomem Flammarionem, postanawia oddać się astronomii. W tym celu uczęszcza przez kilka semestrów na fakultet fizyko-matematyczny w Sorbonie i tu poznaje arkana wyższej matematyki. Dla reparowania zdrowia i celem poznania się z globem ziemskim, przedsiębierze podróż naokoło świata od r. 1901—1904.

W Australii, w mieście Melbourne profesorem był języków: francuskiego i łacińskiego, a powróciwszy

do Francji został profesorem szkoły komercyjnej „Lecole commerciale” Pigiera w Paryżu, wykładając języki: angielski i niemiecki, nie porzucając studiów astronomicznych, które prowadził pod kierunkiem, wyżej nadmienionego Flammariona. Jest jednocześnie nauczycielem księcia Eugenjusza Gagarina i hrabiego de Monfort, później wychowawcą, w latach 1906 i 7 książąt Poniatowskich (potomków królewskich), przygotowując ich do szkół francuskich: (dodać trzeba, że wychowankom swoim wykladał wszystkie przedmioty w językach polskim, francuskim i angielskim).

Jednakże nurtująca jego serce tęsknota za krajem i chęć pośpieszenia z wiedzą do rodaków, zmuszają go do powrotu, chociaż poza granicami kraju ojczystego, otwierała się droga do kariery naukowej. Przybywa do Częstochowy, przywiozłszy z sobą zapal i doświadczenia naukowe, i zaopatrzony we wszelkie instrumenta astronomiczne. Pragnąc zaś ten dział wiedzy dla kraju spożytkować, ciągle myśli o utworzeniu obserwatorium w naszym grodzie. Doczeka się Częstochowa w niedalekiej przyszłości przybytku astronomicznego, bo już kroki w tym kierunku podjęto dość poważne. Jednocześnie zostaje mianowany kapłanem przytułku dla paralityków, pozostającego pod opieką Sióstr Miłosierdzia, przybyłych z Paryża, i prefektem szkół miejskich, później zaś mianowała go Władza Duchowna prefektem gimnazjum polskiego p. Kościńskiego i gimnazjum żeńskiego p. Słowikowskiej, w których na tem stanowisku do tej pory pozostaje, będąc wzorowym kapłanem, dobrym i światłym nauczycielem, jak również gorącym opiekunem młodzieży.

Prasa i jej wyobraziciel „Goniec Częstochowski”, pojmując i oceniając obszerną wiedzę Czcigodnego Jubilata, życzy mu najdłuższych lat pracy owocnej na niwie kapłańskiej, wychowawczej, i społecznej.

Redakcja.

Jubileusz kapłana.

Dziś, 23 b. m. o godz. 9 i pół rano w kościółku im. Maryi odbędzie się solenne nabożeństwo z racji 25-letniego jubileuszu kapłańskiego zasłużonego na niwie naukowej astronoma i prefekta szkół miejscowych ks. Mettlera.

GC, 23 listopada 1913, Nr 320, s. 6

Jubileusz ks. Mettlera w kościółku im. Marji.

Zgodnie z programem uroczystość w kościółku Im. Marji rozpoczęła się z przybyciem J. E. ks. Biskupa, którego wprowadził przepiękną przemową ks. kanonik M. Ciesielski, prefekt szkół i rektor kościoła.

J. E. odpowiedział, streszczając życie jubilata, jako zasłużonego pracownika na niwie naukowej i wychowawczej, — zaznaczając szczególnie trudności związane z pracą prefekta.

GC, 24 listopada 1913, Nr 321, s. 3

22 czerwca 1916 ks. Metler uczestniczył w nabożeństwie Bożego Ciała w Częstochowie (*Z Bożego Ciała*, GC, 24 czerwca 1916, Nr 141, s. 3-4, *Procesja po południu*, GC, 24 czerwca 1916, Nr 141, s. 4)

Na początku lutego 1917 roku ks. Metler brał udział w uroczystościach pogrzebowych doktora Władysława Biegańskiego. O tym wydarzeniu można znaleźć w nekrologu opublikowanym w GC z dnia 7 lutego 1917.



GC, 7 lutego 1917, Nr 29, s. 4

W dniu 3 października 1928 ks. Metler uczestniczył w kościele w Kruszyńcu w nabożeństwie umieszczenia w bocznym ołtarzu obrazu św. Teresy, pędzla artysty-malarza Franciszka Jędrzejczyka. Możemy to przeczytać w artykułach GC: „Uroczystość kościelna w Kruszyńcu” z dnia 23 września 1928 oraz „Z Kruszyńcy. Wprowadzenie obrazu św. Teresy do kościoła parafialnego” z dnia 14 października 1928.

— Uroczystość kościelna w Kruszyńcu.

Dnia 3 października, jako w dzień św. Teresy, nastąpi wstawienie do bocznego ołtarza obrazu św. Teresy, pędzla znanego artysty-malarza Franciszka Jędrzejczyka, w kościele parafialnym w Kruszyńcu. Ceremonji poświęcenia obrazu dokona miejscowy proboszcz ks. prałat Mettler.

GC, 23 września 1928, Nr 221, s. 4

2 Kruszyny.

Wprowadzenie obrazu św. Teresy do kościoła parafialnego

Życie świętej dziewczeczki od Dzieciątka Jezus św. Teresy w dobie nie wiary i upadku moralnego — daje nam przykład i drogowskaz, jak bardzo winniśmy ukochać postać tej świętej, która żyła i umarła za dni naszych. Cały świat czci Ją i niema już dziś kraju w Europie, któryby się nie cieszył cudami św. Teresy. Wyniesiona na ołtarze jako święta, zstępować Ona będzie z nieba; według swej obietnicy, aby przykładać balsam kojący i ożywczy na rany biednej ludzkości.

Kruszyna, łącząc się w ogólnej czci w szczególny sposób, obrała sobie za opiekunkę św. Teresę. Staraniem ks. prałata Metlera zakupiony został piękny obraz tej „Małej Królowej”, wykonany przez art. malarza p. F. Jędrzejczyka. W dn. dorocznego odpustu 7 bm. obraz ten procesjonalnie został wprowadzony do kościoła wśród liczego duchowieństwa i ludu z całej parafji. Po ustawieniu obrazu w bocznym ołtarzu wśród kwiecia i płoną-

cych świec, przemówił ks. prałat Metler, zachęcając gorąco młodzież, tę przyszłość narodu, do czci szczególnej, zapewniając czcicielom Jej, iż ześle „deszcz róż” i otrze niejedną łzę na tej ziemi, a ciało i duszę uleczy z ran.

Sumę odprawił ks. kanonik Janowski, dziekan z Radomska, podczas której chór odśpiewał mszę na 4-ry głosy mieszane Molitora, a na ofertorium „Króluj nam Jezus” Nowowiejskiego.

Wieczorem odbyła się w remizie strażackiej Akademia, na program której złożyły się następujące części: chór miejscowy pod kierunkiem p. Ulewicza wykonał hymn ku czci św. Teresy, dziewczynki V oddziału szkoły tutejszej odegrały obrazek sceniczny z życia św. Teresy p. tytułem: „Jeśli Bóg tego chce”.

Referat wygłosiła p. A. Tyberkówna, nauczycielka miejscowej szkoły, która z przejęciem przedstawiła słuchaczom drogocenny klejnot dni naszych, ukazując duszę świętej tak cudną, delikatną, godną uwielbienia, przed którą dziś cały świat pada na kolana..

Nastąpiły deklamacje wielbiące ukochaną Świętą Dzieweczkę. Również i dzieci z ochronki pod staranną ręką p. Klembowskiej odegrały sztuczkę, a młodocianych wykonawców darzono rzesistemi oklaskami. Na zakończenie chór miejscowy odśpiewał hymn Beethowena.

Całość wypadła pięknie i uroczyscie, co jest dowodem, że Kruszyna wierna tradycji Ojców swych dochowuje wiary, a oddając się w opiekę św. Tereni wzmocni swego ducha, iż żadne moce nie zdołają jej pokonać. M. S.

W roku 1932 Ksiądz Metler został przeniesiony z probostwa Kruszyny na probostwo do Maluszyna. Informację można znaleźć w artykule „Zmiany w składzie duchowieństwa diecezji częstochowskiej” (GC, 26 czerwca 1932). Dwa lata później zostanie przeniesiony do probostwa w Parzymiechach i pozostanie tam do tragicznej śmierci w 1939 roku.

— **Zmiany w składzie duchowieństwa diecezji częstochowskiej.** Mianowani: ks. Stanisław Senko, prob. w Zagórz, konsultorem diecezjalnym; ks. dr. Stanisław Ufniański, po zwolnieniu z prefektury w Sosnowcu po zakończeniu roku szkolnego, dyrektorem Gimnazjum Biskupiego im. Tadeusza Kościuszki w Wieluniu; ks. Bolesław Kotnowski, prob. w Niegowie, administratorem w Kruszynie; ks. Stanisław Wieczorek, prob. w Jaworznie, administratorem w Kodrębiu.

Przeniesieni: ks. kan. Bonawentura Metler, prob. w Kruszynie, na także stanowisko do Maluszyna; ks. Stanisław Kowalski, wik. w Kruszynie, na także stanowisko do Maluszyna.

Zmarł: ks. Bronisław Świeżewski, prob. w Kodrębiu, dnia 17 maja r. b.

GC, 26 czerwca 1932, Nr 145, s. 4

— **Zmiany w składzie duchowieństwa.** Mianowani: Ks. Adolf Gozdek, Dr. Fil., proboszcz w Brzeźnicy, wicedziekanem Brzeźnickim. Ks. Augustyn Kańtoch, prob. i wicedziekan w Choroniu, dziekanem Żareckim. Ks. kan. Jan Patorski, prob. i wicedziekan w Borowni, dziekanem Mstowskim. Ks. Alojzy Halama, wik. w Strzemieszycach, kuratusem w Łubnicach. Ks. Ignacy Tochowicz, wik. w Zagórz, kuratusem w Galewicach. Ks. Antoni Materny, wikariusz w Sulmierzycach, administratorem parafji w Krępie. Ks. Leon Kuchta, prob. w Janowie, wicedziekanem Żareckim. Ks. Władysław Bienias, neopr., wikariuszem w Chelmie. Ks. Stanisław Dąbrowski, wi-

karjuszem w Miedźnie. Ks. Błażej Kowalec, neopr., wikarjuszem w Praszce. Ks. Tadeusz Kopeć, neopr., wikarjuszem w Krzepicach. Ks. Stanisław Łopaciński, wik. w Krzepicach, prefektem kontr. i wikarjuszem pomocniczym w Sosnowcu. Ks. Władysław Pajak, Dr. św. Teol., wik. w Brzeźnicy, prefektem publ. szkoły powszechnej Nr. 6 w Będzinie. Ks. Klemens Gawlikowski, prob. w Częstochowie-Rakowie, sędzią prosynodalnym Sądu Biskupiego. Ks. prałat Franciszek Mirecki, prob. parafji św. Zygmunta w Częstochowie, sędzią prosynodalnym Sądu Biskupiego.

Przeniesieni: Proboszczowie: Ks. kan. B. Metler, prob. w Maluszynie i Ks. F. Kobielski, prob. w Parzymiechach, jeden na miejsce drugiego. Wikarjusze: Ks. Stanisław Ciszewski z Gorzkowic do parafji św. Rodziny w Częstochowie. Ks. Zygmunt Czechowicz z Porąbki do Brzeźnicy. Ks. Jan Depta z Cieszęcina do Siemoni. Ks. Michał Dzienniarz z Miedźna do Niegowy. Ks. Feliks Gryglewicz z Dietrzykowic do Sulmierzyc. Ks. Stanisław Kowalski z Rędzin do Gorzkowic. Ks. Józef Krawczyk z par. św. Rodziny w Częstochowie do Wielunia. Ks. Józef Niedzielski z Siemoni do Porąbki. Ks. Lucjan Nowak z Grodźca do Mstowa. Ks. Kazimierz Roznowski z Mstowa do Zagórza. Ks. Jan Smógorzewski z Niegowy do Rędzin. Ks. Franciszek Strugała z Wielunia do Strzemieszyc. Ks. Wincenty Szymezyk z Chelma do Kłobucka. — Prefekci: Ks. Franciszek Gryglewicz z Gimnazjum państw. żeńsk. im. Słowackiego do publ. szkoły powsz. Nr. 11 w Częstochowie. Ks. Władysław Karlik z publ. szkoły powsz. Nr. 11 do państw. Gimnazjum żeńskiego im. Słowackiego w Częstochowie. Ks. Zdzisław Ługowski z państw. Seminarjum Naucz. żeńsk. im. M. Konopnickiej do państw. Gimnazjum żeńskiego im. Em. Plater w Sosnowcu. Ks. Piotr Sobański z państw. Seminarjum męskiego do I-go państw. Gimnazjum męskiego im. H. Sienkiewicza w Częstochowie.

W dniu 11 listopada 1937 Ks. Metler z rąk starosty Władysława Rozmarynowskiego otrzymał Złoty Krzyż Zasługi. Odznaczenie nadał Prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki. Informacje można znaleźć w artykułach: „Odznaczenia” (GC, 29 września 1937) oraz „Z obchodu Święta Niepodległości” (GC, 13 listopada 1937).

— Odznaczenia. Pan Prezydent Rzeczypospolitej nadał Złoty Krzyż Zasługi znanemu społecznikowi i czcigodnemu kapłanowi ks. prałatowi Bolesławowi Wróblewskiemu, nacz. dyrektorowi huty „Częstochowa” w Rakowie inż. Tomaszowi Szwejkowskiemu, oraz b. wice - prezydentowi m. Częstochowy dr. Stanisławowi Nowakowi, autorowi prac z życia Częstochowy. Na polu pracy naukowej odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi ks. kan. Bonawentura Metler z Parzymiech, założyciel częst. Tow. Przyjaciół Astronomii oraz miejskiego obserwatorium astronomicznego w Częstochowie.

GC, 29 września 1937, Nr 209, s. 4

Z obchodu Święta Niepodległości

CAPSTRZYK, WIENIEC U STÓP POMNIKA MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO, UROCZYSTE NABOŻEŃSTWO NA JASNEJ GÓRZE, DEKORACJA ODZACZONYCH, DEFILADA WOJSKA I MŁODZIEŻY, AKADEMIE.

Po raz pierwszy obchodziliśmy dzień 11 listopada, jako ustawowe święto państwowe, Święto Niepodległości, 19-tą rocznicę odzyskania niezależnego bytu politycznego Państwa. Po raz pierwszy też w obchodzie wzięły udział wszystkie polskie organizacje młodzieżowe bez różnic politycznych.

Już w przeddzień wieczorem miasto przybrało odświętny wygląd. Wszystkie domy udekorowane zostały flagami o barwach narodowych, gmachy rządowe, banki, szkoły były rzeźbicie iluminowane. Na frontonie ratusza widniał napis świetlny: „1918 — 11 listopad — 1937 r.“ O godz. 6-ej wiecz. na placu Pierackiego ustawiły się przybywające kolejno oddziały wojskowe, przysp. wojsk., sfederowane organizacje b. wojskowych, młodzież szkolna, liczne związki i stowarzyszenia. Przybyli przedstawiciele władz na czele z p. wicestarostą Libuchą i p. prezydentem Szczodrowskim, przedstawiciele sądownictwa, szkolnictwa, urzędów i instytucyj. Wokół chodniki zajęła liczna publiczność. Plac w oświetleniu pochodni wyglądał pięknie. Powitany dźwiękami marsza przybył dowódca miejscowego pułku artylerii ppłk. dypl. Rola-Arciszewski i przyjął raport wojskowy od dowódcy całości. Następnie z gmachu ratusza przez megafony przemówił prof. Mikołajtis, w pełnych połotu słowach obrazując to, co naród polski zdziałał na wszystkich polach pracy w ciągu 19-tu lat niepodległego bytu oraz podkreślając zarazem przebudowę psychiki narodu. Jesteśmy dziś świadkami nowych ideałów przyszłości narodu, młodzieży, zaczynamy realizować wskazania twórcy niepodległości Marszałka Piłsudskiego, zaczynamy dostrzegać owe symboliczne, a pełne potęgi szklane domy Żeromskiego. — Dalszy ciąg tego dzieła poprowadzi młodzież. Organizują się wszystkie stany, przejęte myślą podciągnięcia Polski wyżej i troską o jutro. W imię zwycięskiego jutra wzniesmy okrzyk: „Najjaśniejsza Rzeczpospolita niech żyje!“ — Okrzyk ten podchwycili wszyscy obecni, orkiestra wojskowa odegrała hymn narodowy, wojsko sprezentowało broń, jednocześnie zaś rozgorzały czerwona pożoga zapalone stosy, śląc snopy iskier w mrok listopadowego wieczoru.

Wszystkie oddziały przy dźwiękach orkiestr ruszyły następnie długim pochodem wzdłuż Alei przez Rynek w ul. Narutowicza, gdzie przedefilowały przed pomnikiem Marszałka Piłsudskiego. Delegacje wkroczyły na dziedziniec szkoły,

składając tu u stóp pomnika trzy wieńce: od wojska z napisem „Wodzowi Narodu — Garnizon Częstochowski“, od miasta z napisem: „Wskrzesicielowi Państwa Polskiego — Zarząd Miejski“ i od Federacji z napisem: „Federacja PZOO.“

Od pomnika capstrzyk skierował się w różne strony miasta: oddziały konne dotarły aż do Rakowa, inne do przedmieść Zawodzia, Stradomia i t. d., w śród mieściu zaś orkiestry zatrzymywały się przed gmachami, jak: Dowództwo Dywizji, Kuria Biskupia i t. d., gdzie wykonywały różne utwory.

Właściwy dzień święta wstał chłodny i dżdżysty, mimo to od rana ciągnęły ku Jasnej Górze niezliczone organizacje, oddziały wojskowe i tłumy społeczeństwa. Jednocześnie młodzież szkolna podążyła do Katedry, gdzie uroczyste nabożeństwo odprawił ks. prof. P. Sobański. Na Jasnej Górze przed ostarzem szczytowym uroczystą mszę św. celebrował O. przeor Norbert Motylewski w asyście duchowieństwa. J. E. ks. Biskup-sufagan A. Zimniak zajął miejsce na tronie biskupim. Przybyli wszyscy przedstawiciele władz na czele z p. generałem J. Gąsiorowskim, p. starostą Wł. Rozmarynowskim i p. prezydentem J. Szczodrowskim, cały Korpus Oficerski, przedstawiciele sądownictwa, szkolnictwa, urzędów, instytucyj. Pod murami klasztoru szeregiem ustawiono się blisko 50 pocztów sztandarowych, w czworoboku stanęło wojsko, oddziały przysp. wojsk., organizacje młodzieżowe oraz liczne rzesze społeczeństwa. Nabożeństwo, podczas którego orkiestra wojskowa i chór jasnogórski wykonywały szereg utworów religijnych, zakończono zbiorowym odśpiewaniem: „Boże coś Polskę“.

Następnie po nabożeństwie odbył się na placu przedszczytowym akt dekoracji osób wojskowych i cywilnych. Przedstawieni do odznaczeń ustawili się w rzędzie, po czym p. generał Gąsiorowski dokonał dekoracji wojskowych. Krzyż oficerski „Odrodzenia Polski“ otrzymali: pp. ppłk. dypl. F. Tomsa-apolski i ppłk. dypl. K. Ważyński, Złoty Krzyż Zasługi mjr. B. Kondracki, srebrne Krzyże Zasługi: kpt. Wł. Wodzinowski i por. St. Uljański, brązowe Krzyże Zasługi: st. ogn. E. Przybyła, st. ogn. Skał, ogn. P. Bankiet, sierż. J. Struzikowski, plut. Kochanowski, plut. Sznajder, plut. Socha, plut. Maciejewski z Piotrkowa i urzędnik P. K. U. St. Kuberski. Następnie p. generał Gąsiorowski wręczył proporzec strzelecki zwycięskiej kompanii Dywizji,

t. j. 4-ej kompanii miejscowego pułku piechoty, jako nagrodę przechodnią za strzelanie tuziem dokonał wręczenia nagród najlepszym strzelcom. Nagrody te w postaci zegarków, ufundowanych przez Starostwa radomskie i wieluńskie, otrzymali: strz. Majler Tad. i strz. Siewier St. z miejsc. pułku piechoty, kan. Mak z artylerii i strz. Pytel Ferdynand z kompanii łączności.

Z kolei odbył się akt dekoracji osób cywilnych. Z rąk p. starosty Wł. Rozmarynowskiego odznaczenia otrzymali: Złoty Krzyż Zasługi — ks. kan. B. Metler, ks. J. Gruszeński, p. Z. Polfasińska, inż. Napierkowski, dr. S. Nowak, inż. T. Szwejkowski i dyr. M. Wysocki; srebrny Krzyż Zasługi — pp. W. Bielobradkova, St. Kiebasowa, Wł. Krauzówna, D. Rzepecki, H. Łukasiewicz, L. Smółski, K. Wołoszynski, P. Maliszewski, Z. Kachelski, B. Moszyński, P. Dębski, L. Piotrowski, B. Rajszys i F. Koleczko; brązowy Krzyż Zasługi — pp. M. Ciurzyński, S. Kwiatkowski, A. Dębowski, J. Kurasa, S. Pfranger, J. Markiewicz, S. Caha, J. Jaśkiewicz, J. Klimas, J. Dendek, P. Szlenk, K. Michalak, A. Zawierucha, W. Kołtun, P. Kret, R. Kubik, J. Mucha, J. Synoradzki i F. Sobalski; medal za ratowanie ginących — p. W. Iwańczak.

Prof. Józef Mikołajtis został odznaczony Krzyżem Niepodległości.

W południe odbyła się na placu przed ratuszem wspaniała defilada, którą z trybuny przyjął p. generał Gąsiorowski w towarzystwie p. starosty Rozmarynowskiego i p. prezydenta Szczodrowskiego na czele grupy przedstawicieli władz. — Obok na sąsiednim podium stanęli prezesi organizacyj młodzieżowych. Defiladę prowadził ppłk. Panew. Przy dźwiękach świetnie prezentującej się orkiestry wojskowej z fanfarami i werblami dziarsko przemarszerowały witane okrzykami publiczności kompanie piechoty naprzemian z oddziałami przysp. wojsk. i hufców szkolnych, następnie artyleria, dalej zaś przy dźwiękach orkiestry strażackiej defilowały w niekończącym się pochodzie organizacje młodzieżowe, sfederowane związki b. wojskowych, kluby sportowe, przysp. wojsk. kolejarzy, pocztowców, witany okrzykami publiczności oddział umundurowanych i z proporczykami członków Stron. Narodowego, defilujący z wyciągniętymi prawicami, oddział członków T. U. R. a z czerwonymi sztandarami, defilujący ze wzniesionymi w górę pięściami, dalej oddział konny „krakusów“, związki młodzieży wiejskiej, w zakończeniu zaś straż pożarna. Imponująca defilada trwała z górą godzinę przy asyście olbrzymich tłumów publiczności, zalegających nie tylko chodniki wokół placu, ale również III i II Aleje.

Podziękowania

Dziękuję dr. Bogdanowi Wszółkowi za nieocenioną pomoc podczas pisania niniejszego artykułu. Bibliotecz Głównę w Częstochowie (<http://www.biblioteka.czyst.pl>) dziękuję za udostępnienie posiadanych zbiorów, zawierających informacje o ks. Metlerze. Podziękowania także składam dla Zbigniewa Biernackiego, właściciela Antykwarni „Niezależna” (www.antykwarnia.com.pl) za udostępnienie starych pocztówek.



Podczas wykładów konferencji *Astronomia – nauka i wiara* w Częstochowskim planetarium w dniu 27 września 2014. Od lewej: Anna Jura, Stanisław Wszółek, Adam Klóś, Piotr Cebula i Henryk Brancewicz. (fot. A. Leśniczek)



Uczestnicy konferencji *Astronomia – nauka i wiara* (27.09.2014). (fot. A. Leśniczek)

Ks. Bonawentura Metler w Maluszynie (1932 – 1934)

Łukasz S. Kopera

Instytut Historii, Akademia im. Jana Długosza w Częstochowie

Wprowadzenie

Życie i działalność ks. Bonawentury Metlera w częstochowskim środowisku naukowym było niejednokrotnie przedmiotem debaty. Bodźcem do różnorodnych wystąpień i dyskusji nad osobą ks. Metlera stawała się najczęściej jego męczeńska śmierć w pierwszych dniach II wojny światowej. W ostatnich latach, w tym samym środowisku uczonych, wzmożła się dodatkowa chęć pogłębiania wiedzy astronomicznej, której ks. Metler był wielkim pasjonatem i popularyzatorem. Odpowiedzią na tego rodzaju zapotrzebowanie wiedzy stała się I Konferencja „Nauka i wiara”, zorganizowana w dniach 26-28 listopada 2009 r. w Instytucie Fizyki przy Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Naukowe przedsięwzięcie zbiegło się z przypadającą wówczas 70. rocznicą tragicznej śmierci ks. Metlera. Owocami tej i poprzednich debat stały się obszernie publikacje, prezentujące sylwetkę, zainteresowania i działalność naukową kapłana – astronoma¹. Do tego kanonu opublikowanych tekstów chciałbym zaliczyć poniższy referat, traktujący o krótkim pobycie ks. Metlera na probostwie w Maluszynie, w latach 1932-1934, który to okres był zwykle pomijany w szczegółowym opracowaniu. Mimo krótkiego czasu, jaki ks. Metler spędził w oddalonej o 60 km od stolicy biskupiej w Częstochowie wiejskiej parafii Maluszyn, charakteryzuje się on intensywną pracą kapłana, zarówno na polu duszpasterskim, jak również naukowym – astronomicznym. Oddawaniu się temu ostatniemu zajęciu przez duchownego świadczył fakt o urządzeniu na dachu tamtejszej plebanii niewielkiego obserwatorium astronomicznego.

Kilka faktów z życiorysu księdza Metlera

Bonawentura Metler urodził się 7 lipca 1866 r. we wsi Ciążen (powiat słupecki, woj. wielkopolskie). Jego rodzicami byli Maria z Winnickich i Bernard Metlerowie, legitymujący się pochodzeniem szlacheckim. Nauki początkowe przyszedł kapłan i astronom rozpoczął w domu rodzinnym pod okiem matki, a następnie kontynuował w Męskim Gimnazjum Klasycznym w Kaliszu. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości w 1883 r. wstąpił do Seminarium Duchownego we Włocławku. Po czwartym roku studiów został skierowany na dalsze kształcenie do Akademii Duchownej w Petersburgu,

¹ Do tych najnowszych zalicza się szereg artykułów zebranych w publikacji: *Astronomia – nauka i wiara*, red. B. Wszolek, Częstochowa 2011.

a stamtąd do Italii, gdzie dnia 18 listopada 1888 r., w Gorycji, przyjął święcenia kapłańskie².

Jako młody ksiądz podjął dalsze studia specjalistyczne w zakresie teologii, sztuki kościelnej, malarstwa, architektury, a także przyrodoznawstwa. Studiował kolejno w Rzymie, Monako, Paryżu, Londynie, Innsbrucku i w Oxfordzie. W tym czasie poznał biegle kilka języków nowożytnych, stając się także ich wykładowcą. Będąc na studiach w Paryżu, zaprzyjaźnił się z wybitnym astronomem Camilem Flammarionem, pod kierunkiem którego studiował astronomię i skonstruował duży teleskop³. W latach 1902-1904 brał udział w wyprawie naukowej na Ocean Indyjski.



Ks. Bonawentura Metler przy teleskopie na tle Jasnej Góry.
(Archiwa Częstochowskiego Oddziału PTMA im. ks. Bonawentury Metlera)

² Dane biograficzne o ks. B. Metlerze zaczerpnąłem z akt personalnych przechowywanych w Archiwum Archidiecezjalnym im. ks. dr. Walentego Patykiewicza w Częstochowie (dalej: AACz), a szczególnie z jego autobiografii „In memoriam posteris sibique”, zob.: AACz, *Teczka personalna ks. Bonawentury Metlera*, sygn. AP 126, passim. Szczegółowy biogram ks. Metlera opracował: J. Związek, *Metler Bonawentura (1866-1939)*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. 20, s. 472-473; zob. także: tenże, *Ks. Bonawentura Metler – w drodze do popularyzowania wiedzy astronomicznej*, [w:] *Astronomia...*, s. 17-37; tenże, *Per aspera ad astra. Życie i działalność ks. Bonawentury Metlera*, „Ziemia Częstochowska” 1996, t. 23, s. 11-30.

³ J. Wieczorek, *Związki Kamila Flamariona z księdzem Bonawenturą Metlerem*, [w:] *Astronomia...*, s. 51-54.

Ksiądz Metler na ojczyste ziemie powrócił 17 kwietnia 1908 roku. Władze diecezji włocławskiej, do której wówczas przynależała Ziemia Częstochowska, mianowały go nauczycielem religii w szkołach Częstochowy. Od 1915 r. uczył astronomii w Liceum im. Henryka Sienkiewicza. Kontakty z młodzieżą dały ks. Metlerowi możliwość popularyzacji wiedzy astronomicznej. Był bowiem przekonany, że przekazując wiedzę astronomiczną młodym ludziom będzie kierował ich umysły na niewidzialnego Boga.

W 1913 r. podjął starania u władz miasta o przekazanie pawilonu „Zawiercie”⁴, mieszczącego się w parku im. Stanisława Staszica u stóp Jasnej Góry, na obserwatorium astronomiczne, w którym mógłby zainstalować swój teleskop oraz inne przyrządy naukowe przywiezione z zagranicy. W realizacji tych planów przeszkodził wybuch I wojny światowej. Sprawa pozyskania lokalu na obserwatorium powróciła jednak w wolnej ojczyźnie i została załatwiona z pozytywnym skutkiem. Do przekazania wspomnianego budynku przez prezydenta miasta, Józefa Marczewskiego, na obserwatorium astronomiczne w Częstochowie doszło w 1923 roku⁵. Wydarzenie to zbiegło się z przypadającą 450. rocznicą urodzin Mikołaja Kopernika. Po przystosowaniu budynku do celów naukowych, dnia 1 września 1928 r. nastąpiło oficjalne otwarcie częstochowskiego obserwatorium⁶. W tym samym roku doszło także do powołania Komitetu Organizującego Polskie Towarzystwo Astronomiczne Popularne w Częstochowie, o co ks. Metler zabiegał podczas I Zjazdu Naukowego Astronomów w Warszawie, w 1920 roku⁷. Spadkobiercą organizującego się wówczas Towarzystwa Astronomicznego stał się Oddział Częstochowski Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii im. ks. Bonawentury Metlera z siedzibą w Częstochowie⁸.

⁴ Był to dawny pawilon po zorganizowanej w 1909 r. wystawie przemysłowo-rolniczej, własność Towarzystwa Akcyjnego "Zawiercie" Zakładów Przędzalni Bawełny, Tkalni i Bilcharni w Zawierciu. J. Kapsa, *Bilans wystawy*, [w:] *Stulecie Wystawy Przemysłu i Rolnictwa w Częstochowie 1909*, red. J. Kapsa, Częstochowa 2009, s. 77; zob. także: D. Złotkowski, *Wystawa Przemysłu i Rolnictwa w Częstochowie 1909 roku w świetle prasy polskiej*, Częstochowa 2009.

⁵ A. Kiepus, B. Wszolek, *Pielegnowanie pamięci o ks. Bonawenturze Metlerze*, [w:] *Astronomia...*, s. 57; M. Głowacki, *Ks. Bonawentura Metler, podróżnik, przyrodnik, popularyzator wiedzy astronomicznej*, [w:] *Astronomia...*, s. 42.

⁶ *Otwarcie Obserwatorium Astronomicznego w Parku Staszica*, „Goniec Częstochowski” 1928, nr 201, s. 3; R. Janiczek, *Obserwatorium Astronomiczne w Częstochowie*, „Ziemia Częstochowska” 1996, t. 23, s. 31-32.

⁷ M. Głowacki, *Bonawentura Metler*, [w:] *Almanach Absolwentów IV L.O. im. H. Sienkiewicza w Częstochowie*, <http://www.absolwenci.sieniu.czest.pl> [dostęp: 25.09.2014 r.].

⁸ Zob.: <http://www.ptma.ajd.czest.pl/> zakładka: Informacje ogólne.



Dawny pawilon Towarzystwa Akcyjnego „Zawiercie”, a obecnie Multicentrum w parku im. Stanisława Staszica w Częstochowie. (Źródło: *Zbiór widoków wystawy w Częstochowie, nakład zakładu fotograficznego A. Piotrowskiego w Łodzi, [Łódź] 1909, s. 79; <http://www.czestochowaforum.pl> [dostęp: 03.10.2014 r.]*)

Po wybuchu I wojny światowej ks. Metler kolejny raz znalazł się za granicą. Tym razem wyemigrował do Ameryki. Do kraju powrócił w 1918 r. i został skierowany do pracy duszpasterskiej w parafii Garnek k. Radomska. Stamtąd dnia 19 marca 1919 r. został mianowany proboszczem w Kruszyńcu (pow. częstochowski), a następnie, w 1932 r., w Maluszyńcu (pow. radomszczański). W 1934 r. przeprowadził się na probostwo do Parzymiech. Tutaj zastała go II wojna światowa. W drugim dniu rozpoczynających się działań wojennych został aresztowany przez wkraczające oddziały Wehrmachtu i w bestialski sposób zamordowany we wsi Jaworzno k. Wielunia. Wraz z ks. Metlerem męczeńską śmierć ponieśli jego wikariusz – ks. Józef Danecki i organista – Ignacy Sobczak. Po wojnie ciała ofiar ekshumowano i złożono we wspólnej mogile na cmentarzu parafialnym w Parzymiechach⁹.

⁹ Zob. R. Brzeziński, *Ks. Bonawentura Metler i męczennicy parzymiescy. W 60-lecie tragicznych wydarzeń (1939-1999)*, Częstochowa 1999, (Seria: „Zeszyt Niedzieli” nr 12) s. 17-22; J. Związek, *Działania wojsk hitlerowskich w pierwszych dniach II wojny światowej wobec Kościoła katolickiego na ziemi częstochowskiej i wieluńskiej*, [w:] Mokra 2009. 70 – rocznica bitwy pod Moką i wybuchu II wojny światowej na Ziemi Kłobuckiej, Kłobuck 2009, s. 92-93; J. Pietrzykowski, *Hitlerowcy w powiecie częstochowskim 1939-1945*, Katowice 1972, s. 14-17; tenże, *Walka i męczeństwo. Z wojennych dziejów duchowieństwa diecezji częstochowskiej (1939-1945)*, Warszawa 1981, s. 16-17.

Parafia św. Mikołaja w Maluszynie w przededniu przybycia księdza Metlera

Maluszyń to niewielka miejscowość położona na północny wschód od Częstochowy, położona nad rzeką Pilicą, która na tym odcinku wyznacza naturalną granicę między Ziemią Świętokrzyską a Łódzką. Choć metryka Maluszyna, jako wsi dziedzicznej sięga XIII w., to pierwsze wzmianki o zorganizowanym w tej miejscowości życiu parafialnym pochodzą z początku XV wieku¹⁰.

Pierwszy znany opis kościoła i parafii św. Mikołaja w Maluszynie przekazał arcybiskup gnieźnieński Jan Łaski w „Liber beneficiorum” z 1523 roku. Wizytujący wówczas probostwo w Maluszynie notariusz biskupi zaznaczył, że kościół nosił tytuł św. Krzyża i św. Mikołaja. Plebanem jego był Szymon z Kurzelowa, który na to stanowisko został przedstawiony przez Andrzeja Pukarzewskiego, dziedzica wsi. Parafia posiadała wikarego i nauczyciela szkoły, co świadczy o istnieniu w tej miejscowości także szkoły parafialnej. Podstawą utrzymania tych trzech osób była dziesięcina. Ponadto proboszcz posiadał dwa pola z nadania dziedzica. Własne uposażenie posiadali także wikariusz i nauczyciel. Do parafii należały wówczas następujące wsie: Mostki (Mosty), Gościeszyn (Gościęcín), Budzów, Silniczka, Ruda Arcybiskupia, Ruda Pukarzowskiego, Łazów, Wola, Sudzin Podwójny (tj. Sudzin i Sudzinek) oraz Barycz. Wierni nie płacili żadnych ofiar na Kościół, a jedynie pracowali na polu proboszczowskim jeden dzień w tygodniu. Dla kapituły gnieźnieńskiej była przeznaczana dziesięcina z ziem kmiecych i ze wsi Gościęcín, jedynej miejscowości w parafii leżącej za pilicą. Z karczmy w Baryczy, do której należały dwa działki ziemi, z jednego dziesięcina była przekazywana proboszczowi w Maluszynie, a z drugiego dla parafii w Niedosiępielinie. Podobna sytuacja dotyczyła ziemi z osady młyńskiej Barycz¹¹.

Źródła do dziejów Maluszyna wymieniają dotychczas trzy świątynie parafialne. Dwie pierwsze były drewniane. Najdawniejszy kościół (znany jako pierwszy), został ufundowany przez Pawła Pukarzewskiego w 1562 roku. Świątynia służyła wiernym do 1677 r., kiedy to spłonęła podczas pożaru wsi. Kolejny obiekt sakralny w Maluszynie wybudowano staraniem ks. Stanisława Białoczyńskiego w 1680 roku. Niestety świątynia podzieliła

¹⁰ W. Patykiewicz, *Chronologia parafii diecezji częstochowskiej*, „Częstochowskie Wiadomości Diecezjalne” 1966: 40, s. 68; por. J. Związek, *Z przeszłości kościelnej Maluszyna i okolicy*, [w:] *Villa Maluschyn 1412-2012. 600 lat Parafii św. Mikołaja w Maluszynie. Księga Jubileuszowa. Praca zbiorowa pod redakcją Andrzeja J. Zakrzewskiego i Łukasza Kopy*, Częstochowa 2012, s. 31.

¹¹ J. Łaski, *Liber beneficiorum archidiecezji gnieźnieńskiej*, wyd. J. Łukowski, t. II, Gniezno 1881, s. 209-211.

los poprzedniej, spłonęła w 1777 roku¹². Budowę nowego kościoła murowanego rozpoczął jeszcze w tym samym roku ks. Jakub Kochankiewicz, kontynuował ks. Michał Kulesza, a zakończył o. Eleutery Miechowicz z zakonu paulinów. Budowa trwała 10 lat¹³. W ołtarzu głównym świątyni umieszczono obraz Matki Bożej Pocieszenia, ozdobiony koroną i srebrną sukienką. Świątynia długo pozostawała niewykończona. Jej konsekracji, w obecnym kształcie, dokonał biskup Stanisław Zdzitowiecki dopiero w dniu 17 września 1903 r. o co zabiegał proboszcz Franciszek Staliński (1862-1921). Parafia Maluszyn przynależała w tym czasie już do diecezji włocławskiej¹⁴. Duże zasługi dla uposażenia kościoła ponieśli jego kolatorzy, a zarazem właściciele Maluszyna – Ostrowscy i Potoccy, fundując m.in. ołtarze boczne i stacje drogi krzyżowej, a także dokonując bieżących napraw¹⁵. Zaslugą rodziny Ostrowskich jest budowa kaplicy św. Barbary na cmentarzu parafialnym w Maluszynie, którą wzniesiono w 1895 r. w miejsce dotychczasowej, drewnianej. Nowa kaplica stała się jednocześnie mauzoleum miejscowych dziedziców¹⁶.

Po dokonaniu zmian granic w administracji kościelnej w odrodzonej Polsce, od 1925 r. parafia Maluszyn znalazła się w obszarze nowoutworzonej diecezji częstochowskiej, w dekanacie gidelskim¹⁷. Parafię tworzyło 14 miejscowości: Maluszyn, Barycz, Błonie, Budzów, Ciężkowiczki, Czarny Las, Ferdynandów, Kąty, Łazów, Mosty, Silniczka, Sudzin, Sudzinek, Wola Życińska. Przed przybyciem ks. B. Metlera

¹² Ufundowany w 1562 r. kościół parafialny w Maluszynie stanowił prawdopodobnie wotum ekspiacyjne dziedzica Pawła Pukarzewskiego za bratobójczą śmierć Andrzeja. A. J. Zakrzewski, *Osiem wieków Żytna. Zarys życia społeczności lokalnej*, [w:] A. J. Zakrzewski, J. Związek, *Żytno (1198-1998)*, Żytno 1998, s. 35; H. Ostrowska, *Dzieje Maluszyna i jego dziedziców z opowiadania i z pamięci zebrane (...)*. Z rękopisu wydał, wstępem i przypisami opatrzył A. J. Zakrzewski, Warszawa 2009, s. 212-213; Ł. Kopera, *Pamiętnik Maluszyna w roku 1869 spisany*, „Zeszyty Radomszczańskie” 2012, t. 6, s. 234-235.

¹³ H. Ostrowska, *dz. cyt.*, s. 235.

¹⁴ J. Związek, *dz. cyt.*, s. 48; zob. *Nowiny z daleka i bliska: Wizyta pasterska*, „Dzwonek Częstochowski” 1903, t. 12, s. 103-107.

¹⁵ K. A. Maciaszczyk-Bednarek, *Kościół parafialny i jego uposażenie*, [w:] *Villa Maluschyn...*, s. 102 i nast.

¹⁶ Tamże, s. 112.

¹⁷ Diecezja częstochowska została ustanowiona bullą papieża Piusa XI *Vixdum Poloniae unitas* z dnia 28 X 1925 r. O wyodrębnieniu nowej diecezji na mapie administracyjnej Kościoła w Polsce zdecydował wzgląd na sanktuarium Matki boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze w Częstochowie, które uznano za duchową stolicę Polski z przeznaczeniem na siedzibę biskupa częstochowskiego. Do nowej diecezji zostały włączone m. in. południowo-wschodnie tereny dawnej diecezji włocławskiej, zwanej także kujawsko-kaliską. Pierwszym biskupem nowoutworzonej diecezji częstochowskiej został ks. dr Teodor Kubina. J. Związek, *Dzieje diecezji częstochowskiej w II Rzeczypospolitej*, Częstochowa 1990, s. 15-60.

duszpasterstwo w parafii (od 1925 r.) prowadzili: ks. Saturnin Czaki (1921-1925), ks. Wincenty Glass (1921-1926) i ks. Walenty Hamerling (1926-1932)¹⁸.



Kościół parafialny św. Mikołaja i kaplica św. Barbary w Maluszynie z czasów pobytu ks. Metlera. (Źródło: *I. Jezierski, Gmina Maluszyn w 1935 roku. Do druku przygotował Ł. S. Kopera, wstępem i przypisami opatrzył A. J. Zakrzewski, fotografie współczesne T. M. Kolmasiak, Włoszczowa 2014, s. 112-113*)

Parafia Maluszyn była typową placówką wiejską, w której występowały wszystkie cechy charakterystyczne dla duszpasterstwa i życia religijnego wiernych w tym środowisku. Do czasu powołania struktur diecezji częstochowskiej w parafii maluszyńskiej duszpasterstwo prowadził tylko proboszcz. Księża w parafii pracowali zwykle do późnej starości, a często umierali na swoim stanowisku, o czym świadczą groby kapłanów na miejscowym cmentarzu parafialnym¹⁹. Wraz z utworzeniem diecezji częstochowskiej i powołaniu dla niej seminarium duchownego w Krakowie, do pracy w parafii maluszyńskiej kierowani byli już także wikariusze i księża praktykanci. Pomocnicy proboszcza odpowiedzialni byli najczęściej za katechizację dzieci i młodzieży w miejscowych szkołach powszechnych oraz za stowarzyszenia i ruchy religijne, które zaczęły rozwijać się przy kościele św. Mikołaja w Maluszynie. Najpopularniejszymi stawały się wówczas: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, Akcja Katolicka,

¹⁸ Z tej grupy kapłanów obok ks. Metlera ofiarą hitlerowców padł także ks. Walenty Hamerling, który zginął w komorze gazowej w Hartheim k. Linzu dn. 6 V 1942 r. J. Związek, *Z przeszłości kościelnej Maluszyna...*, s. 71-76.

¹⁹ W parafii zmarli m.in. ks. Adam Świącichowski (†1886), ks. Antoni Woszczalski (†1890), ks. Feliks Kobielski (†1943). Zob. J. Związek, *dz. cyt.*, s. 53 i nast.

Trzeci Zakon Świętego Franciszka, koła Różańca Świętego, a także chór parafialny, któremu patronował zwykle proboszcz²⁰. Obok tych organizacji w parafii maluszyńskiej od dawna działały bractwa Matki Boskiej Pocieszenia, Paska św. Augustyna i św. Barbary, inaczej zwane Bractwem Dobrej Śmierci²¹.

Widocznym znakiem wiary chrześcijańskiej w Maluszyńce była świątynia parafialna. Wzniesiona z cegły i kamienia w drugiej połowie XVIII w. wyraźnie przewyższała inne budowle w okolicy. Dodatkowym atutem jej majestatycznej wielkości było miejsce położenia, a więc nad wysoką skarpą, którą od południa opływała rzeka Pilica, a od wschodu niewielki kanał wodny. Za wschodnią fasadą świątyni rozpościerało się probostwo, czyli plebania wraz z zabudowaniami gospodarskimi, a dalej łąki i pola, stanowiące uposażenie proboszcza. Od strony północnej kościoła parafialnego znajdowała się organistówka i czworaki dworskie wzniesione z kamienia przez rodzinę Ostrowskich, podobnie jak inne budynki na Maluszyńce. Świątynia parafialna była ogrodzona murem z parkanem z 1890 r., a na jej plac prowadziły schody wprost z drogi wiodącej od Radomska do Włoszczowej. Przez jezdnię, czyli od zachodu, kościół maluszyński sąsiadował z pałacem wielkopańskiej rodziny Ostrowskich²². Współpraca na linii plebania – dwór na ogół układała się poprawnie. Miejscowi kolatorowie z rodu Ostrowskich i Potockich byli zainteresowani należytym wyglądem świątyni i jej otoczenia, jak również właściwą pracą duszpasterzy. Stosunki z dworem uległy pogorszeniu w momencie przybycia do Maluszyńca ks. Walentego Hamerlinga, który nie potrafił nawiązać odpowiedniej współpracy z hrabią Stanisławem Potockim. W tej sytuacji nastąpiła zmiana na stanowisku proboszcza maluszyńskiego i do parafii przybył ks. Bonawentura Metler²³.

Ksiądz Metler do czasu objęcia probostwa w Maluszyńce pracował w Kruszyńcu (pow. radomszczański), gdzie kolatorami kościoła byli książęta Lubomirscy. Do spraw kościelnych podchodzili oni podobnie jak Ostrowscy z Maluszyńca, a więc czynili wszystko co sprzyjało rozwojowi Kościoła katolickiego w ich majątku. Ksiądz Metler w parafii kruszyńskiej pracował 13 lat i jako duchowny cieszył się dużym poszanowaniem. Taka kandydatura jak najbardziej odpowiadała biskupowi częstochowskiemu – Teodorowi

²⁰ Zob. Ł. Kopera, *Duszpasterstwo i życie religijne wiernych w parafii Maluszyńca*, [w:] *Villa Maluschyn...*, s. 151-171.

²¹ M. Łącka-Malecka, *Tytuł kościoła świętego Mikołaja i świętego Krzyża oraz kult świętych w parafii Maluszyńca*, [w:] *Villa Maluschyn...*, s. 136-137; J. Związek, dz. cyt., s. 56.

²² H. Ostrowska, dz. cyt., s. 50-54; zob. K. Studnicka-Mariańczyk, *Pałac w Maluszyńce – etapy budowy, architektura i wyposażenie. Otoczenie pałacu – parki i ogrody*, [w:] *Villa Maluschyn...*, s. 283-216.

²³ J. Związek, dz. cyt., s. 63.

Kubinie, aby dokonać zamiany na probostwie w Maluszyńcu. Wybór okazał się trafny i ks. Metler w parafii maluszyńskiej został przyjęty pozytywnie. Nowemu proboszczowi udało się nawet wzbudzić sympatię wśród miejscowej rodziny Potockich, co zostało odebrane jako poprawa stosunków na linii Kościół – dwór²⁴.

Ksiądz Bonawentura Metler – duszpasterz i astronom w Maluszyńcu

Ksiądz Bonawentura Metler do Maluszyńca przybył w dniu 23 maja 1932 roku²⁵. Dwuletni etap jego pracy duszpasterskiej w tej parafii można scharakteryzować jako okres posługi wiejskiego proboszcza, oddanego Bogu i ludziom, a w tym przypadku także sprawom nauki. Bowiem obok form zwykłego duszpasterstwa, jakie wymagały od kapłanów parafia maluszyńska, ks. Metler nie odstępował także od swoich zainteresowań astronomicznych. W tym celu na starej plebani, wzniesionej w 1842 r. przez miejscowych właścicieli Maluszyńca – Ostrowskich²⁶, urządził sobie małe obserwatorium astronomiczne. Wyglądało ono w ten sposób, że część dachu plebani od strony południowej została zamieniona na taras widokowy, do którego prowadziły schody z piętra mieszkania duchownego. Taras ks. Metlera jest widoczny na zachowanym zdjęciu plebani z tamtego okresu.



Plebani w Maluszyńcu z widocznym tarasem na dachu – małym obserwatorium astronomicznym. Na schodach (z lewej) stoi ks. Bonawentura Metler, 1934 r. (Źródło: I. Jezierski, *Gmina Maluszyńca w 1935 roku...*, s. 114)

²⁴ Tamże, s. 63.

²⁵ AACz, *Księga wizytacji biskupich zaprowadzona w roku 1885 parafii Maluszyńca*, sygn. KD 385, s. 45.

²⁶ K. A. Maciaszczyk-Bednarek, *dz. cyt.*, s. 106.

Znaczna odległość jaka dzieliła Maluszyń od Częstochowy nie przeszkadzała ks. Metlerowi, by spieszyć do stolicy diecezji z wykładami i prelekcjami o najnowszych nowinkach i własnych obserwacjach astronomicznych. Swoim pasjom kapłan-astronom w Maluszyń nie mógł jednak poświęcać zbyt wiele czasu, gdyż ograniczał go ogrom pracy duszpasterskiej. W momencie przybycia ks. Metlera do Maluszyńa tutejsza parafia obliczona była na blisko 3800 wiernych. Proboszcza w pracy wspierali wikariusz ks. Romuald Kapkowski (†1944) i organista Julian Berg (1898-1966). Zaraz po przybyciu do parafii maluszyńskiej ks. Metler mógł przeżywać radość z nowo wyświęconego kapłana – ks. Antoniego Wodzisławskiego (1904-1987), rodem z Maluszyńa. Uroczystości prymicyjne w miejscowym kościele św. Mikołaja odbyły się w dniu 10 lipca 1932 roku²⁷. Z tego wydarzenia zachowała się piękna fotografia księdza prymicjanta w otoczeniu rodziny, ks. Metlera i hrabiego Stanisława Potockiego z Maluszyńa.



Ks. Antoni Wodzisławski (w środku) w dniu prymicji. Ks. Bonawentura Metler siedzi obok prymicjanta (z prawej). Maluszyń, 1932 r. (Źródło: *Zbiory własne autora*)

²⁷ Data taka widnieje na zachowanym obrazku prymicyjny ks. Antoniego Wodzisławskiego, będącym w posiadaniu autora. Por.: Ks. J. Grzyb, *Wspomnienia byłego wikariusza parafii Maluszyń, [w:] Villa Maluschyn..., s. 325.*

W księgach metrykalnych kościoła św. Mikołaja w Maluszynie za czasu pobytu ks. Metlera odnotowanych zostało 302 chrzty, 33 zawartych związków małżeńskich oraz 85 zejść²⁸. W tych liczbach, w porównaniu do okresu poprzedniego, widać wyraźną tendencję wzrostową i rozwój osobowy parafii.

Na duszpasterstwo parafialne składała się także nauka religii w miejscowych szkołach powszechnych na terenie gminy Maluszyn. Ksiądz Metler nie tylko sam katechizował dzieci i młodzież, ale pełnił także funkcję prezesa gminnego Dozoru Szkolnego²⁹.

Tuż przed przyjazdem ks. Metlera do Maluszyna, do pracy w jednej ze szkół powszechnych na terenie gminy maluszyńskiej został skierowany nauczyciel Ignacy Jezierski (1900-1944). Pełnił on funkcję kierownika szkoły, a zarazem komendanta oddziału straży pożarnej w Łazowie. Jezierski z zamiłowania był historykiem i pozostawił po sobie cenne źródło w postaci monografii gminy Maluszyn w 1935 roku³⁰. Niewątpliwie materiały do przygotowanej kroniki Jezierski zaczął zbierać niedługo po przybyciu do Łazowa w 1931 roku. W jego monografii odnaleźć można m.in. rozdział poświęcony szkołom, a także parafiom, znajdującym się w ówczesnych granicach gminy Maluszyn. Wiele ciekawych faktów odnośnie historii kościoła i parafii św. Mikołaja w Maluszynie kierownik Jezierski zaczerpnął od mieszkającego wówczas w Maluszynie ks. Metlera, który nie pozostawał zamknięty na sprawy nauki. Świadczy o tym wspomniana powyżej fotografia maluszyńskiej plebanii, na której został uwieczniony także ks. Metler.

Położenie Maluszyna wśród rozlewisk wodnych, szczególnie w sąsiedztwie rzeki Pilicy, który płynęła tuż za plebanią w dole, niekorzystnie wpływało na stan zdrowia ks. Metlera, który chorował na groźną odmianę grypy, tzw. hiszpankę³¹. Choroby tej kapłan nabawił się jeszcze na poprzedniej placówce w Kruszynie w 1919 roku. Złe samopoczucie z racji nadmiernie wilgotnego powietrza w Maluszynie stało się powodem, dla którego ks. Metler dokonał zamiany na placówkę

²⁸ Dane uzyskane dzięki uprzejmości ks. kan. Jerzego Grzyba, aktualnego proboszcza w Maluszynie. Kancelaria Katolickiej Parafii św. Mikołaja w Maluszynie, Księgi Metrykalne za lata 1932-1934.

²⁹ Ł. Kopera, *Dzieje szkół elementarnych i powszechnych w dobrach Ostrowskich z Maluszyna (do 1945 r.)*, Sudzin-Włoszczowa 2011, s. 44.

³⁰ I. Jezierski, *Gmina Maluszyn w 1935 roku*. Do druku przygotował Ł. S. Kopera, wstępem i przypisami opatrzył A. J. Zakrzewski, fotografie współczesne T. M. Kolmasiak, Częstochowa 2014.

³¹ Pandemia grypy hiszpanki rozprzestrzeniła się w pierwszych latach I wojny światowej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i stamtąd, wiosną 1918 r., przybyła do Europy. Nazwa wirusa znana jest jako potoczna, gdyż pierwsze głosy o jego rozprzestrzenianiu się na starym kontynencie pojawiły się w hiszpańskiej prasie. Zob. A. Krzemińska, P. Walewski, *Hiszpanka była Amerykanką*, „Polityka” 2009, nr 34, s. 63-66.

parafialną w Parzymiechach, w której pracował jego kursowy kolega ks. Bernard Kobielski herbu Poray (1865-1943). Na decyzję o zmianach personalnych w parafiach Maluszyn i Parzymiechy pozytywnie odpowiedział ordynariusz częstochowski – bp Teodor Kubina i w dniu 10 lipca 1934 r. ks. Bonawentura Metler opuścił Maluszyn³².

A oto jak zapamiętała pobyt ks. Metlera w Maluszyńce jedna z jego parafianek – Xenia Popowicz: (...) *Obok pięknej, jak na taką wieś plebanii, na dachu której ks. Metler wybudował obserwatorium astronomiczne (jeszcze dziś pamiętam, jak idzie środkiem drogi z piękną siwą burzą włosów, wyprostowany, pogodny... (...))*³³.

Podsumowanie

Ksiądz Bonawentura Metler w parafii św. Mikołaja w Maluszyńce pracował w latach 1932-1934. Zgodnie ze swoim powołaniem kapłańskim wypełniał wówczas wszystkie możliwe obowiązki, jakie były przeznaczone dla wiejskiego proboszcza. Składały się na nie opieka duszpasterska nad wiernymi oraz nauczanie religii w miejscowych szkołach powszechnych. W wypełnianiu obowiązków ks. Metlerowi pomagali wikariusz i organista. Wsparcie tych ostatnich było wielkim dobrodziejstwem, dzięki któremu duchowny każdą wolną chwilę mógł poświęcić uprawianiu swych astronomicznych pasji. Nie wiemy, czy przystosowanie plebani, w której zamieszkał ks. Metler, do czynności obserwowania nieba wiązało się z jego dłuższym pobytem w Maluszyńce i tym samym mogło przyczynić się do zachowania go przy życiu, a przy najmniej nie pozbawienia go w tak dramatycznych okolicznościach (?). Z pewnością to mogło być możliwe, gdyby nie trudne warunki klimatyczne, które negatywnie wpływały na samopoczucie ks. Metlera. Nie narażając dłużej swego zdrowia na utratę, duchowny poprosił o zmianę placówki duszpasterskiej. Trafił wówczas do Parzymiech, gdzie zastał go II wojna światowa i okrutna śmierć w dniu 2 września 1939 roku.

Na zakończenie pragnę wyrazić wdzięczność organizatorom konferencji „Astronomia – nauka i wiara. W 75-rocznicę śmierci ks. Bonawentury Metlera”, za możliwość przedstawienia moich spostrzeżeń na temat

³² AACz, sygn. KD, s. 45.

³³ Pani Xenia Popowicz jest córką pracującego w Maluszyńce w okresie międzywojennym nauczyciela i kierownika szkoły powszechnej Jana Popowicza, także komendanta miejscowego oddziału straży pożarnej. Urodziła się w 1926 r. w Maluszyńce, gdzie została ochrzczona w miejscowym kościele parafialnym przez poprzednika ks. Metlera – ks. Walentego Hamerlinga (1887-1942). Xenia Popowicz mieszka aktualnie w Katowicach i często dzieli się swoimi wspomnieniami o rodzinnej wsi „z odległej perspektywy” na www.maluszyn.eu. Zob. m.in.: X. Popowicz, *Maluszyn – wieś, ludzie, zwyczaje, jak go pamiętam z odległej perspektywy*, <http://www.maluszyn.eu> [dostęp: 04.08.2014 r.].

wybitnego kapłana Kościoła Częstochowskiego, jakim był ks. kan. Bonawentura Metler. Jego osoba, jako proboszcza i astronoma towarzyszy mi od lat, gdyż w parafii Maluszyń zamieszkuję od niemowlęctwa i w tamtejszym miejscowym kościele św. Mikołaja przyjąłem Chrzest Święty. Ufam, że moje wiadomości na temat pobytu ks. Metlera w Maluszyń pogłębią wiedzę tych, dla których postać Kapłana Męczennika stanowi ważny powód zainteresowań i okazję do dumy.



Od lewej: Jadwiga Biała, Witold Sejfyd, Łukasz Kopera i Grażyna Sejfyd.
(fot. A. Leśniczek)



Francis Oger przy grobie ks. Bonawentury Metlera w Parzymiechach. (fot. A. Leśniczek)

Spiritism in the times of Camille Flammarion

Francis Oger

vice-president of Société Astronomique de France and director of Camille Flammarion Observatory

I am presently investigating Bonawentura Metler's astronomical activities when he was in France, between 1891 and 1907. At that time, he was the chaplain of the Polish Charity Sisters' establishment in Juvisy, 15 kilometers south of Paris and just 100 meters north of Camille Flammarion's observatory.

It was the beginning of Metler's astronomical activities and his friendship with Camille Flammarion, which lasted long after Metler's return in Poland. I found it interesting to investigate the attitude of Flammarion and his friends concerning spiritism, since it necessarily had some influence on his relations with Metler.

It was easier for me to do it since I had access to some letters received by Flammarion. They are belonging to the Flammarion documentary fund, which is still presently kept in Juvisy.

Camille Flammarion's motto is written on the porch of his observatory: « *Ad veritatem per scientiam* » (towards truth through science). However, it does not mean that he wanted to be a pure rationalist. On the back side of the building, it is written « *AUM* », which refers to indian philosophies.

Actually, during his youth, Flammarion was one of the most important members of the spiritist group founded by Allan Kardec. Even, in 1869, he gave an eulogy at Allan Kardec's funeral. Spiritists believe in reincarnation and the possibility to communicate with dead people, in particular through mediums.

In 1898, Flammarion and Eugene Antoniadi, his assistant in Juvisy observatory who later made important work on Mars in Meudon observatory, investigated the famous italian medium Eusapia Palladino. Before, she had been investigated by the italian astronomer Giovanni Schiaparelli, and also by Julian Ochorowicz in Poland.

However, like others before and after him, Flammarion detected some cases of fraud in Eusapia's performances. For him, the real problem was to determine if, despite this, she had real powers.

In an article dated 30 June 1899, Flammarion announced that he abandoned spiritism. During the following weeks, his correspondants from several countries had contrasted reactions, with some of them showing real surprise.

However, Flammarion still considered paranormal phenomena as a valuable subject of observation and experiment. The following letter, dated 14 July 1899, showed that Giovanni Schiaparelli shared this point of view:

Je me permets la liberté de vous présenter Mr Cesare Vesme, mon compatriote qui a consacré sa vie à l'étude des phénomènes mystérieux qu'on classe sous la dénomination de spiritisme, et s'efforce, avec autant de doctrine que de sincérité, de chercher la vérité au milieu de tant de superstition et de charlatanisme qui se cache sous ce nom. Il s'occupe des sujets en question avec un esprit scientifique libre de tout scepticisme préconçu, mais libre aussi de tout fanatisme. Cela suffira pour vous rendre intéressant de le connaître et de faire avec lui un échange d'opinions sur ces hautes et intéressantes questions. Je saisis cette occasion pour vous envoyer mes salutations sincères.

*Votre dévoué
G. Schiaparelli*

I take the liberty to present you Mr Cesare Vesme, my compatriot who devoted his life to the study of the mysterious phenomena which are classified under the name spiritism. With perseverance and sincerity, he is doing his best to find the truth amidst so much superstition and charlatanism which is hidden under that name. He considers these subjects with a scientific attitude which is free from any preconceived skepticism, but also free from any fanaticism. It will be enough for you to become interested to meet him and exchange opinions with him on these high and interesting questions. I take this opportunity to send you my sincere regards.

Your devoted, G. Schiaparelli

Schiaparelli was a specialist of the observation of Mars. He formulated the hypothesis of the existence of canals, without asserting an artificial origin for them. He also proved the relation between comets and shooting stars.

Since 1898, Count Cesar Baudi De Vesme was the director of the *Revue des études psychiques* (Journal of psychic studies), which was published both in France and in Italy. Following Schiaparelli's advice, Flammarion corresponded with De Vesme during the following years.

In 1905, Eusapia Palladino was investigated again by Pierre Curie, Marie Curie Skłodowska and other famous scientists living in Paris at that time. The last experiment was only 5 days before Pierre Curie's death. He believed that Eusapia produced real phenomena.

Marie Curie seemed less impressed. However, long after the death of Pierre, she still wrote long letters to him, showing some kind of belief in the possibility to communicate with dead people.

In the last years of his life, Flammarion was even more interested in phenomena like telepathy and materializations of persons who are not physically present. His last books were *La mort et son mystère* (death and its mystery) and *Fantômes et sciences d'observation* (Phantoms and observation sciences), the last one completed and published long after his death.

He distinguished three categories of phenomena: during lifetime, at the time of death and after death. The two first categories were more represented in the examples that Flammarion collected throughout the world.

Ferdinand Quénisset, another famous assistant of Flammarion who discovered two comets in Juvisy observatory, was also interested in telepathy and paranormal phenomena. In a letter addressed to Flammarion on 10 November 1907, after telling about his astronomical work in Juvisy, he wrote:

Je ne puis résister au plaisir de vous faire part de mes dernières expériences psychiques avec M. Bloch.

Nous obtenons maintenant des résultats des plus satisfaisants comme transmission de pensée. [...]

Mais ce qui est encore plus remarquable ce sont les expériences que nous avons faites le 2 novembre dernier chez moi. A la lumière rouge nous avons obtenu par deux fois une lévitation complète d'un petit guéridon, à 20cm au moins du sol, nos mains étant posées dessus très délicatement. La table est restée, à chaque fois, en l'air complètement détachée du sol pendant environ 10 secondes (la deuxième fois plus longtemps que la première). Je vous assure que nous avons été fort impressionnés malgré tout notre désir d'exécuter une expérience de laboratoire !! Un courant d'air très froid était bien sensible sur nos mains.

Nous allons procéder sans retard à de nouvelles expériences et ns en prendrons des photographies stéréoscopiques au magnésium. Peut-être bien, avec plus d'entraînement, aurons-nous des lévitations en pleine lumière.

Voilà plus d'un an que je poursuis ces expériences avec Bloch (Ns avons eu 1 ou 2 séances par semaine). Nous avons été toujours persuadés qu'avec beaucoup de persévérance et en essayant le plus souvent possible ensemble, nous finirons par obtenir quelque chose. Nous commençons à en être récompensé et... allons continuer plus que jamais...

Je vous tiendrai au courant d'ailleurs, Cher Maître, et j'espère bien qu'un jour nous pourrons faire ensemble une séance. Mais auparavant, je vous demanderai surtout de ne pas en parler à personne, même à M. Bloch, si vous le voyez, car il ne veut pas ébruiter cela avant de plus nombreuses expériences et surtout avant d'en avoir obtenu des photographies rigoureuses. Il ne sait pas et ne saura pas que je vous en ai parlé.

I cannot resist the pleasure to tell you about my last psychic experiences with M. Bloch. Presently we obtain quite satisfactory results in the domain of telepathy [...]. However the experiments that we made at my home on November 2 are even more remarkable. Under red light, we obtained twice the complete levitation of a small pedestal table, at least 20cm over the floor, with our hands very delicately placed on the table. Each time, the table was completely detached from the floor for about 10 seconds (the second time longer than the first time). I assure you that we were quite impressed in spite of our desire to make just a laboratory experiment!! A very cold air flow was clearly perceivable on our hands.

As soon as possible, we shall make new experiments and take stereoscopic photographs with magnesium of them. Maybe, with more training, we shall have levitations under full light.

It is more than one year since I began these experiments with Bloch (we had one or two sessions every week). We were always sure that, with a lot of perseverance and trying as often as possible together, we would obtain something at the end. We begin to be rewarded for that... and we are going to continue even more...

I will keep you informed, Dear Master, and I have good hope that, one day, we shall have a session together. However, before, I ask you to tell about it to nobody, not even to M. Bloch if you see him, since he does not want it to be known before making more experiments and above all before obtaining rigorous photographs of it. He does not know and he will never know that you told me about it.

M. Bloch was also an assistant of Flammarion in Société Astronomique de France.

It is also interesting to mention Theophile Moreux, who was both a priest and an astronomer. He lived in Bourges in the center of France. Metler probably met him, since he mentioned that he was inspired by the observatory of Bourges, which was Moreux's observatory.

Moreux was quite involved in Flammarion's activities, in particular concerning Société Astronomique de France and its magazine L'Astronomie. Like Flammarion, he wrote books to popularize astronomy and other sciences. It appears that he did not refuse Flammarion's researches in parapsychology at that time, even though their relations became more distant later on.

On 3 September 1898, Moreux wrote :

Avez-vous des nouvelles d'Eusapia ? Si elle est venue à Juvisy quels sont les résultats ? Si Madame Flammarion avait le temps de me faire parvenir un mot à ce sujet je lui en serais très reconnaissant.

Do you have some news from Eusapia ? If she came to Juvisy, what were the results? I would be grateful if Mrs Flammarion had time to send me a word about it.

Moreover, in 1899, Moreux sent to Flammarion the relation of a case which seems typical of *poltergeist* phenomena, especially with the presence of a preadolescent child: *Je n'ai jamais été poltron et de bonne heure mes parents m'avaient appris à aller seul la nuit en quelque endroit que ce fût. Cependant je me rappelle un fait dont j'ai été témoin, que je ne m'explique pas encore aujourd'hui et qui franchement me fit connaître la peur. J'avais une douzaine d'années à ce moment là. La fin de la journée avait été très chaude, un orage menaçait et dans la campagne en de pareilles circonstances personne ne se couche ; on attend avec anxiété que l'orage soit passé, surtout pour savoir s'il « ne grêlera pas ». Nous étions une bande d'enfants assis devant la porte nous amusant dans le sable. A un moment je rentrai dans la maison et j'aperçus au fond de la chambre derrière le magasin un homme de haute taille se tenant devant la porte du fond. Sa silhouette se détachait nettement à travers la porte vitrée. Cet homme avait un chapeau haut de forme, détail qui me frappa singulièrement, car à cette époque personne dans le village n'avait l'habitude de porter un pareil costume.*

De loin je criai à l'apparition : « Tu veux me faire peur » mais l'homme ne bougea pas. Je crus que j'avais mal vu, j'eus peur et revins sans mot dire rejoindre mes camarades. L'orage passé, nous rentrâmes à la maison pour nous coucher. Toutes les portes étaient soigneusement fermées à clef, sauf celle qui faisait communiquer le magasin avec la chambre du fond. Je m'étais assis près de cette porte pour me déchausser et j'avais toujours mes bas posés à terre près de la porte. Tout à coup très doucement la porte s'ouvre refoulant en même temps mes chaussures. Je me rappelai l'apparition et ne doutai pas qu'un homme fût dans le magasin à côté.

Vite je regardai derrière la porte. Personne. A cet instant j'eus peur et je criai pour appeler. Une de mes sœurs déjà âgée, bâtie comme un gendarme et n'ayant jamais connu la peur se précipita dans le magasin pendant que nos parents attendaient l'issue de l'affaire. Nous crûmes à un voleur. Mais au moment où nous le cherchions un fracas épouvantable se fait entendre toutes les portes de la maison s'ouvrent à la fois y compris celle du magasin qui était fermée par une grosse barre de fer. Nous n'eûmes que le temps de voir ces portes ouvertes. Instantanément elles se refermèrent. La barre était à sa place il fallut l'enlever avec les targettes pour ouvrir la porte. Les voisins qui n'étaient pas encore couchés n'avaient rien entendu.

Cette histoire a eu des témoins qui vivent encore. La scène ne se représenta plus jamais mais actuellement encore il m'est impossible de l'expliquer.

L. P.

(relation écrite par M. l'abbé Moreux, professeur au petit séminaire de Bourges)

I have never been a coward and, when I was quite young, my parents made me used to going alone in any place at night. However, I remember a fact of which I was a witness, for which I still have no explanation and which really frightened me. At that time, I was about twelve years old. The end of the day had been very hot, a thunderstorm was threatening and in the country, in such circumstances, nobody goes to bed; people wait with anxiety for the end of the thunderstorm, especially in order to know if there will be no hail. We were a bunch of kids sitting outside the door and playing in the sand.

At some moment, I entered the house and I noticed at the back of the room behind the store a high sized man standing in front of the back door. His silhouette was clearly visible through the glass door. This man had a top hat, which made me quite surprised since nobody in the village was wearing such a costume at that time. From a distance, I shouted to the apparition: « You want to make me afraid », but the man did not move. I thought that I had seen incorrectly, I became afraid and came back to join my playmates without saying a word.

After the end of the thunderstorm, we entered the house to go to bed. All the doors were carefully locked, except the door between the store and the room at the back. I had sat near that door to take off my shoes and the shoes were on the floor near the door. Suddenly the door opened slowly, pushing back my shoes. I remembered the apparition and I had no doubt that a man was in the store nearby.

I had a quick look behind the door. Nobody. At that time I was afraid and I shouted to call. One of my elder sisters, built like a constable and who had never been afraid of anything, rushed into the store while our parents were waiting for the end of the events.

We believed that a thief was present. However, just as we were searching for him, there was a terrible crash and all the doors of the house opened at the same time, including the door of the store which was closed with a big iron bar. We just had the time to see these doors open. Immediately they closed again. The bar was in its place and we had to take it off with the bolts to open the door. The neighbours were not in bed yet, but they had heard nothing.

This story had witnesses who are still living. There was never such a scene again and I still cannot explain it presently.

L.P.

(relation written by Abbé Moreux, professor at the small seminar of Bourges)

The date of this letter is not mentioned on the letter itself. However, we have another letter dated 11 June 1899, which answered a demand of Flammarion concerning that case. Moreux wrote, in particular: *Je vous écris immédiatement pour vous tranquilliser au sujet du fait de télépathie que je vous ai raconté... Vous pouvez même imprimer le nom si vous voulez. C'est un jeune homme de mes amis d'enfance, ami intime. Nous avons fait nos études ensemble au séminaire. Maintenant il est marié et père d'une adorable petite fille... Il s'appelle Louis Potier et demeure à Vailly-sur-Sauldre (Cher) au moment où l'histoire est arrivée. Je lui écrirai ces jours-ci pour lui demander des tuyaux sur les témoins...*

I am writing immediately to put your mind at rest concerning the fact of telepathy about which I told you... You can even print the name if you like. He is one of my childhood friends, a close friend. We studied together at the seminar. Presently, he is married and the father of a lovely little girl... His name is Louis Potier and he was living in Vailly-sur-Sauldre (Cher) at the time of the events. I will write to him soon in order to ask him informations about the witnesses.

It is important not to judge the attitude of Flammarion and his friends according to the present state of knowledge and the present way of thinking. Action without contact seemed rather natural with the examples of gravitation and electromagnetic forces. Telepathy was considered similar to radio communication, which was just beginning.

Paranormal phenomena have been mentioned in various civilizations. Presently, in western countries, it is generally believed that they do not exist. At least, it seems that they have gradually disappeared, rather like demonic possession phenomena and the impressive cases of hysteria which were recorded at the same time by Charcot and Freud.

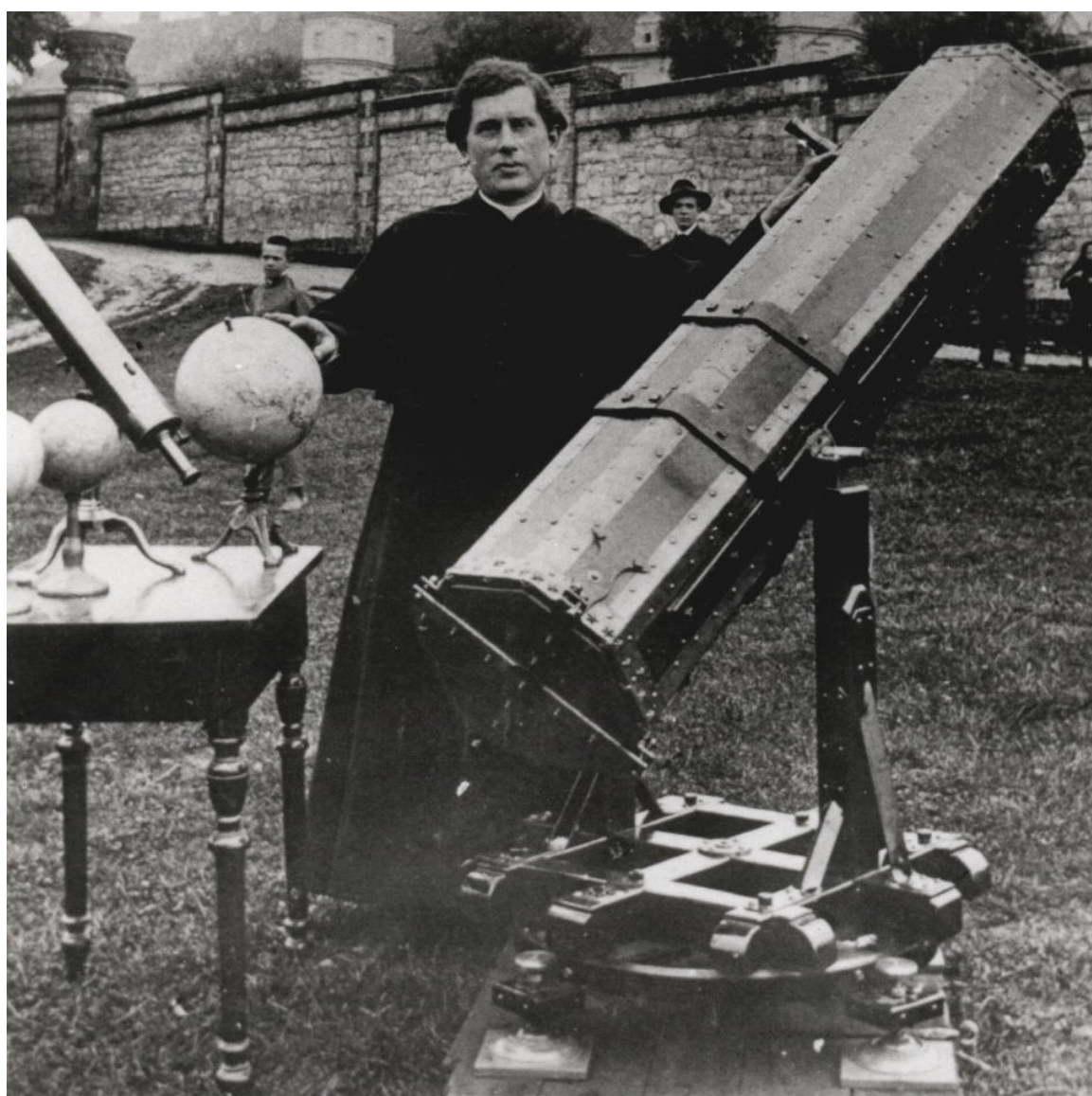
Teleskopy księdza Metlera

Bogdan Wszolek^{1,2}

¹Instytut Fizyki, AJD w Częstochowie

²Obserwatorium Astronomiczne Królowej Jadwigi w Rzepienniku Biskupim

Ksiądz Bonawentura Metler popularyzował wiedzę astronomiczną nie tylko słowem, ale też poprzez obserwacje astronomiczne. Sam konstruował teleskopy i organizował obserwatoria. W okresie międzywojennym największy polski teleskop należał właśnie do Metlera. Sam go skonstruował na wzór teleskopu z obserwatorium Kamila Flammariona w Juvisy pod Paryżem.



Fot.1. Ks. Bonawentura Metler przy swoim 30-centymetrowym teleskopie na Jasnej Górze w Częstochowie. (archiwa autora)

Teleskop, zbudowany w systemie optycznym Newtona na solidnym montażu horyzontalnym, miał średnicę lustra 30 cm. Był powiększoną i ulepszoną kopią teleskopu Flammariona o średnicy zwierciadlanego obiektywu równej 20 cm. Montaż pozwalał precyzyjnie ustawiać teleskop na gwiazdę i odczytywać jej współrzędne na odpowiednich podziałkach. Został zbudowany w Juvisy, a pierwsze testowe obserwacje zostały przeprowadzone tam wspólnie z Flammarionem.



Fot.2. Bonawentura Metler i Zygmunt Przesłański przy teleskopie o średnicy 30 cm, na podwórku plebanii w Parzymiechach. (*archiwa autora*)

Z porównania fotografii 1 i 2 wynika, że teleskop został w Polsce istotnie ulepszony w stosunku do wersji pierwotnej. Przede wszystkim zamontowano mosiężne tarcze z naniesionymi precyzyjnymi podziałkami kąta azymutu i wysokości. Podziałka azymutu znajduje się na dole pod tubusem, a podziałki wysokości dotyka się ks. Metler (Fot. 2). Wprowadzono też dodatkowe belki do montażu dla lepszej stabilizacji instrumentu. Na plebanii w Parzymiechach stworzył Metler obserwatorium astronomiczne. Jedno z pomieszczeń gospodarczych wykorzystał, jako schronienie dla teleskopu. Z pomieszczenia na plac obserwacyjny pociągnął precyzyjne torowisko, po którym dawało się wyprowadzić teleskop. U podstawy montażu teleskopu były umocowane cztery metalowe kółka do toczenia się po szynach.

Obserwacje astronomiczne w Parzymiechach odbywały się na dużym dziedzińcu plebańskim, osłoniętym ze wszystkich stron budynkami lub

drzewami, z rozległym obszarem widocznego nieba. Na dziedzińcu mogły się pomieścić nawet setki osób spragnionych obserwacji.

W pierwszym dniu drugiej wojny światowej hitlerowcy wtargnęli na plebanie i pojmali księdza astronoma czyniąc podobno zarzut, że używał teleskopu do celów szpiegowskich. Choć zarzut taki jest absurdalny, wobec ograniczenia możliwości obserwacji z dziedzińca tylko nieba, księdza zamordowano, a o teleskopie ślad zaginął. Zostało tylko torowisko. Jednakże, skoro taki zarzut wysunięto, jest bardzo prawdopodobne, że teleskop został zabrany przez Niemców. Autorowi nie wiadomo czy ktoś kiedykolwiek zwrócił się do Niemiec o zwrot tego teleskopu Metlera. A był to ówczesnie największy teleskop astronomiczny w Polsce.

Inny instrument astronomiczny Metlera znajduje się na plebanii w Parzymiechach do dziś (Fot. 3 i 4). Jest to duża luneta z celownicą. Nic nie wiadomo jak była montowana i czemu służyła po przywiezieniu do Polski. Wcześniej była najprawdopodobniej na wyposażeniu mini obserwatorium astronomicznego, zorganizowanego przez Metlera na dachu domu sióstr szarytek w Juvisy pod Paryżem. Luneta daje się wyraźnie skrócić na potrzeby jej transportu gdyż zastosowano mocno wysuwany wyciąg okularowy (Fot. 4a).



Fot.3. Autor z lunetą Metlera przechowywaną w Parzymiechach. (archiwa autora)

Uchwyt przymocowany w pobliżu środka ciężkości lunety wskazuje, że luneta pracowała na jakimś montażu. Aktualnie instrument jest zdezelowany, jednak jego renowacja jest możliwa i wielce pożądana. Po odrestaurowaniu luneta mogłaby jeszcze długo służyć obserwacjom nieba, zwłaszcza, że w Parzymiechach, wraz ze śmiercią Metlera umarła też astronomia. Smutno,

że jakoś nikt tam nie wierzy w możliwość jej wskrzeszenia. A przecież nie stoi na przeszkodzie aby, nawet na tym samym dziedzińcu z którego obserwował Metler, urządzić parafialne obserwatorium dla poszanowania pamięci wielkiego księdza astronoma i oświecenia współcześnie żyjących.



Fot.4. Luneta Metlera przechowywana w Parzymiechach:
a) od strony okularu, b) od strony obiektywu. (*archiwa autora*)

Zachowała się też luneta, której używał ks. Metler w Częstochowie, w założonym przez siebie w 1928 roku obserwatorium astronomicznym w parku im. Stanisława Staszica na Jasnej Górze. Luneta została подарowana Metlerowi przez majora Wincentego Antoniego Skrzywana (szefa służby sprawiedliwości w 33 Pułku Piechoty II Rzeczypospolitej - na liście katyńskiej, zamordowany w 1940 roku). Luneta, jako główny instrument obserwatorium częstochowskiego, była używana przez Metlera i innych obserwatorów do wybuchu wojny w 1939 roku. Na czas wojny została rozebrana i zabezpieczona. Po wojnie znowu służyła częstochowskim miłośnikom astronomii; do czasu, kiedy obserwatorium zostało wyposażone w nowoczesny teleskop. Potem przez wiele lat była wypożyczona do Potarzycy i w końcu, w 2009 roku, znów powróciła do Częstochowy. Tu, w murach Akademii im. Jana Długosza, została staraniem autora odnowiona i wyposażona w ciężki stalowy statyw.

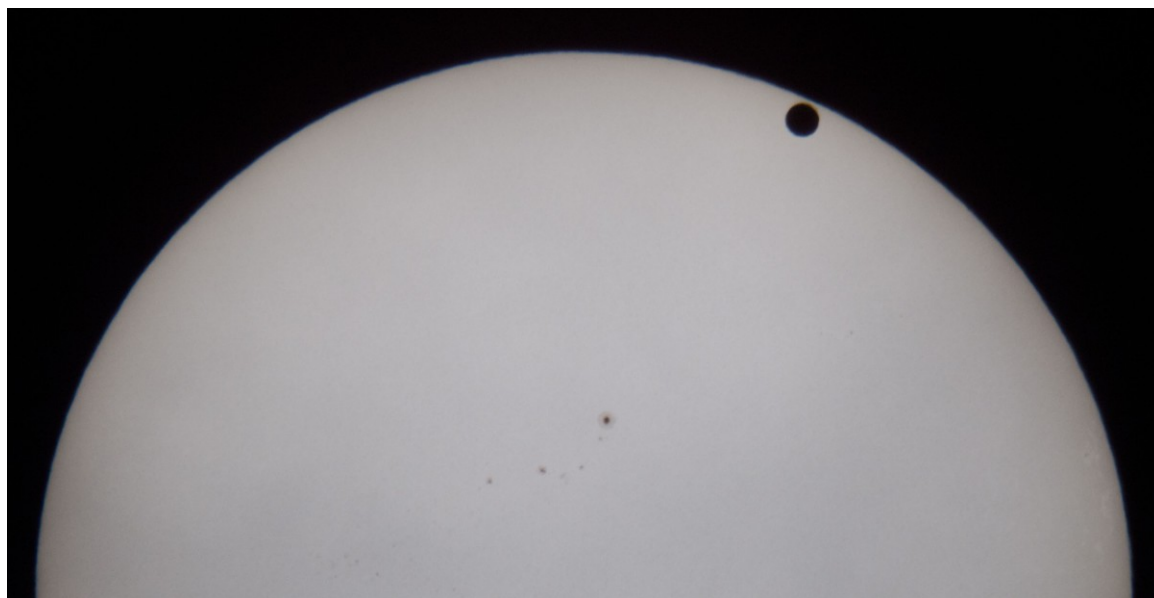
Luneta jest wyposażona w achromatyczny obiektyw firmy Zeiss o średnicy 110 mm. Ogniskowa obiektywu wynosi 203 cm. Wyciąg okularowy daje się wymieniać na wyciąg pozwalający przykręcić aparat fotograficzny. Mocowany do statywu ciężki mosiężny montaż paralaktyczny podtrzymuje lunetę i umożliwia jej drobne ruchy w kącie godzinnym z pomocą pokrętła. W obecnym kształcie daje się wystawiać dla przeprowadzenia obserwacji

wysiłkiem dwóch sprawnych osób, po wcześniejszym rozłożeniu na trzy części (tubus, statyw, montaż). W miejscu obserwacji trzeba te części na nowo połączyć w całość, co zajmuje około 20 minut.



Fot.5. Częstochowska luneta Metlera na tarasie obserwacyjnym przy Planetarium Instytutu Fizyki AJD w Częstochowie podczas obserwacji częściowego zaćmienia Słońca w dniu 20 marca 2015 roku. (*archiwa autora*)

Chociaż luneta ma około 100 lat, to przy ważniejszych okazjach jest używana, zarówno do obserwacji wizualnych jak i do fotografowania nieba. W dniu 6 czerwca 2012 roku została użyta do obserwacji tranzytu Wenus na tle tarczy Słońca. Tej obserwacji, najważniejszej za życia lunety, dokonano ze Złotej Góry w Częstochowie. Ostatnio użyto lunety Metlera podczas publicznego pokazu częściowego zaćmienia Słońca w dniu 20 marca 2015 roku. Wyniesiono ją na taras widokowy przy planetarium. Na co dzień luneta bezpiecznie zdobi gabinet autora, gdzie czasem zastępuje wieszak.



Fot.6. Wenus na tle tarczy Słońca, z widoczną grupą plam słonecznych, sfotografowana z użyciem lunety Metlera w dniu 6 czerwca 2012 roku ze Złotej Góry w Częstochowie.
(fot. P.Ficek i B.Wszolek)

Wspomnienia o Konradzie Rudnickim



Ks. prof. dr hab. Konrad Maria Paweł Rudnicki

2.07.1926 (Warszawa) - 12.11.2013 (Kraków)

**Astronom, wybitny intelektualista i człowiek głębokiej wiary.
Po mistrzowsku łączył wysiłki dla pogłębiania wiedzy o Wszechświecie
i dla wzrostu w sferze etycznej. Z zapałem i entuzjazmem pomagał
ludziom stawać się coraz lepszymi i coraz bardziej oświeconymi.**

(fot. B. Wszolek, w tle tarcza zegara astronomicznego Metlera)

Nic nie wzrusza nieba bardziej, jak śmierć astronoma!

Smuci się Księżyc, że go nie zobaczy na ścieżkach mknących gdzieś do teleskopów i smuci się Słońce, że go nie wzbudzi o świcie.

Przykro Marsowi, że nie kwitnie życiem i Wenus smutno, że go nie rozmarzy.

Łzy puści kometa, z którą jest po imieniu, a nawet Saturn, co w każdym swym pierścieniu, gromadzić dalej chciałby jego myśli złote.

Rozpływa się w żalu cała Droga Mleczna i łezkę roni zacna Andromeda.

Galaktyki Jagiellońskie, spowite w swe szaty pyłowe, swój głęboki smutek kumulują w sobie.

Wszechświat też cały, co sam może nie świadom jest granic swojego rozwoju, pewnie smuci się także, jeśli liczył na to, że nasz Konrad w nieskończoność go będzie badać i przybliżać światu.

I my wszyscy, też dzieci Wszechświata, smucimy się bardzo tym odejściem Brata.

Zaduma nad Wszechświatem, zwłaszcza jego ewolucją i ustawiczną dążnością do harmonii, zawsze pomagała człowiekowi w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: jak żyć? Wiele wskazuje na to, że dobre życie zasadza się z jednej strony na wysiłku dla pogłębienia wiedzy o otaczającym świecie, z drugiej na pracy dla wzrostu w sferze etycznej. Ludzie, którzy podejmują oba wysiłki jednocześnie należą do rzadkości, ale to oni mają największe szanse na szlachetne spełnienie się dla dobra świata.

Konrad Rudnicki jest wspaniałym przykładem człowieka pięknie urzeczywistniającego zrównoważony rozwój w obu tych istotnych obszarach. Niechby stale pozostawał żywy w umysłach ludzi podejmujących pracę nad sobą dla dobra ludzkości i ku chwale Bożej.

Na dalszych stronach, poświęconych pamięci Konrada Rudnickiego, zamieszczono kilka wspomnień o tym wyjątkowym człowieku.

(Bogdan Wszolek)

Nic nie wzrusza nieba bardziej, jak śmierć astronoma

Bogdan Wszolek^{1,2}

¹Instytut Fizyki, AJD w Częstochowie

²Obserwatorium Astronomiczne Królowej Jadwigi w Rzepienniku Biskupim
[Artykuł opublikowany w Częstochowskim Kalendarzu Astronomicznym 2014]

Tytułowe słowa wypowiedziane przez „ucznia” nad trumną „mistrza” oddają nastrój towarzyszący odejściu Konrada Rudnickiego, genialnego człowieka o ogromnej wiedzy i przeogromnej życzliwości.



Konrad Rudnicki wychował się w rodzinie o poglądach silnie lewicowych. Podczas wojny zgłosił się, jeszcze jako nieletni, do partyzantki. Walczył z Niemcami w oddziałach Gwardii Ludowej. Niezależnie w jego domu rodzinnym przechowywano Żydów. Schwytyany podczas jednej z bitew został skazany przez niemiecki sąd polowy na karę śmierci i tylko cudownym zbiegiem okoliczności uniknął egzekucji. Po wojnie podjął studia na Uniwersytecie Warszawskim i w 1949 roku ukończył je zdobywając tytuł magistra astronomii. Najmocniejszy wpływ na jego rozwój astronomiczny mieli Włodzimierz Zonn (w Warszawie) oraz Fritz Zwicky (w California Institute of Technology w Pasadenie). Jako młody astronom przeszedł transformację od ateizmu do wiary w Boga i stał się gorliwym chrześcijaninem. Zdobył odpowiednie wykształcenie teologiczne i został wyświęcony na księdza w ramach Staropolskiego Kościoła Mariawitów. Konrad Rudnicki był astronomem, teologiem oraz metodologiem i historykiem nauki. Studia odbył w Uniwersytecie Warszawskim oraz

w Mariawickim Seminarium Duchownym w Płocku. Pracował na Uniwersytecie Warszawskim, California Institute of Technology w Pasadenie, Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, Wyższej Szkole Środowiska w Bydgoszczy. Jako visiting professor prowadził badania w Mathematisch-Physykalisches Institut w Dornach oraz Rice University w Houston. Pełnił liczne funkcje duszpasterskie. Jest autorem lub współautorem ponad 130 publikacji w językach kongresowych, w tym wydanego w Rosji i Stanach Zjednoczonych podręcznika astronomii gwiazdowej i około 400 podręczników, książek, broszur i artykułów w języku polskim. Do jego osiągnięć w dziedzinie astronomii należy opublikowanie w roku 1972 najgłębszego w owym czasie przeglądu galaktyk w tzw. Polu Jagiellońskim. Jest odkrywcą komety nazwanej jego nazwiskiem. W dziedzinie teologii opracował pierwsze krytyczne wydanie objawień Marii Franciszki Kozłowskiej. W dziedzinie metodologii nauk jego naukowym testamentem jest monografia o zasadach kosmologicznych. Był członkiem wielu towarzystw naukowych, między innymi Międzynarodowej Unii Astronomicznej i Powszechnego Towarzystwa Antropozoficznego. Został wybrany członkiem Wolnej Europejskiej Akademii Nauk. Otrzymał wiele odznaczeń wojennych i cywilnych, między innymi honorowe obywatelstwo Izraela.



Konrad Rudnicki podczas sesji naukowej „Człowiek i Wszechświat” w towarzystwie Michała Hellera i autora. Sesję zorganizowano w Krakowie w dniu 15.10.2011 roku dla uhonorowania Konrada Rudnickiego w 85-lecie jego urodzin. [Materiały z sesji są opublikowane w książce „Człowiek i Wszechświat”, dostępnej w wersji elektronicznej na stronie www.astronomianova.org (publikacje)]

Każdy, kto miał przyjemność i zaszczyt współpracować z profesorem Rudnickim wspomina to z wielką wdzięcznością. Jako wybitny uczony i wspaniały wychowawca młodzieży był dla współpracowników mentorem, mistrzem, doradcą i przyjacielem. Był dużo więcej niż zasłużonym astronomem. Otworzył nowe dziedziny badań, ma ogromny dorobek, na trwale zapisał się w światową naukę i pozostawił po sobie szkołę uczniów. Jest ojcem tego wszystkiego, co dziś wielkie w polskiej astronomii. Zostawił podręcznik tłumaczony na kilka języków, na podstawie którego, wykłada się na wielu uczelniach świata. W Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie pracował przez większość swego aktywnego życia, zainicjował badania galaktyk i ośrodka międzygalaktycznego. Tematyka ta podniosła prestiż ośrodka i dała mu wysoką międzynarodową pozycję. Dwie ostatnie książki Konrada Rudnickiego: „Zasady kosmologiczne” (2002) oraz „Człowiek i Środowisko” (2008), mają wartość ponadczasową, której pełne odkrycie i zagospodarowanie ma dopiero nastąpić.



Konrad Rudnicki był równocześnie wysokiego formatu naukowcem i wspaniałym popularyzatorem astronomii. Równie często głosił referaty na poważnych konferencjach naukowych, jak na spotkaniach dla miłośników astronomii i podczas różnego rodzaju występów publicznych. Był członkiem wielu naukowych towarzystw astronomicznych, ale także stowarzyszeń skupiających amatorów zainteresowanych astronomią. Swoje dzieła i artykuły w równej mierze adresował do uczonych, co do studentów, uczniów i miłośników astronomii. W obszarze działań edukacyjnych warto

wymienić chociażby: budowę w okresie młodości (podczas II wojny) amatorskiego obserwatorium astronomicznego w Dobrej Wodzie pod Sulejówkiem, redakcję Uranii, działalność w ramach Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii, autorstwo wielu wydań podręcznika astronomii dla klas maturalnych, autorstwo niezliczonych artykułów popularyzujących astronomię na łamach wielu czasopism popularno naukowych, udział w jury na wielu olimpiadach i konkursach astronomicznych dla młodzieży.

Na niebie zostawił kometę „Rudnicki”. Na ziemi, w Jerozolimie, rosnące drzewo Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. U swoich synów serdeczną pamięć i naśladowanie ojca. Wśród uczniów i naukowych dzieci pozostaje niedoścignionym wzorem do naśladowania, jeśli idzie o sposoby dociekania prawd, umiejętności ich obrony oraz dzielenia się nimi. Pokolenia następców będą czerpać ze skarbnicy jego wiedzy, spisanej w licznych książkach i czasopismach. Każdy, kto miał okazję go poznać, nie tylko ma z tego satysfakcję i dobre wspomnienia, ale czuje jakąś jego szlachetną część w sobie.



Konrad Rudnicki został pochowany w dniu 19 listopada na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie (kwatera LXV, rząd 8, grób 37).

(Zamieszczone zdjęcia pochodzą z archiwum autora)

Someone you have met only half a dozen times ...

Virginia Trimble^{1,2}

¹Professor of Physics & Astronomy, University of California, Irvine, U.S.A.

²Advisor, Las Cumbres Observatory Global Telescope Network

[Artykuł opublikowany też w Częstochowskim Kalendarzu Astronomicznym 2015]

How can it be that someone whom you have met half a dozen times in your entire life feels like a good friend? With Konrad Rudnicki this was possible! We first encountered in the winter of 1966-67, sharing observing nights on the 48" Schmidt telescope on Palomar Mountain. He was following light curves of supernovae, mostly ones discovered by Fritz Zwicky. And I was attempting to get images of the Crab Nebula (which is on the meridian at midnight on 10 December, but then soon starts slipping into the morning twilight) through interference filters that picked out specific emission lines for a study of ionization and excitation in the thermal gas, as part of my PhD thesis.

Both sets of data were eventually published, but I suspect his came closer to fulfilling their intended purpose than mine. "A little night music" had always been the custom at Palomar. Usually this was a classical radio station chosen by the night assistant and occasionally soporific. But Konrad sang music of the old Polish (Mariavite) church, of which he was a priest, to keep awake. I have followed his example ever since. Not that I know any Polish church music, but singing is an excellent way to keep awake on long, solitary drives. The noise helps, but one is also forced to breathe deeply.

Rudnicki was my host when I briefly visited Kraków in the fall of 1969, and we touched bases very rarely at conferences over the years. But we always exchanged year-end holiday cards, and he sometimes pointed out ways that the Polish tradition of the nativity, as illustrated on such cards, differs from the Western European one. The detail of my being Jewish never interfered with this custom. Indeed he was officially, and very properly, enshrined as one of the righteous gentiles at Yad Vashem in Israel, for his and his mother's sheltering of a Jewish family during World War II. I learned from him at every encounter, whether live or on paper. Yes, of late years there were a few emails; but it was not really his style, nor mine.

I had the privilege of being part of the October15 (2011) conference marking Rudnicki's 85th birthday, where some copies of his early publications were available. I instantly snatched one of the supernova paper that included his data from the Palomar nights we shared, and he kindly autographed it for me. My copy of the proceedings of that meeting is also autographed, "February 19, 2013, Konrad," beginning with an enormously

elongated K. I was definitely planning to come back for a 90th birthday celebration in 2016, but it was not to be.

We shall not see his like again, and I will remember him every time I start singing on the drive to places like Palomar.

Dziękuję bardzo, Konrad!

Virginia Trimble



Virginia Trimble i Konrad Rudnicki podczas sesji „Człowiek i Wszechświat”,
w 85-tą rocznicę urodzin Konrada Rudnickiego (15.X.2011, Kraków).
(Źródło: archiwa Astronomii Nowej)

Konrad Rudnicki– kilka wspomnień

Krzysztof Maślanka

Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa-Kraków

[Artykuł opublikowany też w Częstochowskim Kalendarzu Astronomicznym 2014]

Przed ponad dwoma laty, na prośbę dr. Bogdana Wszółka, wieloletniego współpracownika i przyjaciela Konrada Rudnickiego, napisałem krótki artykuł dedykowany Profesorowi „z okazji urodzin, wraz z życzeniami wielu dalszych lat owocnej aktywności”. Niniejszy tekst jest rozbudowaną wersją tamtego.

*

Wiedzieliśmy, że jesienią 2007 roku (11 listopada) Konrad doznał rozległego zawału serca. Wkrótce jednak wrócił do swych licznych obowiązków. Metodyczny i pracowity nie uważał wcale, że słabnące siły są dostatecznym powodem, by chociaż trochę zredukować częste wyjazdy, spotkania, wykłady. (Ostatni swój wykład wygłosił niespełna tydzień przed śmiercią.) Spotykałem go też regularnie na posiedzeniach Rady Naukowej Instytutu Historii Nauki PAN w Warszawie w Pałacu Staszica. Do sali obrad przychodził zawsze jako pierwszy. Referował sprawy m. in. przewodów doktorskich, komentował trafnie rozmaite problemy. Przygotował też referat na doroczną konferencję „Filozofia kosmologii. Wokół myśli Michała Hellera”, który zamierzał wygłosić 6 grudnia 2013 r. Tytuł tego referatu brzmiał: Istota kosmologii w zaskakującym ujęciu książki Michała Hellera „Filozofia kosmologii”. Zamiast tego referatu planowane jest krótkie wspomnienie, które przygotował uczeń i pierwszy doktorant Konrada, prof. Piotr Flin.

*

Każde odejście bliskiego, a tym bardziej niepospolitego człowieka, wywołuje nową falę wspomnień. Przytoczę tu kilka epizodów. Po raz ostatni widziałem Konrada w Collegium Novum w piątek, 20 września 2013 r., przed rozpoczęciem konferencji na temat historii matematyki. Powiedział mi wtedy, że dokonał jakiegoś matematycznego spostrzeżenia, które chciałby ze mną skonsultować podczas osobnego spotkania. (Użył chyba słowa „odkrycie”, ale nie powiedział nic więcej.) Zgodziłem się oczywiście, zastrzegając jedynie, że mogę się okazać niekompetentny. Do tego spotkania nigdy już nie doszło. Nie wiem i nigdy nie dowiem się, czego to odkrycie mogło dotyczyć. Z kolei dwa lata wcześniej, było to chyba w Święto Niepodległości 11 listopada 2011 r., spotkałem Konrada z żoną Teresą na ulicy Sławkowskiej w Krakowie. Miał wtedy trochę problemów z chodzeniem, więc żeby oszczędzać siły, używał czasami fotela na kółkach. Tak było i tym razem. Odprowadziłem ich do domu przy ul. Św. Sebastiana. Po drodze Konrad powiedział: „Wybrali mnie

ostatnio do Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN. Kadencja trwa tam 3 lata. Więc muszę żyć jeszcze co najmniej 3 lata”. Ale los nie pozwolił zrealizować tego planu i podarował Mu jedynie dwa lata i jeden dzień.

*

Każdy z nas spotyka w ciągu życia tysiące ludzi. Większość z nich pojawia się na krótko i szybko odchodzi do swych spraw. W pamięci tli się jeszcze ślad po nich, ale z czasem i on zanika. Jednak spotkanie kogoś niebanalnego, mimo względnie rzadkich potem kontaktów, pozostawia trwałe ślady. Wiemy z pewnością, że bylibyśmy inni nie spotkawszy tego kogoś. Wydaje mi się, że jest jeszcze inny aspekt natrafienia w życiu na szczególnie niebanalnego człowieka. Pamiętamy wtedy dokładnie moment pierwszego z nim spotkania oraz kilku kolejnych. Tak właśnie było z Konradem Rudnickim.

Gdzieś wiosną 1972 roku poszedłem na wieczorną prelekcję w krakowskiej siedzibie Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii. Odbывały się one w poniedziałki przy ulicy Solskiego 30 o dziewiętnastej. Ten nieistniejący już dzisiaj lokal miał swoją niepowtarzalną atmosferę. Dla mnie było to wejście w dorosłe życie, w krąg ludzi, którym wiele zawdzięczam. Konrad Rudnicki, wtedy docent krakowskiego Obserwatorium Astronomicznego, mówił o jakiejś niedawnej paryskiej konferencji (dokładniej: kolokwium) poświęconej rozmieszczeniu gromad galaktyk. Byłem wtedy w drugiej klasie liceum, nie rozumiałem wielu szczegółów, zapamiętałem głównie kolorowe transparencje, ale mimo to poczułem, że stoję u progu prawdziwej nauki. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że słucham inicjatora programu głębokiego przeglądu galaktyk znanego w świecie jako Pole Jagiellońskie, odkrywcy komety C/1966 T1, współpracownika Włodzimierza Zonna i ucznia sławnego Fritza Zwicky’ego, syna lewicowego pisarza Lucjana Rudnickiego (którego powieść *Stare i nowe* była wcześniej moją lekturą szkolną), teologa, człowieka, który w czasie wojny, wraz z matką, ratował Żydów, a także partyzanta Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. (Miał wówczas zaledwie 16 lat.) Do końca lojalnie považał swego dowódcę z tamtych czasów, Mieczysława Moczara, pomimo generalnie niechlubnej roli, jaką ten odegrał w powojennej Polsce, zwanej Ludową, a zwłaszcza w czasie wydarzeń z roku 1968. Zapytany, czy może jest z Moczarem „na ty”, odpowiedział: – Nie, my jesteśmy „na wy”.

Mając taką przeszłość i takie koneksje, mógł, jak wielu innych, zacząć robić po wojnie łatwą i skuteczną karierę. Tymczasem wybrał astronomię, a po kilkunastu latach został duchownym zgromadzenia Mariawitów.

Drugie spotkanie jest w mojej pamięci równie wyraźne. Było to 4-go kwietnia 1974 roku, finał XVII tej Olimpiady Astronomicznej w chorzowskim Planetarium. Organizatorzy zaprosili Konrada, który wygłosił wtedy dla uczestników olimpiady krótką prelekcję. Zapamiętałem

jedną tezę, którą z naciskiem przedstawił: „Zawodowy astronom powinien umieć i lubić skutecznie liczyć”. Było to trafne, niezbędne uzupełnienie nieznanego mi wtedy jeszcze powiedzenia Tadeusza Banachiewicza: *Observe ergo sum*. Dla mnie natomiast – o czym wtedy jeszcze nie mogłem wiedzieć – były to słowa prorocze, jako że z czasem przeszedłem od astronomii i kosmologii do teorii liczb.

Potem, w zabytkowym budynku starego Obserwatorium przy ul. Kopernika 27, słuchałem Jego wykładów z astronomii ogólnej i sferycznej na pierwszym roku studiów (1974/75) – wykładu, który wszyscy doceniliśmy szczególnie wtedy, gdy, wskutek planowego wyjazdu wykładowcy, zorganizowano zastępstwo. Wtedy dopiero, przez wyraźny kontrast, zobaczyliśmy rzetelność Jego wykładów

Z mniej poważnych epizodów pamiętam kilka. Chyba na drugim roku studiów mieliśmy praktyczne ćwiczenia z astronomii sferycznej w chorzowskim Planetarium. Koledzy z mojego roku pojechali wcześniejszym pociągami, ja i Konrad (dla mnie wtedy jeszcze: docent Rudnicki) dojechaliśmy później. Okazało się, że zamówiony pokaz w Planetarium ma być już za parę minut, a my jesteśmy dopiero na stacji kolejowej. Konrad powiedział do mnie wtedy, gdy szybko maszerowaliśmy przez pusty chorzowski park: „Wie pan, gdybyśmy się teraz puścili biegiem, to byśmy zdążyli na czas!” Było to niewątpliwie logiczne. Poczułem się dowartościowany tym oświadczeniem, choć w duchu życzyłem sobie, żeby jednak nie doszło do gonitwy docenta i studenta.

Pamiętam też jakąś nieformalną naukową dyskusję w małym gronie w kuchni Obserwatorium przy ul. Orlej 171 na Bielanach, na początku lat osiemdziesiątych. Konrad, wtedy już profesor, uczestniczył w niej aktywnie, ale jednocześnie pracowicie oddzielał kawałek żółtego sera (towar wówczas rzadki i luksusowy) od oblepiającego go czerwonego wosku. Potem nieoczekiwanie zapytał, czy ktoś ma przy sobie kawałek sznurka. Podano mu jakąś nitkę, którą zgrabnie owinął tym woskiem robiąc małą świeczkę. Z powagą zapalił ją i z figlarnym uśmiechem zapytał (a dzień był słoneczny): – Czy nie uważacie, że dyskusja przy świecy jest bardziej nastrojowa? Zniewalająco logiczna uwaga...

Bibliotekę Obserwatorium prowadził wtedy ceniony tłumacz książek, Marek Krośniak. Dla ewidencji wyłożył w czytelnicy wielki zeszyt wraz z prośbą o podpisy odwiedzających, „z których zwolnieni są tylko niepiśmienni”. Ludzie wpisywali się lub nie, ale Konrad nigdy nie zaniedbał tego. Co ciekawe, każdy Jego podpis był uczyniony innym charakterem pisma, jakby podpisywały się różne osoby. Któregoś dnia podpisał się przekornie jako „Kąrad”.

Był jednocześnie bardzo życzliwy, ale też bezkompromisowy. Z końcem lat osiemdziesiątych, już jako asystent, oprowadzałem wycieczkę szkolną po terenie Obserwatorium. Był pogodny wieczór. W kopule teleskopu

Maksutowa spotkałem Konrada – wtedy dyrektora Instytutu. Zaaferowany tłumaczyłem szczegóły montażu teleskopu, pokazywałem też zwiedzającym Księżyc. W pewnej chwili Konrad odwołał mnie na bok i dyskretnie szepnął do ucha: „Nie chcę panu psuć opinii przy obcych, ale teleskop należy poruszać trzymając za uchwyty, a nie za tubus”. Jako (wtedy jeszcze) kosmolog teoretyk oraz początkujący matematyk z pokorą przyjąłem tę słuszną uwagę wytrawnego obserwatora.

Zdumiewająca była Jego uczciwość. Kiedy w latach 1979–1980 odbywałem staż w Obserwatorium Konrad zaproponował mi pracę przy organizowaniu wyjazdów studentów na krótką praktykę na Zachodzie – rzecz wówczas dla młodych ludzi atrakcyjna i nieoczekiwana. Zgodziłem się i podpisałem stosowną umowę na jakąś niewielką kwotę. Pracy przy tym nie było dużo, co więcej, kiedy wszystko było gotowe, wówczas, z jakichś niezależnych powodów okazało się, że wyjazdy studentów anulowano „na wyższym szczeblu”. Zapomniałem o tej sprawie. Mimo wszystko Konrad osobiście przyszedł do mnie i wręczył mi kwotę z umowy. Zaprotestowałem, że przecież nic z tego nie wyszło. – Nie szkodzi, zawarliśmy pisemną umowę i muszę się z niej wywiązać.

Pamiętam też rozmowę sprzed trzech lat w Warszawie, w małej klitce Pałacu Staszica użytkowanej przez kilkanaście osób oraz dwie albo trzy redakcje wydawanych przez mój Instytut periodyków. Do rozpoczęcia obrad Rady Naukowej IHN PAN było jeszcze sporo czasu. Prócz żony Konrada, Teresy, była tam jeszcze, zmarła przedwcześnie, dr hab. Grażyna Rosińska (1937 – 2013). Konrad wspominał jeden ze swych pobytów w Ameryce w latach sześćdziesiątych. Otóż, w rozmowie z miejscowymi naukowcami, podczas posiłku, Konrad poprosił, by mu podano czajnik. Zapomniał jednak angielskiego słowa kettle i odruchowo powiedział po polsku: „czajnik”. Zdziwieni amerykańscy koledzy zapytali wtedy, czy nie ma on jakichś koneksji żydowskich. – Dlaczego? – zdziwił się. – Przecież ty mówisz w jidysz. Użyłeś wyraźnie słowa z tego języka: „czajnik”.

Epizod, który wspominam najcieplej wiąże się z aperiodycznym zjawiskiem naukowo satyrycznym znanym jako „Acta Brutusica”, trwającym spontanicznie w latach 1992 – 96. Krajowi astronomowie wiedzą, co to takiego; pozostałym nie będę tłumaczył, gdyż trwałoby to zbyt długo. „Acta” czytali wszyscy: studenci, portierzy, pracownicy naukowcy; widziano je nawet na biurku ówczesnego rektora UJ, śp. prof. Andrzeja Pelczara (1937 – 2010). Otóż po wydaniu pierwszego numeru naszego pisma Konrad przyniósł nam kilka swoich świetnych, dowcipnych tekstów literackich sprzed lat (wierszem i prozą, poniżej przytaczam jeden z wierszy). Z Jego inicjatywy kilku krakowskich astronomów wzięło udział w konkursie na wesołe, miniaturowe wiersze Jego pomysłu, które nazwał „wierszami znikowymi”. Te nietypowe dawki humoru wśród poważnej naukowej rzeczywistości cenili wszyscy.

Jedna sprawa pozostaje dla mnie tajemnicza. Otóż, w mrocznych dniach stanu wojennego, kiedy sowiecka kuratela wydawała się niewzruszona, Konrad kilkakrotnie powtarzał z przekonaniem: „Nie martwcie się. W roku 1989 Polska będzie wolna”. Nie traktowano tego poważnie; zresztą dla realistycznie myślących było to stwierdzenie zbyt abstrakcyjne. Nigdy nie zapytałem Go, skąd może to wiedzieć. Niepojęta przenikliwość? Prorocza wizja? Przypadek?

*

Dwa fragmenty jednego z wierszy Konrada Rudnickiego (ok. 1970 r.)

[...]

Jak wygrzebiemy się kiedyś z nędzy,
Jak żona da mi dużo pieniędzy,
Tak sobie marzę, co wtedy zrobię:
Pójdę i znaczków nakupię sobie,
Kopert, papieru – aby w ten sposób
Napisać listy do różnych osób:

[...]

Potem zakleję je uroczyście,
Przylepię znaczek na każdym liście,
Spać już nie idąc, o rannym brzasku
Do Bielańskiego pojedę Lasku.
Tam spacerując wśród leśnych alej
Będę rozmyślał, co zrobić dalej.
I rozważywszy różne pomysły
Powrzucał wszystkie listy do Wisły.
I będę patrzył z stromego wału
Jak moje listy toną pomału:
Jeden i drugi, trzeci, dwunasty
I siedemnasty, i dziewiętnasty.
Wreszcie utoną ostatnie dwa.
Aha...

(Rozważania, gdy ze skupioną miną słuchałem na posiedzeniu naukowym referatu o nowych metodach astronomicznych w geodezji – K.R.)



Konrad Rudnicki przy teleskopie „Maksutowa” w Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. (z prywatnej kolekcji autora)

U boku Mistrza

Bogdan Wszolek^{1,2}

¹Instytut Fizyki, AJD w Częstochowie

²Obserwatorium Astronomiczne Królowej Jadwigi w Rzepienniku Biskupim
[Tekst opublikowany też w Częstochowskim Kalendarzu Astronomicznym 2015]

Żadne słowa nie wyrażą wdzięczności za to wszystko dobro, jakiego doznałem ze strony przyjaciela i naukowego ojca, jakim był dla mnie Konrad Rudnicki. Przyjaźń i wzajemna sympatia pomiędzy Mistrzem i uczniem, budowane przez 35 lat wspólnej przygody z astronomią, zapisane są pewnie ręką Bożą gdzieś wśród gwiazd. Tych gwiazd, które tak cudownie można podziwiać z rodzinnego mi podkarpackiego Rzepiennika i za sprawą których, w połączeniu z licealnym podręcznikiem astronomii Rudnickiego, postanowiłem w młodości kroczyć przez życie u boku Uranii.



Konrad Rudnicki z autorem w częstochowskim planetarium.

Miałem to szczęście wyjątkowe być postrzeżonym przez Mistrza wcześniej, bo już jako student pierwszego roku astronomii. Może wyczuwał jakoś moją wyjątkową do Niego sympatię? Reprezentował sobą wszystko, co uważałem za najcenniejsze w człowieku: odpowiedzialność, obowiązkowość, dyscyplina, pracowitość, wysoka kultura bycia, optymizm i dobroć połączona z ogólną radością życia. Imponował mi swoją szeroką wiedzą w dziedzinie astronomii, wybitnym talentem dydaktycznym oraz niespotykanym taktem w kontaktach międzyludzkich. Kiedy przyszło do finalizacji studiów, wybór promotora był oczywisty.

Dostałem katalog galaktyk i miałem go przebadąć pod kątem występowania ekstynkcji międzygalaktycznej. Jakaż to była przygoda! Ile owocnych kontaktów, ileż pobocznych sympatycznych zdarzeń! Samo pisanie pracy na profesorskiej maszynie graniczyło z przestępstwem w *stanie wojennym*. Pamiętam jak Promotor proponował mi nowe skarpetki elastyczne, które dostał podczas Rady Wydziału. Magisterium poszło gładko. Po egzaminie Profesor zaproponował byśmy przeszli „na ty” oraz asystenturę. Z pierwszej propozycji skorzystałem od razu, a z drugiej dopiero po trzech latach.

Błyskawicznie rozegrała się rzecz mojego doktoratu. Konrad, jako specjalista od pyłów międzygalaktycznych i współodkrywcą jednego z obłoków takiego pyłu, zdobył od Włochów obserwacje w zakresie podczerwonym dla wybranych fragmentów nieba, uzyskane przez IRAS (ang. Infrared Astronomical Satellite). Poprosił mnie o sprawdzenie czy któryś z czterech proponowanych pyłowych obłoków międzygalaktycznych nie wykazuje emisji w dalekiej podczerwieni. Kiedy po kilku tygodniach przedstawiłem pozytywny wynik analizy w przypadku jednego z obłoków, usłyszałem: „to masz Bogdanie doktorat!”. Konrad bardzo cieszył się tym odkryciem. Umiał się cieszyć i manifestować radość. Posypały się publikacje, otwały kontakty zagraniczne, rozpoczęła się w Polsce astronomia podczerwieni.

Konrad zaprosił mnie kiedyś do udziału w pracach krakowskiej grupy antropozoficznej, której był organizatorem. Spotkania odbywały się u Niego w mieszkaniu i miały z początku charakter konspiracyjny. Studium „wiedzy tajemnej” odbywało się regularnie (co tydzień) przez wiele lat i było prowadzone z największą starannością. Konrad był osobą najbardziej kompetentną w Polsce do tego rodzaju działań. Jako badacz wiedzy duchowej stał się dla mnie szybko autorytetem, nie mniejszym niż w zakresie astronomii. Wiedzę duchową traktował, jako naukę leżącą u podstaw każdej religii. Ekumenizm, którego był bardzo czynnym i autentycznym zwolennikiem, wynikał z ogromnej wiedzy duchowej i religijnej, nie zaś z pobudek osobistych czy politycznych.

Nieopisaną radość sprawił mi Konrad biorąc mnie z sobą do Izraela. W Tel Aviwie mieliśmy przeprowadzić analizy danych i napisać pracę do

Monthly Notices. Rzecz dotyczyła natury obłoku pierścieniowego wokół M87. Wykonaliśmy zadanie w cztery dni. W wydłużony weekend udaliśmy się w turystykę po „Ziemi Świętej”. Konrad okazał się wspaniałym przewodnikiem. Jedną dobę spędziliśmy w typowym kibucu, gdzie doświadczyłem, czym jest prawdziwy komunizm. Odwiedziliśmy obserwatorium astronomiczne na pustyni Negev, gdzie otarliśmy się o niebezpieczeństwo. Podczas spaceru po pustyni usłyszałem nagle bardzo dziwny świst. Konrad znajdował się w odległości około 30 metrów ode mnie. Zapytałem Go, czy coś słyszał. Stwierdził, że słyszał jakby odległy wystrzał z karabinu. Jak Mu powiedziałem co ja słyszałem, zakomenderował stanowczo odwrót w stronę obserwatorium. Powiedział, że świst kuli słychać tylko wtedy, gdy ta przelatuje blisko ucha. Doświadczył tego jeszcze, jako partyzant. Nadto poinformował, że w Izraelu, zwłaszcza na odludziach, strzela się do obcych ot tak, „dla sportu”. Potem pojechaliśmy do Jerozolimy. Mieszkaliśmy u żydówki, którą przechowywano w domu Rudnickich podczas okupacji. Miła staruszka zrobiła nam pyszne naleśniki z serem, podobne do tych, jakie sama kiedyś jadła w Polsce. Z Jad Waszem pamiętam dobrze drzewko „Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata”, z podpisem „Konrad Rudnicki”.



Konrad Rudnicki w swoim domu podczas zabaw kombatanczych.

W oficjalnych kontaktach Konrad był bardzo zasadniczy. W domu trzymały się Go jednak najrozmaitsze inteligentne żarty. Na przykład, na prośbę swojego syna, wyciągał z szafy mundur partyzancki, ubierał się w niego i snuł wojenne opowieści. Choć swój wygląd uważał za zabawny, to opowieści były poważne. Wspominał, że kiedy miał 16 lat i chciał iść do partyzantki sąsiedzi mówili Jego mamie, że szkoda chłopaka. Jest zdolny i żał byłoby, gdyby zginął. Mama miała odpowiedzieć, że dla każdej matki śmierć syna jest równie bolesna i nie zamierza powstrzymywać swojego. Innym razem opowiadał szczegółowo o bitwach, o pojmaniu przez Niemców, o skazaniu na śmierć i wyczekiwaniu na egzekucję, w końcu o cudownym ocaleniu. Takie opowieści koniecznie trzeba było nagrodzić dobrymi słodczymi, bo Konrad zawsze był łasuchem.



Podczas sesji jubileuszowej „Człowiek i Wszechświat”, w 85-tą rocznicę urodzin Konrada Rudnickiego (2011, Kraków). Od lewej: Konrad Rudnicki, Bogdan Wszolek, Jan Mietelski i Bożena Czerna.

(Zamieszczone w artykule fotografie pochodzą z archiwum autora)

Między nauką, wiarą i religią



Henryk Brancewicz i Maria Płomińska (*fot. A. Leśniczek*)

Helena Kazimierczak - Połowska – nauka i wiara z grozą w tle

Jadwiga Biała

Olsztyńskie Planetarium i Obserwatorium Astronomiczne

*Ci, którzy są rozumni, będą jaśnieć, jak blask firmamentu.
Ci zaś, którzy przywiedli wielu do sprawiedliwości, będą jak gwiazdy na
wieki, na zawsze. Ks. Daniela 12,3*

Ten fragment z Księgi Daniela wybrała, jako motto swojej książki „O dziejstwie błagodatii Bożej w sovremiennom mirie” (O działaniu Łaski Bożej we współczesnym świecie), astronom Helena Kazimierczak – Połowska. W okresie międzywojennym w odrodzonej Polsce studiowała na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, pracowała w obserwatoriach astronomicznych we Lwowie i w Warszawie i uzyskała doktorat na Uniwersytecie Warszawskim. W 1945 roku wyjechała do ZSRR, z zamiarem prowadzenia prawosławnej działalności misyjnej w tym kraju wojującego ateizmu i z nadzieją na równoczesne kontynuowanie pracy w dziedzinie astronomii.

Umiała mężnie prowadzić życie zgodne z ideałami Ewangelii, harmonijnie łącząc oddanie nauce z wiarą w Boga żywego. Nawet w normalnych warunkach nie jest to zadanie proste, lecz w ZSRR, państwie programowego ateizmu i walki z każdym przejawem religijności, była to postawa heroiczna.

Helena Kazimierczak – Połowska urodziła się 21 listopada 1902 roku w miejscowości Sielec na Wołyniu - wtedy rosyjskim. Współcześnie miejscowość ta leży tuż za naszą wschodnią granicą na terenie Ukrainy. Odległość z Sielca do polskiego Hrubieszowa wynosi około 40 km. Jej rodzice byli rosyjskimi ziemianami od wielu pokoleń. Ojciec Jan Michajłowicz ukończył prawo na uniwersytecie w Petersburgu, zaś matka Eugenia Nikołajewna Żitinskaja była absolwentką szkoły dla dobrze urodzonych panien w Moskwie. Również dziadkowie byli ludźmi wykształconymi. Dziadek ze strony ojca był lekarzem, zaś ze strony matki wojskowym w randze pułkownika. Helena miała rodzeństwo – starszą siostrę Wierę i młodszego brata Eugeniusza.

W domu Połowskich rozwijano w dzieciach umiłowanie nauk przyrodniczych, dbano o naukę języków obcych (angielski, francuski, niemiecki) i naukę gry na różnych instrumentach muzycznych. Był w nim bogaty księgozbiór, z którego dzieci korzystały.

Rodzina Połowskich nie była religijna w stopniu jaki osiągnęła Helena, choć też nie ateistyczna, jak wynika z jej zapisków autobiograficznych....(8/21 listopada 1902 roku) w dniu moich urodzin (w Sielcu) moją matkę i mnie błogosławili biskup włodzimierski, który

podarował mi ikonę (na porcelanie w srebrnej oprawie) męczennicy Katarzyny i matka przeorysza klasztoru znamieńskiego...

Rodzice Heleny byli właścicielami ziemskimi o dużej wrażliwości społecznej przejawiającej się między innymi pomocą utalentowanym wiejskim dzieciom w zdobywaniu wykształcenia. Za własne pieniądze zbudowali szkołę. Dwójce dzieci z talentem śpiewaczym umożliwili kształcenie muzyczne, co w przypadku dziewczynki zostało ukoronowane występami w słynnej mediolańskiej La Scali.

W roku 1904 rodzina Połońskich przeniosła się do Warszawy znajdującej się wówczas w zaborze rosyjskim i mieszkała w niej do wybuchu pierwszej wojny światowej. Potem Rosjanie zostali wyparci z Warszawy przez Niemców, a dla Połońskich nastąpiły lata wojennej tułaczki w Piotrogradzie i Nowogrodzie Siewierskim.

Helena Połomska była dzieckiem wrażliwym i uduchowionym. Po latach tak wspomina swoje przeżycia religijne jako siedmiolatki. *...1909 r. Warszawa. Pali się lampka przed ikoną Matki Boskiej Iwierskiej... Fale łaski Bożej dotykają duszy, usuwają sen, pobudzają by wstać i modlić się – z radości i rozrzewnienia...Wiele takich niezapomnianych nocy...*

Po pierwszej wojnie światowej i rewolucji w Rosji, w 1918 roku nowa władza sowiecka wysłała Połońskich do Łucka na Wołyniu. Tam Helena skończyła najpierw ze złotym medalem gimnazjum ukraińskie, a potem jako ekstern gimnazjum rosyjskie.

Jako nastolatka zastanawiała się nad sensem i celem życia....*W trzynastym roku życia zaczęły się poszukiwania Żywej Wszechogarniającej prawdy, której koniecznie należy poświęcić życie. W odpowiedzi na te żarliwe poszukiwania dzięki wielkiej łasce Bożej w 16 roku życia nastąpiło niewysłowione spotkanie duszy z Żywym Bogiem w osobistym mistycznym przeżyciu, w którym z wstrząsającą siłą oczywistości Helenie było ukazane jej osobiste powołanie: "monastycyzm w świecie"...*

Poszukiwania Boga Żywego zaprowadziły ją najpierw do kościoła katolickiego, a dopiero później do cerkwi. *...Spotkałyśmy z Diuną (przyjaciółką Heleny Diuna Boncz – Bogdanowska po mężu Liubimowa) wspaniałego księdza katolickiego o wielkiej czystości moralnej i poświęceniu. Jego głoszenie kazań, spotkania, pełne przekonania, jego ofiarna służba parafianom i rezultaty do których to prowadziło, ukazały nam skuteczność chrześcijaństwa, jego żywotność. Jednocześnie było to poznanie katolickich nabożeństw. Lecz obrządek wydawał mi się wtedy nie tylko nie potrzebnym, lecz jakoś zubożającym, pomniejszającym wiarę, wnoszącym do niej prymitywizm. Zaczęłam żarliwie dążyć do poznania Boga Żywego, Tego, Którego już pojmowałam rozumem jako wyższy Ideał, lecz sercem nie pojęłam Jego jako realnie istniejącego, jako Osobę.... Modliłam się tak żarliwie jak nigdy. I oto ... nastąpiło Osobiste spotkanie ... i nie jedno, które dały odpowiedź na wszystkie pytania, lecz zupełnie inaczej, niż odpowiada*

nauka i wszelka ludzka mądrość...I te „spotkania” określiły całe dalsze życie, ukierunkowanie, zainteresowania, stosunek do ludzi, sposób życia, wszystko...

Życie według zasad ewangelicznych wydawało się jej czymś najważniejszym. *...Wtedy żyłam Ewangelią w pełnym tego słowa znaczeniu: pracowałam w sądzie okręgowym, wieczorami chodziłam do szpitala do obcych dzieci – sierot, obsługiwałam aresztantów z więzienia (stawiałam im bańki, przynosiłam jedzenie...), i była nieustająca błogość...*

W 1920 roku w wyniku wojny polsko-sowieckiej Wołyń znalazł się w granicach odrodzonej Polski i tak rodzina Połońskich wraz ze swym majątkiem w Sielcu znalazła się w Polsce. Helena Połowska chciała się dalej kształcić. Musiała zdać wymagane egzaminy z języka polskiego i polskiej historii, aby uzyskać świadectwo dojrzałości upoważniające do podjęcia studiów na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W roku 1921 została wolnym słuchaczem, a rok później studentką wydziału matematyczno-fizycznego. Studia musiała przerwać, aby ratować przed licytacją zadłużony rodzinny majątek w Sielcu. Dzięki jej rozsądnemu zarządzaniu długi zostały spłacone, a gospodarstwo doprowadzone do świetności. Wróciła wtedy na uniwersytet. Kontynuowała przerwane studia, a jednocześnie musiała w dalszym ciągu zarządzać majątkiem, bo w roku 1926 zmarł ojciec, a matka chorowała na gruźlicę. Równocześnie w latach 1925 – 1929 pracowała w katedrze astronomii jako laborantka, a następnie asystentka profesora Marcina Ernsta (1869-1930).

Lata studiów są okresem działalności Heleny Połowskiej w Rosyjskim Studenckim Ruchu Chrześcijańskim założonym przez O. Sergiusza Bułgakowa (1872-1944) – duchownego i filozofa, który wyemigrował z rewolucyjnej Rosji do Paryża. Ojca założyciela poznała ona na zjeździe ruchu w Przerowie w Czechosłowacji we wrześniu 1923 roku i to spotkanie zdecydowanie zaważyło na jej dalszym życiu. *... Spotkanie z O. Sergiuszem – to najpiękniejsze zjawisko w granicach mego ludzkiego życia...* Spotykali się nie tylko na zjazdach i konferencjach, ale Helena Połowska jeździła też do Paryża, aby brać udział w kursach apologetycznych, na których wykładano różne dyscypliny teologiczne, a także filozofię i historię rosyjską, czy sztukę pisania ikon. O. Sergiusz Bułgakow był jej ojcem duchowym. Po latach napisze: *...Ojciec Sergiusz był niedoścignionym spowiednikiem...Posiadając wielkie mistyczne doświadczenie, rzadko spotykaną głębię duszy, bogaty intelekt, szerokie historyczne i życiowe horyzonty, o. Sergiusz jawił się jako mądry ojciec duchowny, rozumiejący w pół słowa najbardziej złożone wydarzenia, sytuacje, przeżycia. Ile razy on ratował swe duchowne dzieci od fatalnych wykroczeń, rozpacz i nawet śmierci...*

Przez dwie dekady, aż do jego śmierci w 1944 roku, regularnie korespondowali ze sobą. Niestety korespondencja ta została zniszczona w czasie aresztowania Heleny Połońskiej w roku 1952.

Z błogosławieństwem o. Sergiusza Helena Połońska wydaje czasopismo „Za rubieżom” (Za granicą). Sama pisze wiele artykułów poświęconych pisarzom rosyjskim będącym na emigracji, rosyjskiej kulturze i działalności Rosyjskiego Studenckiego Ruchu Chrześcijańskiego. W latach 1926 – 1927 ukazało się 6 numerów czasopisma.

Podczas pobytu Heleny Połońskiej w Paryżu we wrześniu 1927 roku o. Bułgakow udziela jej specjalnego błogosławieństwa na drogę życia określanego w prawosławiu jako „monaszestwo w mirie” (monastycyzm w świecie).

Połońska prowadzi działalność misyjną jeżdżąc do różnych miast z wykładami. Spotykając się z młodzieżą, wyszukiwała utalentowanych i wierzących młodych ludzi, którym pomagała finansowo, aby mogli studiować w Instytucie św. Sergiusza w Paryżu. Wielu z nich po studiach wybrało stan duchowny. Jednym z nich był o. Eugeniusz Lachocki, którego córka, monachini Eudokia (Halina Lachocka) przetłumaczyła na język polski książkę Heleny Kazimierczak – Połońskiej „O diejstwie błagodatii Bożej w sovremiennom mirie” (O działaniu Łaski Bożej we współczesnym świecie). Książka ta miała już w Rosji trzy wydania, w latach 1998, 2002 i ostatnie w 2013 roku. Polskie tłumaczenie wydano w Białymstoku w 2013 roku pod tytułem „Modlitwa otwiera niebo”.

Po śmierci profesora Ernsta we Lwowie, Helena Połońska przenosi się do Warszawy i rozpoczyna pracę w Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Warszawskiego. Dyrektor obserwatorium prof. Michał Kamiński (1879-1973) był specjalistą w badaniach ruchu komet i tą tematyką zajęła się również Helena Połońska. Rozpoczęła od badań ruchu komety 14P/Wolf wykorzystując zmodyfikowaną przez siebie metodą całkowania opracowaną przez Numerowa. Kometą Wolfa zajmowała się przez dziesięciolecia badając jej ruch w coraz dłuższych interwałach czasowych.

Na podstawie pracy „O planetocentrycznym ruchu komet” (promotor prof. Kamiński) uzyskuje w 1934 roku stopień doktora filozofii w zakresie astronomii. Dyplom doktorski będzie jedną z najcenniejszych rzeczy, które zabrała ze sobą wyjeżdżając na zawsze do ZSRR w 1945 roku.

W 1936 roku Helena Połońska poślubiła starszego o dwa lata Leona Kazimierczaka, ichtiologa pracującego również na Uniwersytecie Warszawskim. W okresie międzywojennym panowała moda na zdrabnianie imion. Helena i Leon używali zdrobnień Lela i Lelik, co zachowało się w korespondencji i wspomnieniach bliskich. Rok po ślubie przyszedł na świat syn, który otrzymał imię Sergiusz na cześć o. Bułgakowa.

Dwa lata przed wybuchem II wojny światowej, w 1937 roku Helena Kazimierczak – Połowska przedstawiła profesorowi Kamińskiemu propozycję budowy w jej majątku Solec filii Obserwatorium Warszawskiego. Zatwierdzono projekt, przygotowano materiały, ale wojna pokrzyżowała plany.

We wrześniu 1939 roku po napaści ZSRR na Polskę Helena Kazimierczak – Połowska pomogła astronomom warszawskim, wówczas żołnierzom: Maciejowi Bielickiemu i Ludwikowi Zajdlerowi uniknąć niewoli sowieckiej. Gdy dotarli do Sielca, dostali cywilne ubrania i mogli przedostać się do Warszawy.

Kiedy majątek w Sielcu został zajęty przez Sowietów, Kazimierczakowie wyjechali do Lwowa, gdzie Helena znów podjęła pracę w katedrze astronomii. W roku 1942, już pod okupacją niemiecką, Kazimierczakowie przenieśli się do Warszawy. W czasie Powstania Warszawskiego Helena z synem byli pod Warszawą, a mąż z matką w samej Warszawie. Leon Kazimierczak został przez Niemców wzięty do niewoli i wywieziony pod Wiedeń, gdzie w ciężkich warunkach kopał umocnienia, a matka Heleny znalazła się w obozie dla ludności cywilnej w Pruszkowie. Trudy okupacyjnego życia, stałe niebezpieczeństwo utraty życia, heroiczne wysiłki poszukiwania męża i matki Helena opisała w książce „O diejstwiu błagodatii Bożej w sovremiennom mirie”.

Kończyła się II wojna światowa. Niemców z Polski wyganiały wojska sowieckie. Na terenach wyzwolonych powstawało państwo podporządkowane Związkowi Radzieckiemu. Po odnalezieniu matki i otrzymaniu wiadomości, że mąż żyje w niewoli, Helena Kazimierczak – Połowska rozważała, czy korzystając z powojennej migracji ludności wyjechać tylko z synem i matką do ZSRR, czy czekać na męża.

Leon Kazimierczak jeszcze przed wojną zgodził się wyjechać z rodziną do Rosji szanując postanowienie żony, by służyć Bogu, Ojczyźnie - tu miała na myśli uciemioną przez komunizm Rosję - nauce i młodzieży. Prosił jedynie, aby na miejsce pobytu wybrała Odessę; tam on mógłby pracować jako ichtiolog, a ona w obserwatorium astronomicznym.

Decyzja o wyjeździe bez męża podjęta została po żarliwych modlitwach.... *Boża odpowiedź z wielką mocą przeniknęła jej świadomość: Jechać! Helena poznała głos łaski Bożej. Wątpliwości nie było. – Jadę, Panie!.. To było jak wezwanie do powoływanego ucznia. Powiedział mu: Zostaw umarłym grzebanie umarłych, a ty idź i głos królestwo Boże. (Łk 9,60)*

Granice ZSRR przekraczali 9 maja 1945, kiedy Rosjanie świętowali zakończenie wojny. Dla Heleny, jej matki i syna zaczynał się trudny, momentami tragiczny okres życia.

Osiedlili się na wschód od Odessy w Chersoniu. Już 17 maja Kazimierczak – Połowska podjęła pracę w Instytucie Pedagogicznym, gdzie -

zgodnie ze swoim wykształceniem i zdolnościami - wykładała matematykę. Obarczano ją ponad siły: musiała prowadzić zajęcia przez 12 - 14 godzin dziennie, do tego dochodziły dodatkowe obowiązki. Część z tych obowiązków miała pewien związek z jej specjalnością naukową np. organizacja i prowadzenie kółka astronomicznego, ale inne, jak pisanie sztuk do wystawiania przez studentów, czy referaty na temat prac Józefa Stalina, były formą szykan. Nie mogła walczyć o godniejsze warunki pracy, bo groziło to utratą pracy, a w konsekwencji brakiem środków na utrzymanie rodziny.

Starła się sprowadzić męża, ale niestety władze sowieckie były nieugięte. *... To było jeszcze w 1946 roku, gdy mieszkaliśmy w Chersoniu, jeszcze przed śmiercią Sierioży. Zapisalam się na wizytę u pierwszego sekretarza chersońskiego komitetu partii. Opowiedziałam mu o naszym smutnym położeniu i prosiłam, aby pomógł nam połączyć się. "I prawidłowo postępują, że nie puszczają, – powiedział z kamiennym wyrazem twarzy. – Teraz wysiedlamy wszystkich Polaków z ZSRR do Polski. I żadnego Polaka tutaj nie wpuszczymy. I wam wrócić do Polski nie pozwolimy"...*

Dyplom doktorski Uniwersytetu Warszawskiego nie został uznany. Przy tak wielkim obciążeniu dydaktyką wymagano przygotowania pracy kandydackiej i zdania egzaminów z materializmu dialektycznego.

Warunki życia w Chersoniu były trudne; dotyczyło to i mieszkania i problemów ze zdobyciem kartkowych produktów i opieki lekarskiej dla starej, schorowanej matki oraz syna. Przestępczość wokół była tak wielka, że w ciągu trzech lat Helena Kazimierczak – Połowska kilkakrotnie, gdy padała ofiarą napaści bandytów z bronią lub nożem, cudem uniknęła śmierci. Bandyci odbierali jej kartki żywnościowe, żywność, rzeczy, dokumenty, a nawet notatki do wykładów i zadania z matematyki. Ubogie mieszkania, które zajmowała (choć trudno je było nazwać mieszkaniami) były wielokrotnie okradane i podpalane, a zdarzyło się jej spać pod gołym niebem przez osiem miesięcy. Praca ponad siły, brak snu (2 – 3 godziny), głódówka, gdy skradziono jej kartki, albo gdy trzeba było choć trochę lepiej odżywić osłabionych matkę i syna, mocno nadszarpnęły jej zdrowie. Nastąpiło wycieńczenie organizmu objawiające się trudno gojącymi się ranami na nogach. Czara goryczy przepełniła się, gdy syn Sierioża ciężko zachorował na zapalenie opon mózgowych, co błędnie rozpoznano jako tyfus, i w wyniku czego zmarł 7 lipca 1948 roku. Nie tylko nie pozwolono jej opiekować się synem w szpitalu, ale zabroniono pochować go zgodnie z prawosławnym obrządkiem. Nie bacząc na konsekwencje Kazimierczak – Połowska pochowała syna po chrześcijańsku i zrezygnowała z pracy w Instytucie Pedagogicznym w Chersoniu. Na propozycję pozostania w Instytucie odpowiedziała: *...Dyrekcja w godzinę śmierci mego syna postąpiła bezlitośnie i zabiła moją miłość do Instytutu. A bez miłości nie*

potrafię pracować. Żegnajcie! I z tymi słowami wyjechała z podwórza, z istnego piekła Chersonia, gdzie przeżyła tak wiele beznadziejnego smutku.

Jak pisała po latach do protojereja Ioana Koniuchowa, proboszcza w Chersoniu, który pochował najpierw jej syna i potem w 1952 roku matkę. *... To miejsce stało się mogiłą dla mojego biednego synka i biednej mamy. Nie rozumieli mnie tam i gdybym została w Chersoniu, stałoby się wkrótce i moją mogiłą...Inni wspominają...Życie Heleny w Chersoniu było przesycone tragicznymi wydarzeniami, które nie dawały jej żadnego wytchnienia. Ratowała ją jedynie wiara w miłość do Chrystusa, poddanie woli Bożej i jego cudowna pomoc, wypracowane przez lata spokój ducha i męstwo ...*

Już po śmierci Heleny Kazimierczak – Połońskiej, w Chersoniu odsłaniano tablicę pamiątkową z okazji dziewięćdziesięciolecia Instytutu Pedagogicznego. Wśród imion 22 zasłużonych wykładowców znalazło się także jej imię. Jedna z dawnych studentek tak ją wspominała...*Ona była promykiem światła w naszym nielekkim powojennym życiu. Helena Iwanowna doskonale знаła przedmioty, które nam wykladała, a jeszcze bardzo lubiła i rozumiała muzykę, malarstwo, literaturę i wpajała w nas, swoich wychowanków, miłość...*

Z Chersonia przeniosła się do Leningradu i rozpoczęła pracę w Instytucie Astronomii Teoretycznej Akademii Nauk ZSRR. Zaprosił ją tam dyrektor ITA Michał Fiodorowicz Subbotin (1893-1966) wybitny matematyk i astronom, specjalista z mechaniki nieba i autor bardzo dobrych podręczników z tej dziedziny. Na podręcznikach tych wychowały się całe pokolenia mechaników niebieskich nie tylko w ZSRR, ale i w Polsce. Warto też wspomnieć, że Subbotin był absolwentem rosyjskiego Uniwersytetu Warszawskiego w roku 1914, a w latach 1912 - 1915 również jego pracownikiem.

W ITA Kazimierczak – Połońska mogła się zająć pracą naukową i przygotować pracę kandydacką „Ciasne zbliżenia komet z planetami”. Po zdaniu egzaminów z dialektycznego i historycznego materializmu obroniła pracę kandydacką 17 listopada 1950 roku w Głównym Obserwatorium Astronomicznym Akademii Nauk ZSRR w Pułkowie pod Leningradem. Profesor Jurij Wasiliewicz Batrakov, kolega, a następnie przez wiele lat dyrektor ITA, tak wspomina obronę: *...Helena Iwanowna świetnie obroniła pracę i została kandydatem nauk fizyczno – matematycznych. Wszystkie obliczenia do pracy Helena Iwanowna wykonała na zwyczajnym arytmometrze i na maszynach klawiszowych (arytmometrach elektrycznych). To było bardzo pracochłonne zajęcie, ale jak się wydawało dla Heleny Iwanownej trudności nie istniały; ona dosłownie przemęczała się pracą. Będąc wymagającą wobec siebie, ona całkiem naturalnie oczekiwała również takiego samego stosunku do pracy od swoich współpracowników.*

Często zapominała, że jej współpracownicy są zwykłymi ludźmi ze swymi problemami i wytrzymać nadane przez nią tempo często było ponad ich siły...

1 września 1951 roku Helena Kazimierczak – Połowska dodatkowo podjęła pracę na stanowisku starszego wykładowcy w Instytucie Pedagogicznym w Leningradzie. Podobnie jak w Chersoniu prowadziła zajęcia z analizy matematycznej i astronomii.

ITA patronowało domowi dziecka w miejscowości Ług pod Leningradem. Kazimierczak – Połowska w latach 1949 – 1952 była tam częstym gościem. Pomogła w założeniu ogrodu i sadu przy domu, wykorzystując swoje doświadczenie z kierowania własnym majątkiem w Sielcu. Pomagała dzieciom w nauce. To z nią wychowankowie byli pierwszy raz w teatrze, na koncercie czy w muzeum. Wielu z nich właśnie jej zawdzięczało dobry wybór dalszej drogi życiowej dokonany dzięki jej mądrym radom i osobistej pomocy.

Gdy wydawało się, że po koszmarnych przeżyciach i tragediach trudnych chersońskich lat, życie jakoś się stabilizuje, spotkał Helenę Kazimierczak – Połowską kolejny cios – w listopadzie 1951 roku zwolniono ją z pracy w ITA i w Instytucie Pedagogicznym. Powodem formalnym była redukcja etatów, ale prawdziwym była państwowa kampania „oczyszczenia w związku z walką z wrogami narodu”. 25 stycznia 1952 roku była aresztowana i oskarżona o szpiegostwo z paragrafu 58-10. Została osadzona w jednym z najcięższych sowieckich więzień - w moskiewskich Butyrkach. Przyszło jej doświadczyć losu milionów ludzi w ZSRR, którzy przez stalinowski system zostali wtrąceni do więzień, przeszli niekończące się śledztwa i znaleźli się w obozach na nieludzkiej ziemi, skąd niewielu wróciło. *...Niekiedy chciałam skoczyć i rozbić głowę o ścianę, aby mózg upadł mu (śledczemu) pod nogi i krzyknąć: Jestem zupełnie niewinna! Cztery razy przegryzałam żyły na rękach. Myślałam, że Bóg mi wybaczy. To miało być podobnie, jak dowódca, który strzela do siebie, gdy dostaje się do niewoli, aby nie wydać tajemnic państwowych w wyniku załamania z powodu katuszy. Oni chcieli uzyskać ode mnie informacje o innych... I ja wołałam umrzeć. Zaczęłam kłamać, aby nie wydać... i zaplatałam się... Każdej nocy przesłuchanie 8 – 10 – 12 godzin pod rząd, w ciągu dnia nie wolno się położyć ani siedzieć, tylko wieczorami zasypiasz na 1,5 – 2 godziny – budzą i prowadzą...8 miesięcy! Wracasz i zasypiasz w czarnej rozpacz. Raptem pewnej w nocy, jak mieczem rozciął moją świadomość apostoł Paweł. – I mówi: A ja w więzieniu nie kłamałem...I nagle w moim sercu rodzi się odpowiedź...I ja ją pojmuję właśnie tak jak w powiedziano w Ewangelii: Będzie wam dane, co macie mówić...I przychodzę w ciągu 15 minut na nowe przesłuchanie i mówię "te słowa"... Cała drzę z powodu duchowego przeżycia, ale jestem przekonana, że to będzie mój „koniec” i nastąpi tylko duchowe wyjście...*

Kazimierczak – Połowska postanowiła dosłownie wcielić w życie słowa z Ewangelii Św. Mateusza: *A kiedy was postawią przed sądem, nie troszczcie się, jak albo co macie powiedzieć, bo w tej godzinie dowiecie się, co macie powiedzieć.* (Mt 10,19). Podczas kolejnych przesłuchań zdołała przekonać śledczego, że jest niewinna. Można powiedzieć, że dla śledczego to było oczywiste – przecież wszyscy aresztowani nie byli ani szpiegami, ani wrogami ludu, ani szkodnikami. Byli ofiarami zbrodniczego terroru, który niewinnych ludzi wtrącał do więzień i obozów. Natomiast przedziwne, niezwykle, okazało się to, że śledczy doprowadził do jej uwolnienia 5 sierpnia 1952, po blisko ośmiu miesiącach więzienia. Ze świadectw ludzi, którym opowiadała o swoich tragicznych przeżyciach więziennych, możemy się dowiedzieć, że w czasie kolejnych przesłuchań ona *...odkrywała świat prawdy temu człowiekowi, jednemu z milionów, którego zamroczoną duszę wytrzebili i oszukali.... I zdarzyło się coś nieprawdopodobnego: śledczy, który prowadził jej sprawę sam stał się wierzący. Ona zdołała przekonać go do swej niewinności i do tego, że wiara w Boga – to nie jest przestępstwo, grzechem jest – nie wierzyć w Niego. Pewnego razu pokazał jej donos, na podstawie którego ją aresztowano. Okazało się, że autorem donosu był duchowny. W odpowiedzi na to Helena Iwanowna wygłosiła śledczemu wykład na temat „Godność chrześcijaństwa i niegodność chrześcijan” N. Bierdiajewa. Po wielu miesiącach przesłuchań śledczy wystarał się o jej oswobodzenie. On sam odniósł do pociągu jadącego do Leningradu walizkę swej duchownej mentorki. To jedno z wielu cudownych zdarzeń w jej życiu....* Uwolnienie bez wyroku skazującego człowieka, który dostał się w tryby maszyny terroru zapelniającej milionami niewinnych ludzi obozy na Syberii, rzeczywiście można uznać za cud. Pewnie i współpracownicy z ITA byli pewni, że Kazimierczak – Połowska będzie skazana na wiele lat obozu. To ośmieliło jednego z nich do zawłaszczenia wyników jej badań i opublikowania ich pod swoim nazwiskiem.

Samo uwolnienie z więzienia nie oznaczało, że mogła wrócić do pracy w ITA. Pojechała zatem do Chersonia, gdzie były groby: syna i matki zmarłej w czasie jej pobytu w więzieniu 25 kwietnia 1952. Przez kilka miesięcy pracowała tam w technikum budowy okrętów. Następnie przeniosła się do wybranej przed laty Odessy. Tam w latach 1953 –1956 pracowała w Instytucie Pedagogicznym na stanowisku docenta wykładając analizę matematyczną i astronomię.

W tym Instytucie, podobnie jak wcześniej w Chersoniu, założyła studenckie kółko astronomiczne im. Bredichina. Kółko to cieszyło się dużą popularnością i liczyło ponad stu członków. Dwa razy organizowała konferencje z referatami studentów.

Patron kółka Fiodor Aleksandrowicz Bredichin (1831 – 1904) był astronomem o rozległych zainteresowaniach badawczych – od klasycznej astrometrii do astrofizyki. Jednak najwięcej prac poświęcił kometom; dzięki

tym pracom jest obecnie znany. Wybór patrona nie był przypadkowy, odpowiadał zainteresowaniom badawczym Kazimierczak – Połońskiej. Po latach, w roku 1969, została ona laureatką Nagrody im. F. A. Bredichina przyznawanej wybitnym astronomom przez Akademię Nauk ZSRR. Otrzymała ją za obszerną serię prac opublikowanych w latach 1961 – 1968 dotyczących metod numerycznych stosowanych przy wyznaczaniu ruchu komet krótkookresowych, problemom ewolucji ich orbit w skali wiekowej i badaniom pochodzenia komet. W 1986 ze współpracownikami opublikowała artykuł „F. A. Bredichin – wybitny pionier astronomii kometarnej” przybliżający sylwetkę i osiągnięcia tego uczonego.

Dopiero pod koniec 1956 roku Kazimierczak – Połońska mogła wrócić do Leningradu i pracy w ITA. Kontynuowała badania orbit komet krótkookresowych rozpoczęte przed wojną pod kierunkiem prof. Michała Kamieńskiego. Dwa lata później, w 1958 roku, została członkiem Międzynarodowej Unii Astronomicznej. W sierpniu tego samego roku w Moskwie odbywał się X Kongres MUA. Kazimierczak – Połońska brała w nim udział jako tłumaczka z języka francuskiego; aby być tłumaczem, wcześniej musiała zdać kilka egzaminów z tego języka.

W roku 1968 obroniła pracę doktorską „Teoria ruchu komet krótkookresowych i zagadnienie ewolucji ich orbit”. Przyjmując, że praca kandydacka odpowiada polskiemu doktoratowi, to rosyjski doktorat byłby odpowiednikiem naszej habilitacji.

W latach siedemdziesiątych w ITA pojawiło się nowe narzędzie do automatyzacji obliczeń – komputer. Żmudny i czasochłonny proces liczenia na arytmometrach przyspieszał w niewiarygodny sposób. Komputeryzacja otwierała przed badaniami wymagającymi rachunków, takimi jak wyznaczanie orbit ciał niebieskich, zupełnie nowe możliwości. Wymagała jednak od użytkowników nie tylko nauczania się obsługi komputera, lecz także przygotowania programów w kodzie wewnętrznym maszyny (dopiero później opracowano języki programowania). Kiedy dla pracowników ITA organizowano kursy obsługi komputerów i programowania, nie umożliwiono Kazimierczak – Połońskiej skorzystania z nich, ponieważ uznano, że już nie warto uczyć osoby przed emeryturą. Dlatego te umiejętności musiała zdobywać samodzielnie, po nocach i w tajemnicy. Kazimierczak – Połońska nie tylko dobrze poznała tajniki programowania komputerów w trudnym kodzie wewnętrznym, ale mając długoletnie doświadczenie w rachunkach na arytmometrach, nie traktowała komputera jako „czarnej skrzynki”. Ona rzeczywiście rozumiała jego możliwości ale i wszystkie pułapki.

Kazimierczak – Połońska badała ewolucję orbit kometarnych spowodowaną perturbacjami od wielkich planet, przede wszystkim największej planety Układu Słonecznego – Jowisza. W liczącej blisko 200 stron pracy „Przegląd badań ciasnych zbliżeń komet krótkookresowych z Jowiszem (1770 – 1960)”, opublikowanej w 1961 roku, podała rezultaty

analiz wszystkich, w ciągu prawie dwustu lat wstecz, zbliżeń komet krótkookresowych do Jowisza. W pracy z 1967 roku przedstawiła wyniki badania zmian orbit kometarnych w okresie rozszerzonym jeszcze o dwieście lat (1660 – 2060). Uczona wykazała, że wielkie planety – przede wszystkim Jowisz, wpływają w sposób istotny na ruch komet zmieniając parametry ich orbit. Na podstawie jej badań okazało się, że przejścia komet blisko planet wcale nie są tak rzadkie jak wcześniej sądzono. Niestety nie dożyła momentu, gdy w roku 1994 na skutek zbliżenia do Jowisza kometa Shoemaker – Levy 9 została rozerwana na części, które spadły do atmosfery tej największej planety Układu Słonecznego. To było spektakularne potwierdzenie wyników analiz numerycznych Kazimierczak – Połońskiej. Szczególnym przedmiotem jej zainteresowania była kometa Wolf I badana od czasów pracy u prof. Michała Kamińskiego. Specjalnie - ciasne zbliżenie tej komety do Jowisza 27.09.1922, które skróciło okres orbitalny z 8.84 do 8.28 roku. Monografię komety Wolf I, zawierającą analizę jej ruchu od odkrycia w 1884 do roku 1984, Kazimierczak – Połońska opublikowała w 1982 roku, gdy sama miała już 80 lat. W innej pracy podała analizę ruchu komety Ashbrook – Jackson w interwale czasowym 1949 – 1979. Kometa ta miała zbliżenie do Jowisza w roku 1945, czyli jeszcze nim została odkryta w roku 1948.

Z kometami związane są roje meteorowe i perturbacje orbit różnych rojów – to również przedmiot analiz numerycznych prowadzonych przez Kazimierczak – Połońską. Jeden z najsłynniejszych rojów – Leonidy, był przez nią badany w okresie trzystuletnim: 1700 – 2000. Dla tego roju prawidłowo przewidziała moment maksimum intensywności w roku 1966. W sumie zagadnieniom ewolucji komet krótkookresowych, rojów meteorowych i innym zagadnieniom astronomicznym poświęciła około 110 prac. Były one drukowane w czasopismach wydawanych przez ITA i w wielu renomowanych czasopismach astronomicznych na świecie oraz w materiałach sympozjów organizowanych przez Międzynarodową Unię Astronomiczną, w tym we współredagowanych przez nią materiałach 45 Sympozjum MUA „Ruch, ewolucja orbit i pochodzenie komet”. Organizacja tego sympozjum w roku 1970 właśnie w Leningradzie, była formą uznania międzynarodowej społeczności astronomicznej dla osiągnięć Heleny Kazimierczak – Połońskiej i jej współpracowników w dziedzinie badania orbit kometarnych i ich ewolucji.

Uczona uczestniczyła też w wielu innych sympozjach MUA za granicą. W latach 1973 – 1978 była członkiem Komisji 20 MUA – Pozycji i ruchu małych planet, komet i satelitów, a w latach 1976 – 1978 komisji dynamiki małych ciał Układu Słonecznego Akademii Nauk ZSRR.

W roku 1978 Heleny Kazimierczak – Połońska odeszła na emeryturę z przyczyn zdrowotnych. W tym samym roku planetoidzie o numerze 2006, odkrytej 22.09.1973 roku w krymskim obserwatorium przez Mikołaja

Czernycha, nadano na jej cześć imię Polonskaya. W 2005 roku na podstawie analizy krzywej jasności wysunięto przypuszczenie, że ta mała planetoida o średnicy 10 km ma księżyc o średnicy 3 km.

Równolegle z pracą naukową Kazimierczak - Połowska zajmowała się prawosławną działalnością misyjną. W swoim mieszkaniu organizowała dla dzieci i młodzieży sąsiadów, przyjaciół i znajomych kółka pogłębiania wiary. Na spotkaniach kółek poznawano Pismo Św., historię cerkwi, czytano literaturę religijną, ale też wykonywano zabawki i urządzano koncerty. Oddziaływała na innych przykładem swego życia. Ludzie, których los zetknął z Heleną Kazimierczak – Połowską, zachwyceni jej niezłomną wiarą i służbą potrzebującym, pragnęli poznać i pogłębić wiarę i włączyć się w życie cerkwi. W poszukiwaniu dróg duchowego rozwoju była dla nich przewodnikiem. Temu miała też służyć założona przez nią w 1990 roku Wspólnota im. Świętego Sergiusza z Radoneża, której celem, według założycielki, było...*Pogłębienie współczesnego chrześcijańskiego światopoglądu w duchu wczesnego chrześcijaństwa, zharmonizowanie go z wyższymi osiągnięciami moralnej i duchowej kultury, a także wszechstronnymi aspiracjami współczesnej epoki...*

Helena Kazimierczak – Połowska od 1972 była członkiem honorowym Wszechzwiązkowego Stowarzyszenia Niewidomych. Przygotowywała podręczniki matematyki i programowania w języku Braille’a, które pomagały utalentowanej niewidomej młodzieży studiować na kierunkach ścisłych. Jej podopieczną była niewidoma dziewczynka Ludmiła Kurienna. Spotkały się na statku, gdzie niewidoma dziewczynka, prowadzona przez babcię, zarabiała na życie grą na harmonii i śpiewem. Kazimierczak – Połowska pomogła jej rozwinąć talent i zdobyć wykształcenie muzyczne umożliwiające podjęcie pracy jako dyrygent chóru. Gdy wychowanka wyszła za mąż, również za niewidomego, pomagała im także finansowo. Wspierała finansowo wielu ludzi przeznaczając na ten cel dużą część pensji, czy potem emerytury. Robiła to nawet w trudnych latach powojennych, gdy sama często cierpiała głód. W trosce o ludzi biednych, chorych i starych pod koniec swego życia założyła szpital im. Świętej Kseni z Petersburga.

Helena Kazimierczak – Połowska utrzymywała serdeczne kontakty z wieloma polskimi astronomami, którzy w miarę możliwości odwiedzali ją w Leningradzie. Prowadziła też z nimi korespondencję w języku polskim, dopóki nie straciła wzroku. W 1970 roku wstąpiła do Towarzystwa Radziecko – Polskiego, co pewnie pomagało jej w organizowaniu w Leningradzie koncertów wybitnych pianistów: Haliny Czerny – Stefańskiej i Witolda Małcużyńskiego oraz chóru chłopięcego Jerzego Kurczewskiego. Z Witoldem Małcużyńskim połączyła ją przyjaźń. Korespondowali przez lata, a w mieszkaniu Kazimierczak – Połowskiej wisiał jego portret.

W latach osiemdziesiątych Helena Kazimierczak – Połowska wykładała w Akademii Duchownej w Petersburgu. Pod koniec życia, gdy była niewidoma i nie mogła się poruszać, przywożono ją do akademii i wykładała z pamięci bez żadnych notatek. Wykłady były tak piękne, że rektor O. Włodzimierz Sorokin nazwał ją „Złotoustą”. W tym czasie na potrzeby akademii Kazimierczak – Połowska tłumaczyła wiele dzieł teologicznych zagranicznych autorów, niedostępnych w ZSRR. Pisała też wiele artykułów poświęconych świętym cerkwi prawosławnej: Aleksandrowi Newskiemu, Sergiuszowi z Radoneża, Serafinowi z Sarowa i innym. Również o życiu i twórczości O. Sergiusza Bułgakowa napisała najpierw artykuł do czasopisma „Bogosłowski trudy” (Prace teologiczne), a potem książkę „Profesor protojerej Sergiusz Bułgakow 1871 –1944. Postać, życie, twórcza służba, rozpromienienie światłem Łaski”.

W 1987 roku Helena Kazimierczak – Połowska wstąpiła do zakonu i przywdziała habit. Ceremonii przewodniczył metropolita Aleksy Ridiger późniejszy patriarcha moskiewski Aleksy II. Początki życia zakonnego okazały się ciężkim doświadczeniem. Opiekujący się nią duchowny i chrzestna matka – zakonnica z „prostych babuszek” zażądali, aby przestała się zajmować pracą naukową, wykładami w Akademii Duchownej, pisanem artykułów oraz pracą z młodzieżą, a poświęciła się wyłącznie postom i modlitwie. Uważa się, że wskutek stresu wywołanego tymi wymaganiami Helena Kazimierczak – Połowska straciła wzrok. Na szczęście dość szybko mogła wrócić do zajęć, lecz wzrok straciła na zawsze. Potem straciła też władzę w nogach i była całkowicie zdana na pomoc innych.

Helena Kazimierczak – Połowska zmarła 30 sierpnia 1992 roku. Nabożeństwo żałobne za zmarłą zostało odprawione przy grobie świętego Aleksandra Newskiego, którego darzyła wielką cziłą, wykładała i pisała o nim prace. Została pochowana na cmentarzu astronomów przy Obserwatorium Astronomicznym w Pułkowie, gdzie spoczywa wielu wybitnych badaczy Wszechświata.

Swoje opracowanie „Święty książę Aleksander Newski” zakończyła wezwaniem...*I nas swoimi serdecznymi modlitwami, błogosławiony Aleksandrze, w płomiennej wierze i pełnym poświęcenia służeniu Bogu, Cerkwi, Ojczyźnie i duchowej kulturze niezachwianie zachowaj!* Wszyscy, którzy ją znali i podziwiali mogą zaświadczyć, że Aleksander Newski w wierze i służbie niezachwianie ją zachował.

Obecnie cerkiew prawosławna czyni przygotowania do kanonizacji tej niezwyklej osoby, która przez całe trudne życie realizowała cel postawiony w młodości – służyć Bogu, nauce, ojczyźnie i młodzieży.



Henryk Brancewicz i Adam Kłós (*fot. A. Leśniczek*)

Maria Kunic, pierwsza dama astronomii

Kazimierz Błaszczak

Astronomia Nova, kazimierzbla@wp.pl

Analizując historię rozwoju astronomii, z satysfakcją można stwierdzić, że w minionych wiekach, na ziemiach polskich mieszkali wybitni przedstawiciele tej dziedziny nauki. Toruń szczyci się nie tylko największym astronomem, jakim był Mikołaj Kopernik, ale i Aleksandrem Wolszczanem - odkrywcą pierwszych planet pozasłonecznych. Gdańsk ma swojego Jana Heweliusza, a z Sieradza wywodzi się Ary Sternfeld, który położył wielkie zasługi dla rozwoju astronautyki. Ich dorobek naukowy spotkał się z uznaniem znawców przedmiotu, zapewniając stałe miejsce w panteonie nauki. Natomiast gdzie tutaj Wieruszów - małe miasteczko między Łodzią a Wrocławiem? Okazuje się, że wszędzie może się kryć niespodzianka i tak jest w przypadku Wieruszowa. Tą niespodzianką, i to ogromną, jest fakt, że na Ziemi Wieruszowskiej mieszkała i pracowała Maria Kunic, kobieta – astronom, „Śląska Hypatia”.

Maria Kunic - pierwsza dama astronomii - największa astronomka XVII wieku, trochę obecnie zapomniana, urodziła się 29 maja 1610 r. w Świdnicy i zmarła 24 sierpnia 1664 r. w Byczynie. Niektóre źródła biograficzne podają, iż w rodzinie Marii opowiadano, że w wieku pięciu lat zamiast bawić się lalkami, uczyła się czytać i liczyć. Mimo że ojciec zabronił córce udziału w lekcjach, uznając to za szkodliwe dla jej zdrowia, młoda Maria czas wolny od obowiązków domowych poświęcała na lekturę i kształcenie się w języku łacińskim, rozwijając swoje zainteresowania naukami ścisłymi. Inne źródła podają, że otrzymała staranne wykształcenie, знаła język grecki, łacinę, francuski, niemiecki, polski, włoski i hebrajski, interesowała się m.in. medycyną, matematyką, astronomią i historią.

Wcześniej zawarte pierwsze małżeństwo zakończyło się po trzech latach, gdy jej mąż zmarł. Ponownie wyszła za mąż za Eliasa von Löwen, matematyka i astronoma, który wspierał żonę w jej pracy naukowej. Jego prawdziwe nazwisko to Elias Kreczmar, za swoje dzieło *Horologium Zodiacale* uzyskał tytuł szlachecki Leonibus (von Löwen).

Jak wykazują źródła, Maria odznaczała się skromnością, spokojem, wytwornym sposobem bycia. Była ogólnie lubiana przez przedstawicieli obojga płci. Ponadto wzorowo prowadziła dom i edukację swoich dzieci.

Biorąc pod uwagę czasy, w których żyła, możliwości techniczne, umiejętność analizy prowadzonych badań, oraz to, że, wbrew ówczesnemu modelowi życia kobiety, swój czas poświęciła nauce, należy stwierdzić, iż była wyjątkową osobą.

Mieszkańcy Ziemi Wieruszowskiej mogą się szczycić tym, że znalazła tutaj schronienie i warunki do pracy naukowej kobieta, wybitny naukowiec

i astronom, która wywarła wpływ na ówczesny świat naukowy, przyczyniając się do rozwoju astronomii.

O tym, że została doceniona przez współczesnych, świadczą wypowiedzi znanych astronomów. W korespondencji uczonych tego czasu Maria Kunic pojawia się po raz pierwszy w liście Jana Heweliusza do Marin Mersenna, uczonego zakonnika z Paryża, przyjaciela Kartezjusza. Jan Heweliusz poproszony przez Mersenna o podanie uczonych z tej części Europy wymienił Marię Kunic. W roku 1648 nawiązała się korespondencja pomiędzy Heweliuszem a Marią Kunic i jej mężonkiem Eliaszem von Löwen. Z lat 1648 – 1654 zachowały się 22 listy. W jednym z nich Heweliusz pisał: „Najszlachetniejsza i Najuczeńsza Pani Cunitio” (Noblissima et Eruditissima Domina Cunitia. Wyrażał w listach podziw i uznanie za jej dotychczasową pracę, życząc powodzenia w dalszych badaniach. Co ciekawe, poprosił również o ocenę swojego dzieła, którym była *Selenographia*. Kończył pozdrowieniami dla niej, podpisując się „Twego najszlachetniejszego imienia gorliwy admirator i chwalca”.

Adresatka listów otrzymała w darze od Heweliusza jego dzieło.

Marią Kunic zainteresował się francuski astronom Ismael Boulliau. Jak wynika z jego listów, był pod wielkim wrażeniem wyników jej badań, czego dowodem może być fakt, iż wiadomości o niej przekazywał dalej a jej osoba wzbudziła w ówczesnej Francji duże zainteresowanie. Inny francuski uczony, Jacob, rozpoczął dzieło o uczonych kobietach tamtych czasów, w którym ważne miejsce zajmowała Maria, jednakże tego dzieła nie dokończył.

W latach 1636 – 1648 Maria Kunic mieszkała w Łubnicach, miejscowości niedaleko Wieruszowa, na terenie dzisiejszego województwa łódzkiego, gdzie stworzyła i napisała swoje największe dzieło astronomiczne pt. *Urania Propitia* (Astronomia łaskawa lub przystępna), wydane w roku 1650, składające się z 23 rozdziałów.

W dziele tym ulepszyła i poprawiła stworzone przez Johannesą Keplera (1571 – 1630). Tablice Rudolfskie służące do obliczania i przewidywania ruchów i położenia planet.

Powtórnie opracowała tablice astronomiczne Keplera, naniosła na nie poprawki, dokonała uzupełnień i uprościła je. Uproszczenie to polegało na tym, że podała łatwiejszą metodę obliczeń ruchów i położenia planet, bez używania logarytmów. Przeprowadziła korektę obliczeń dotyczących Saturna, Jowisza i Marsa jak również poszczególnych faz Wenus.

Dzieło zostało napisane w dwóch językach: łacińskim i niemieckim, dzięki czemu stało się podstawą do edukacji astronomicznej w tamtych czasach. Koncentrując się w swych badaniach na Tablicach Rudolfskich, Maria Kunic uważała się za kontynuatorkę spuścizny naukowej Johannesą Keplera.

W pracy, w zakresie prowadzenia obserwacji, badań astronomicznych i przygotowania materiałów, pomagał jej mąż Elias von Löwen.

Kunic uważała astronomię za królową innych nauk, ponieważ umożliwiała ona przepowiadanie przyszłych zdarzeń. Dzieliła astronomię na cztery działy: 1. *Obserwacje*, 2. *Mechanica – konstrukcja instrumentów do obserwacji*, 3. *Zasady astronomii* i 4. *Kalkulacje – obliczenia ujęte w tabelach*.

Przez 28 lat, wspólnie z mężem, przeprowadzała obserwacje i spisywała spostrzeżenia dotyczące obserwowanego ruchu planet. Udokumentowanych obserwacji było ponad dwieście. Niestety w roku 1655 uległy zniszczeniu w pożarze w Byczynie. Wcześniej jednak napisała o nich: (...) *z pomocą dużych i dobrych teleskopów oraz z niebywałym zapalem obserwuje się, bada i odkrywa obecnie kształt planet*. Miała na myśli Saturna, Jowisza, Marsa i fazy Wenus.

Za podstawę obserwacji przyjęła, tak jak Kepler, kalendarz juliański oraz południk zerowy przechodzący przez Pragę. Wartościom tym odpowiada mniej więcej 13. stopień długości geograficznej wschodniej od dzisiejszego południka Greenwich, który dopiero w 1883 r. stał się międzynarodowym punktem odniesienia.

Aby uniknąć cenzury kościelnej i państwowej, nie powoływała się jednoznacznie na teorię Kopernika, jednak, podobnie jak Kepler, na niej się opierała. Napisała to w rozdziale o Słońcu, stwierdzając: „Słońce jako ster nieba, jest wskaźnikiem i stróżem czasu i ruchu”. Powyższe stwierdzenie, poprzedzające wspomniane wcześniej cztery działy, przedstawia sposób, w jaki astronomka pojmowała rzeczy, których jeszcze dziś nie da się w pełni wyjaśnić, a dotyczących m.in. kosmicznych sił przyciągania i przyczyny ruchów ciał niebieskich. Maria Kunic porównywała te siły do sił magnetycznych.

Zjawiska zachodzące na niebie astronomka podzieliła na trzy części: obrót dzienny, ruch planet i zaćmienia. Obrót dzienny jest zjawiskiem, które można na niebie oglądać codziennie, bez użycia przyrządów. Wyjaśniła, że niezbędne są dodatkowe pojęcia z zakresu obserwacji, pomiarów i obliczeń, tj. horyzont – koło wertykalne powstałe w wyobraźni, ekliptyka – droga Słońca, południk – celem lokalizacji obserwatora. Do tego, przez męża astronomki, został opracowany skorowidz miast z podaniem przebiegających przez nie południków.

Na uwagę zasługuje fakt, że Maria Kunic dostrzegła znaczenie plam słonecznych dla obrotu Słońca wokół osi. Przedmiotem jej obserwacji był ruch planet. Zauważyła zmieniającą się każdorazowo, po upływie 24 godzin, pozycję planety, jej dalsze przemieszczanie się, a po przeprowadzeniu wielu nocnych obserwacji – ruch tylko w wyobraźni rozpoznawalny jako ciągły.

Maria Kunic uwzględniała model wszechświata zastosowany przez Tychona Brahego, ale włączyła do swoich rozważań hipotezę Keplera

o eliptycznym kształcie orbit i o rozmaitych prędkościach ruchu, będących bezpośrednią konsekwencją ich odległości od Słońca.

Podawała, że tor ruchu planety jest nieco wydłużonym okręgiem, który jest zakreślany w czasie biegu tej planety wokół Słońca. Twierdziła, że planety Saturn, Jowisz, Mars, Wenus, Merkury, poruszają się nierówno wokół Słońca a przez to znajdują się w różnych odległościach w nieskończonej przestrzeni.

Wskazała aphelium jako ten punkt, w którym są najbardziej oddalone od Słońca a ich bieg jest najwolniejszy w przeciwieństwie do perihelium czyli punktu, w którym są one najbliższe Słońcu, a ich bieg jest najszybszy i skąd zaczynają się oddalać od Słońca. Maria Kunic zdefiniowała zaćmienia Księżyca i Słońca, jako zjawiska w całości dotyczące fizyki i optyki, w ogóle nie odwołując się do przyczyn lub związków moralno-teologicznych. W swej pracy zamieściła opis całkowitego zaćmienia Słońca, które miał wcześniej obliczyć Tales z Miletu. Na siedmiu stronach w części niemieckojęzycznej autorka opisała pełny przebieg zaćmienia widzianego z kuli ziemskiej, dołączając do opisu obliczenia. Kończąc napisała: *To wszystko, co miałam do przekazania w tej materii; tego, komu to nie wystarcza odsyłam do Tabula Rudolphi oraz Ephemerides Keppleri.*

Jako ciekawostkę warto wspomnieć, że charakteryzując kierunki geograficzne, Maria Kunic używała określeń odpowiadających poszczególnym porom dnia wschód – rano, zachód – wieczór, południe – środek dnia i północ – środek nocy (gegen Morgen, gegen Abend, Mittag, Mitternacht).

Astronom Boulliau w liście do Marii napisał wielki hymn na jej cześć. Następnie napisał, że jak tylko jej dzieło ogromne i wiekopomne doszło do niego, trudno wyrazić z jaką łapczywością najpierw je pożarł a następnie dopiero powoli zaczął przeżuwać. Podziwia jej przenikliwość w badaniu spraw nieba, jasny umysł i siłę wyczuwając w jej dziele jakby aure zapachów i kolorów wiosennych kwiatów. Zdumiewa go jej wytrwałość w dokonywaniu obliczeń. Napisał, że jej imię znalazło się na szczytach Olimpu.

Boulliau wspomina tu uczone kobiety, zajmujące się matematyką i astronomią: Hypatię, królową Arsinoe i Marię Kunic. Do najuczeńszych współczesnych kobiet zalicza królową Krystynę Szwedzką, księżniczkę Elżbietę Plalatyńską, Annę Marię von Schurman i Marię Kunic.

W części poświęconej konkretnym problemom astronomicznym ocenia metodę obliczeń zaćmień Słońca za nieco łatwiejszą od tej, którą stosuje, natomiast ustalanie szerokości położenia planet za daleko łatwiejszą. Niech się zatem nie dziwi jego żalowi, że go tak prześcignęła.

Korespondencja Boulliau przychodziła za pośrednictwem sekretarza polskiej królowej Marii Ludwiki Des Noyersa tak że nasza Maria była

w orbicie zainteresowań najwyższych dostojników w Polsce, a nawet samej królowej.

Jak wynika z powyższych informacji na temat zakresu badań Marii Kunic, i jej dokonań w zakresie astronomii jest to badaczka, której powinno poświęcić się dużo więcej uwagi w dzisiejszych czasach. Ingrid Guenterrodt, autorka pracy o *Uranii Propitii*, z której przytoczyłem te informacje, napisała na zakończenie: *Od lat osiemdziesiątych staram się dotrzeć do specjalistów z dziedziny astronomii, którzy przy współpracy z łacinnikami na poważnie zajęliby się krytycznym zweryfikowaniem dzieła Marii Cunitii, jako kontynuatorki myśli Keplera, m.in. pod kątem przeprowadzonych przez nią obliczeń. Do tego mnie samej, jako germanistce, brakuje wystarczających kompetencji. Moje długoletnie zabiegi, zwłaszcza w Biurze Komisji Keplera w Monachium, okazały się daremne. Moim zdaniem przy tego rodzaju krytycznej analizie rozprawy Marii Cunitii chodzi przede wszystkim o określenie ówczesnego stanu wiedzy na tle szerzej pojętych współzależności historycznych i naukowych. Oczywiście istotny jest przy tym również język, którym się posługiwała: łacina i niemiecki.*

Powtarzam za Ingrid Guenterrodt, że kompetentni astronomowie powinni się zająć w dzisiejszych czasach analizą i oceną dzieła *Urania Propitia* od strony naukowej i zapewnić jej autorce należne miejsce wśród największych astronomów świata a jej w szczególności jako uczonej kobiecie. W tamtych czasach zajmowanie się astronomią przez kobietę było niesłychanie trudne, a nawet niebezpieczne, i w związku z tym zasługuje ona tym bardziej na odpowiednie uznanie.

My, mieszkańcy Wieruszowa, możemy się szczycić tym, że u nas znalazła schronienie i warunki do pracy naukowej ta kobieta, wybitny naukowiec i astronom, która wywarła wielki wpływ na ówczesny świat naukowy i przyczyniła się do rozwoju astronomii.

Opracowano na podstawie książki: Astronom Maria Kunic (Cunitia) - Życie i dzieło. Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy.



Kazimierz Błaszczak (fot. A. Leśniczek)

Piękno Wszechświata. Harmonia nauki i wiary w twórczości arcybiskupa Józefa Życińskiego

Jacek Marciniak



Ostatnie zdjęcie abp. Józefa Życińskiego – spotkanie z Benedyktem XVI 7 lutego 2011 r.
(Źródło: www.jozefzycinski.eu)

„Ten, który stwarzał, widział – widział, że «było dobre»,
Widział widzeniem różnym od naszego,
On – pierwszy Widzący –
Widział, odnajdywał we wszystkim jakiś ślad swej Istoty, swej pełni –
Widział: *Omnia nuda et perta sunt ante oculis Eius* –
Nagie i przejrzyste –
Prawdziwe, dobre i piękne –
Widział widzeniem jakże innym niż nasze”³⁴.

Sztuka odkrywania piękna nie ogranicza się jedynie do subiektywnych przeżyć i estetycznych uniesień. Zawiera w sobie coś z pierwotnego wglądu w tajemnicę Życia, w harmonię Kosmosu. Piękno budzi zachwyt i zdumienie, prowokuje do ważnych pytań, rodzi filozofię.

Wydaje się, że określenia „kontemplacja” i „teoria” pochodzą z różnych obszarów kultury. Tymczasem greckie słowo *theoría*, oznaczające

³⁴ Jan Paweł II, *Tryptyk rzymski. Medytacje*, Kraków 2003, s. 15-16.

współcześnie logicznie i rzeczowo uporządkowany system pojęć, aksjomatów i twierdzeń, pochodzi od czasownika *theoréo* – oglądam, patrzę na coś, spostrzegam. Rdzeń tego czasownika przypomina rzeczownik *theós* – bóg³⁵. „Boskie oglądanie” kojarzy się bardziej z mistycznym doświadczeniem niż z fundamentalnym narzędziem metodologii. Jednak etymologiczna bliskość kontemplacji i teorii znajduje potwierdzenie w tezie o komplementarności naukowego i religijnego poznawania świata. Jak słusznie zauważył ks. prof. Michał Heller, żeby widzieć trójwymiarowo, trzeba mieć dwoje oczu³⁶. Wszechświat stanowi zbyt wielką wartość, by interpretować go w sposób uproszczony i zubożony – jako niespójny konglomerat natury i kultury.

Metafora Księgi Przyrody i Księgi Pisma – tak bardzo bliska Galileuszowi – w istotny sposób wpisała się w życie i twórczość wielu duchownych, którzy różnymi drogami zmierzali w stronę Piękna, Prawdy i Dobra. Warto przypomnieć postać Georges’a Lemaître’a, Teilharda de Chardin, Bonawentury Metlera, Jana Pawła II i wreszcie Józefa Życińskiego. Czymś charakterystycznym była dla nich symbioza odmiennych perspektyw poznawczych, które autonomicznie prowadziły do odkrycia obiektywnej prawdy. Istnieje bowiem *harmonia mundi*. To nie tylko marzenie Leibniza, ale rzeczywistość.

Pragnę przedstawić w szkicowy sposób model unifikacji poznawczej abp. prof. Józefa Życińskiego. W jego programie doświadcza się piękna wszechświata za pośrednictwem zmatematyzowanych formuł teorii fizykalnych oraz odkrywa się *sacrum*, ponieważ „dziedzina Natury staje się równocześnie dziedziną odsłonięcia Łaski”³⁷. Sądzę, że pamięć o autorze „Medytacji sokratejskich”, który tak wymiennie przyczynił się do integracji środowiska przyrodników, humanistów i teologów, to zaszczytny obowiązek, zwłaszcza dla grona jego uczniów i przyjaciół.

Paradygmat racjonalności

„W alfabecie wiary na pierwszym miejscu stoi wypowiedź: na początku był Logos. Wiara pokazuje nam, że odwieczny Rozum jest przyczyną wszystkich rzeczy lub też, że rzeczy u samych swych podstaw mają charakter rozumowy. Wiara nie chce proponować jakiegś formy psychoterapii, jej psychoterapią jest prawda”³⁸.

Ostatnie zdjęcie zrobione abp. J. Życińskiemu przedstawia go, gdy ściska dłoń papieża Benedykta XVI 7 lutego 2011 r. podczas spotkania Kongregacji

³⁵ Zob. J. Wojtysiak, *Filozofia i życie*, Kraków 2003, s. 270.

³⁶ Zob. M. Heller, S. Krajewski, *Czy fizyka i matematyka to nauki humanistyczne?*, Kraków 2014, s. 12.

³⁷ J. Życiński, *Ułaskawianie Natury*, Kraków 1992, s. 10.

³⁸ J. Ratzinger, *Prawda w teologii*, tłum. M. Mijalska, Kraków 2001, s. 120.

ds. Wychowania Katolickiego. Tych wybitnych myślicieli łączyły nie tylko przekonania religijne, ale również fundamentalna idea o racjonalności świata, o zdolności człowieka do poznania prawdy, o harmonii Logosu i etosu. Metropolita lubelski – podobnie jak Joseph Ratzinger – często przestrzegał przed porzuceniem wartości, które – począwszy od Sokratesa – nieustannie konstituowały kulturę europejską. Niepokoiła go dyktatura relatywizmu. „Zwolennicy nowych eksperymentów kulturowych, przeprowadzanych na człowieku, jako naczelną zasadę metodologiczną przyjmują proste pytanie *why not?* – dlaczego by nie spróbować jeszcze tej wersji?”³⁹. Tam, gdzie logika sukcesu wyprzedza troskę o prawdę i dobro, łatwo może nastąpić regres kulturowy w stronę wspólnoty pierwotnej.

W rozmowie z Aleksandrą Klich autor „Trzech kultur” wyznał: „Społeczeństwo bez wielkich ideałów, bez wzniosłych wartości, w którym ludzie żują gumę i wymieniają się ploteczkami, może istnieć, ale ja boję się takiego świata. Świat musi mieć sens”⁴⁰.

Krytykowane przez Życińskiego ucieczki w irracjonalność przybierają różne oblicza. Niesłabnąca fascynacja astrologią, okultyzmem czy scjentologią, stanowi namiastkę metafizyki, w której zamiast wielkich pytań klasycznej filozofii otrzymujemy atrakcyjne rozwiązania zagadek kosmosu. Tajemniczy świat paranauki unika abstrakcyjnych formuł matematyki, przez co wydaje się bardziej dostępny i pociągający. Jak twierdził John Booth, który wiele lat badał zagadnienia astrologiczne i spirytystyczne, „bezkrytyczna wiara w zjawiska paranormalne, pojawiająca się jako substytut trzeźwego myślenia, odpowiada naturalnej ludzkiej skłonności do tego, aby w wędrówce przez życie wybierać łatwiejsze, nie zaś bardziej wymagające ścieżki”⁴¹.

W ramach filozofii nauki autor „Granic racjonalności” polemizował z ujęciami, które podważają decydującą rolę epistemicznych wartości w procesie zdobywania wiedzy. Program Szkoły Edynburskiej Davida Bloora i Barry’ego Barnes’a, wyróżniający analizę socjologiczną jako zasadniczą procedurę badawczą, czy anarchizm metodologiczny Paula K. Feyerabenda, deprecjonują tradycyjną aksjologię nauki.

Najbardziej jednak rozczarowanie wiarą w możliwości ludzkiego rozumu ujawnia się wśród zwolenników postmodernizmu. „Akcentują oni relatywizm prawdy związanej z określonym systemem pojęciowym, jak i niemożliwość prowadzenia ponadsystemowego dialogu z braku odpowiedniej aparatury pojęciowej i z braku ponadsystemowej koncepcji

³⁹ J. Życiński, *Myśl chrześcijańska a współczesny kryzys kultury*, „Częstochowskie Studia Teologiczne”, R. XXVII, 1999, s. 35.

⁴⁰ *Świat musi mieć sens. Przerwana rozmowa arcybiskupa Józefa Życińskiego i Aleksandry Klich*, Warszawa 2012, s. 11.

⁴¹ J. Booth, *Psychic Paradoxes*, cyt. za J. Życiński, *Trzy kultury. Nauki przyrodnicze, humanistyka i myśl chrześcijańska*, Poznań 1990, s. 83.

racjonalności”⁴². Zamiast racjonalistycznego optymizmu – filozofia dekonstrukcji, która głosi koniec „wielkich narracji” i uniwersalnych wartości. Zamiast sensu – postępujący nihilizm i pokusa rozpacz. Zamiast logiki – afirmacja pluralizmu i prawomocności wzajemnie wykluczających się ocen, odnoszonych do tych samych sytuacji w różnych tradycjach kulturowych. „W miejsce dewizy *plus ratio quam vis* (...) proponuje się obecnie zasadę *plus persuasio quam ratio*, wyjaśniając, iż tzw. *ratio* stanowi jedynie produkt zbiorowej wyobraźni, pozbawiony odpowiedników w rzeczywistości”⁴³.

W ujęciu neopragmatyków, takich jak Richard Rorty czy Zygmunt Bauman, pojęcia prawdy, sensu, racjonalności, bywają traktowane jak terminy ze słownika wyrazów obcych. O ile można zrozumieć egzystencjalny niepokój przedstawicieli postmodernizmu, wynikający z pozytywistycznego kultu rozumu, o tyle radykalne odrzucenie tezy o wartości wiedzy przyrodniczej jawi się jako metodycznie usprawiedliwiona ignorancja.

Matematyczność przyrody

Józef Życiński wysoko cenił dziedzictwo Galileusza, Newtona i Einsteina. Dzięki ich odkryciom nasz kosmiczny dom stał się bardziej zrozumiały. Metropolita lubelski w swojej twórczości poświęcał wiele uwagi problemowi matematyczności przyrody. Minęło pół wieku, odkąd Eugene Wigner sformułował tezę o przedziwnej skuteczności matematyki w naukach przyrodniczych. „Stosowność języka matematyki do formułowania praw fizyki jest cudownym darem, którego ani nie rozumiemy, ani nań nie zasługujemy”⁴⁴.

Już Galileusz tłumaczył, że Księga Przyrody została napisana w języku matematyki, a „jej literami są trójkąty, koła i inne figury geometryczne”⁴⁵. Okazuje się jednak, że nie dotyczy to tylko adekwatnego przedstawiania zjawisk naturalnych za pomocą abstrakcyjnych formuł. „Większość działań matematyki rozwinęła się nie w wyniku poszukiwania środków opisu dla wcześniej znanych zjawisk fizycznych, lecz jako przyczynek do «matematyki czystej», wolnej od odniesień do procesów zachodzących

⁴² J. Życiński, *Współczesne ucieczki w irracjonalność*, w: M. Heller, J. Mączka, J. Urbaniec (red.), *Granice nauki*, Tarnów 1997, s. 148.

⁴³ J. Życiński, *Bóg postmodernistów. Wielkie pytania filozofii we współczesnej krytyce moderny*, Lublin 2001, s. 107.

⁴⁴ E. Wigner, *Niepojęta skuteczność matematyki w naukach przyrodniczych*, tłum. J. Dembek, w: S. Wszolek (red.), *Refleksje na rozdrożu. Wybór tekstów z pogranicza wiedzy i wiary*, Tarnów 2000, s. 180.

⁴⁵ Galileo Galilei, *Il Saggiatore*, cyt. za A. Fantoli, *Galileusz. Po stronie kopernikanizmu i po stronie Kościoła*, tłum. T. Sierotowicz, Tarnów 2002, s. 257.

w przyrodzie”⁴⁶. Tak było z teoretycznymi rozważaniami Apoloniusza z Perga, dotyczącymi elipsy, które 18 wieków później zastosował w praktyce Kepler do opisu ruchu planet. Na wykorzystanie geometrii nieeuklidesowych w fizyce relatywistycznej Einsteina trzeba było czekać „tylko” 70 lat.

Abp Życiński skłaniał się do platońskiej interpretacji tej niezwyklej korespondencji kategorii pojęciowych czystej matematyki i przyrodniczych regularności. „Sądzę, że koniecznym założeniem, bez którego nie można wyjaśnić matematyczności przyrody jest założenie głoszące, iż rzeczywistość obserwowanego substratu fizycznego jest wtórna i drugorzędna w stosunku do rzeczywistości struktur matematycznych i relacji formalnych, które znajdują egzemplifikację w konkretnych procesach fizycznych”⁴⁷.

Ten podstawowy poziom ontyczny metropolita lubelski nazwał „polem racjonalności”. „W strukturach pola racjonalności jest zakodowany <<zbiór>> wszystkich stanów fizycznych, które w zasadzie mogłyby znaleźć realizację fizyczną w istniejącym wszechświecie. Racjonalność opisywanych w logice przekształceń i struktur nie jest wynikiem przypadku, konwencji czy uogólnienia zauważonych prawidłowości. Obserwowana matematyczność przyrody jest determinowana przez pole racjonalności, które istnieje realnie, choć w odmienny sposób niż znane nam obiekty fizyczne. Pole to określa <<zbiór>> potencjalnych form rozwoju wszechświata, analogicznie jak geny określają zbiór możliwości biologicznego rozwoju osobnika”⁴⁸.

Już w średniowieczu podejmowano kwestię *intelligibilitas entis* – zrozumiałości bytu. Struktura wszechświata – harmonijnie uporządkowana według zasad arystotelesowskiej metafizyki – przypominała ożywiony organizm. Kosmos postrzegano jako celowy i sensowny. Teza o matematyczności przyrody podtrzymuje średniowieczne przekonanie o harmonii Kosmosu, choć diametralnie zmienił się kontekst odkrycia i uzasadnienia postulowanych twierdzeń. Miejsce metafizycznych spekulacji zastąpiły rezultaty nauk przyrodniczych.

Świat pozbawiony własności matematyzacji oznaczałby irracjonalność przyrody i prawdopodobnie nie mógłby w ogóle zaistnieć. Przyroda matematycznie transcendentna, czyli niedostępna naszym możliwościom poznawczym, albo matematycznie zbyt skomplikowana, uniemożliwiłaby odkrycie praw rządzących Kosmosem⁴⁹. Już Einstein zachwycił się, że Natura ma strukturę skomplikowaną, ale nie złośliwą.

⁴⁶ M. Heller, J. Życiński, *Matematyczność przyrody*, Kraków 2010, s. 21.

⁴⁷ J. Życiński, *Filozoficzne aspekty matematyczności przyrody*, w: M. Heller, A. Michalik, J. Życiński (red.), *Filozofować w kontekście nauki*, Kraków 1987, s. 175.

⁴⁸ Tamże, s. 180.

⁴⁹ Zob. M. Heller, J. Życiński, *Pasja wiedzy. Między nauką a filozofią*, Kraków 2011, s. 213.

Rozwój matematyki i badań przyrodniczych ujawnił wyrafinowaną racjonalność i ukryty ład nawet w tych procesach, które wydawały się chaosem, jak np. turbulencja w przepływie cieczy. Prace Mandelbrota dotyczące fraktali czy też „motyl Lorenza” wyrażający funkcjonowanie tzw. atraktora, zmuszają do odejścia od prostych schematów empiryzmu. Stanowią jednocześnie nową odsłonę tajemniczego arcyzmu przyrody, który potrafimy coraz lepiej wyrazić w precyzyjnym języku matematyki.

Abp Życiński zgadzał się ze stwierdzeniem Richarda Feynmana, że „ci, którzy nie rozumieją matematyki, nie uświadamiają sobie piękna wszechświata”, tzn. nie potrafią zrozumieć istoty kosmicznej harmonii wyrażanej przez matematyczny formalizm teorii przyrodniczych⁵⁰.

W rozważanym kontekście warto wspomnieć o tzw. zasadach antropicznych, które ukazują wzajemne powiązanie między faktem istnienia życia we wszechświecie a globalnymi własnościami kosmosu. Nie jest trywialnym fakt istnienia kosmicznych koincydencji, takich jak rozmiary naszego wszechświata, jego wiek, liczbowe wartości szeregu parametrów astrofizycznych i chemicznych. Białkowe formy życia nie mogłyby się rozwijać w każdych warunkach kosmicznej ewolucji. Życiński w książce „Bóg i ewolucja” podkreślał konieczność zachowania metodologicznej dyscypliny w prowadzonych badaniach. „Pytanie o to, czy owe kosmologiczne powiązania należy uważać za przypadek, czy też za przejaw ukrytej celowości przyrody, wykracza poza poznawcze kompetencje nauk przyrodniczych. Jednakże w filozoficznych rozważaniach dotyczących tego problemu trzeba postawić pytanie, jak wyjaśnić tę zagadkową kosmiczną korelację”⁵¹. Metropolita lubelski dostrzegał harmonię kosmosu także w możliwości dopełniania się uwarunkowań deterministycznych i celowościowych. Te ostatnie, podejmowane jako strukturalne ukierunkowanie układu, unikają zarzutów o antropomorficzne obciążenia.

Przeciw fundamentalizmom

Józef Życiński w swoich pracach bardzo często powracał do podstawowego rozróżnienia między naturalizmem metodologicznym i ontologicznym. Pierwszy, postulujący w badaniu przyrody odwoływanie się jedynie do fizycznych aspektów rzeczywistości, określa ramy naukowego dyskursu. Do ukonstytuowania się *natural science* przyczynił się w dużej mierze Galileusz, który zrezygnował z wyjaśnień metafizycznych i teologicznych w procesie zdobywania wiedzy przyrodniczej. Nie odrzucał potrzeby metafizyki czy teologii w rozumieniu świata, jednak zdecydowanie wyodrębnił kompetencje poznawcze poszczególnych dyscyplin. Unifikacja

⁵⁰ Zob. M. Heller, J. Życiński, *Matematyczność przyrody...*, dz. cyt., s. 29-30.

⁵¹ J. Życiński, *Bóg i ewolucja. Podstawowe pytania ewolucjonizmu chrześcijańskiego*, Lublin 2002, s. 96.

dokonywała się dopiero na poziomie metanaukowym przez ukazanie jedności prawd odkrywanych w autonomicznych badaniach przedmiotowych. „Realizm i krytycyzm tego podejścia sprawia, że w tekstach sprzed 350 lat można odnaleźć uderzające zbieżności z rozwiązaniami współczesnej filozofii nauki”⁵².

Naturalizm ontologiczny polega natomiast na strategii redukcjonistycznej: ogranicza istniejące obiekty i zjawiska do rzeczywistości dostępnej wyłącznie naukom przyrodniczym. Przekraczanie granic rzetelnej metodologii prowadzi do mocnych tez metafizycznych, w których określa się, jakim bytom przysługuje istnienie. Zwolennicy tego ujęcia sugerują, że ich przekonania światopoglądowe są implikacją rezultatów badań w zakresie *natural science*. „Tę postać materialistycznego redukcjonizmu opatruje się w języku angielskim mianem *nothingbutism*, co na polski można przełożyć jako «nicwięcyzm»”⁵³. Wydaje się, że jednowymiarowość obrazu świata, uzyskana przy użyciu tego rodzaju „brzytwy Ockhama”, ma więcej wspólnego z ideologią niż z merytoryczną wiedzą naukową. W mojej opinii, do dyskusji z ateistycznymi poglądami Richarda Dawkinsa, Carla Sagana czy Stephena Hawkinga, motywowała Życińskiego bardziej elementarna wrażliwość epistemologiczna niż religijna apologetyka. „Nie należy zgłaszać pretensji do Dawkinsa, że nie podziela on poglądów papieża i zachowuje dystans do filozoficznej interpretacji uznawanej przez wielu biologów. Pretensje takie pozostają jednak uzasadnione, gdy lekceważy on elementarne zasady metodologii”⁵⁴.

Postawa materializmu ontologicznego stanowi świadectwo *filozoficznej pychy*, o której pisał Jan Paweł II w encyklice „Fides et ratio”. Własnej, niekompletnej perspektywie nadaje się rangę interpretacji uniwersalnej. Towarzyszy temu złudne przekonanie, że nauka odpowie na wszystkie pytania: „Czego nie możemy osiągnąć dzisiaj, osiągniemy jutro”. Dogmatyzm takiego podejścia uniemożliwia jakikolwiek dialog. Warunkiem bowiem wzajemnej komunikacji jest rezygnacja z monopolu na prawdę, co nie oznacza rezygnacji z prawdy.

Popperowska koncepcja przybliżania się do prawdy, akceptowana przez metropolitę lubelskiego, wpływała na jego postawę dystansu wobec religijnych fundamentalizmów, które przejęły dziedzictwo oświeceniowej fizyko-teologii. Życiński krytycznie odnosił się do pomysłów typu *creation science* czy *intelligent design*, które włączały Stwórcę do naukowego obrazu świata. „Uwzględnianie obecności Boga w przyrodzie dokonuje się jednak na poziomie filozofii lub teologii, nie zaś w naukach przyrodniczych”⁵⁵.

⁵² J. Życiński, *Język i metoda*, Kraków 1983, s. 135.

⁵³ J. Życiński, *Wszechświat emergentny. Bóg w ewolucji przyrody*, Lublin 2009, s. 15.

⁵⁴ J. Życiński, *Bóg niepojęty*, w: A. McGrath, J. Collicutt McGrath, *Bóg nie jest urojeniem. Złudzenie Dawkinsa*, tłum. J. Wolak, Kraków 2007, s. 117.

⁵⁵ J. Życiński, *Bóg i stworzenie. Zarys teorii ewolucji*, Lublin 2011, s. 25.

Koncepcja *God of the gaps*, uzupełniająca mocą Stwórcy braki wiedzy przyrodniczej, stanowi karykaturę immanentnego Bożego Logosu, od którego wywodzi się piękno Wszechświata. „Jeżeli ktoś ocenia krytycznie teorię inteligentnego projektu, nie znaczy to, że automatycznie kwestionuje obecność Bożych planów w złożonym procesie ewolucji przyrody. Znaczy tylko, iż plany te mogą być o wiele bardziej złożone niż skłonni są uznać to walczący współcześnie z ewolucjonizmem zwolennicy ID”⁵⁶. Przecistawianie dzieła stworzenia biologicznej teorii ewolucji nie służy argumentacji za chrześcijańską wizją świata. Niechęć do ateistycznych ideologów ewolucjonizmu generuje fundamentalizm o przeciwnym zwrocie, który w założeniu miał pełnić funkcje apologetyczne, a tymczasem pozostaje w sprzeczności z nauczaniem Jana Pawła II⁵⁷.

Zanurzeni w Bogu

Metropolita lubelski często w debacie o relacjach nauka – wiara powracał do przesłania Jana Pawła II z 1987 r., skierowanego do o. George’a Coyne’a, ówczesnego dyrektora Obserwatorium Watykańskiego. „Czy nauka i religia – pytał papież – przyczynią się do integracji ludzkiej kultury, czy do jej fragmentaryzacji? (...) Nie można bowiem już dłużej akceptować prostej neutralności (...). Jedność, której poszukujemy, nie jest identycznością. Kościół nie proponuje nauce, by stała się religią, ani religii, by stała się nauką. (...) Jesteśmy wezwani do stania się jednym. Nie jesteśmy wezwani do stania się jedni drugimi. Chrześcijaństwo posiada źródło swojego usprawiedliwienia w sobie i nie oczekuje, by nauka tworzyła jego fundamentalną apologetykę. (...) Tak religia, jak i nauka mogą i powinny podtrzymywać się nawzajem jako różne wymiary kultury ludzkiej”⁵⁸.

Abp Życiński, szukając tej unifikującej wizji świata, proponował obraz Boga, który odczytywał przede wszystkim z Księgi Pisma. Jednocześnie, podążając w swoich rozważaniach filozoficzno-teologicznych za Whiteheadem, autor „Wszechświata emergentnego” ujmował Stwórcę jako „czynnik uniesprzeczniający, którego brak niszczyłby harmonię naszego opisu rzeczywistości i uniemożliwiał pełne zrozumienie zachodzących procesów”⁵⁹.

Nigdy nie zapomniał, że Bóg jest tajemnicą. Daje motywy do wiary, ale do niej nie zmusza. Podkreślanie immanencji Logosu, „w którym żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 18), współgrało z tezą o kosmicznej

⁵⁶ Tamże, s. 25-26.

⁵⁷ Zob. J. Życiński, *Bóg i ewolucja...*, dz. cyt., s. 38.

⁵⁸ Jan Paweł II, *Posłanie Jego Świątobliwości do Ojca George’a Coyne’a, Dyrektora Obserwatorium Watykańskiego*, w: S. Wszolek (red.), *Refleksje na rozdrożu...*, dz. cyt., s. 243-244.

⁵⁹ M. Heller, J. Życiński, *Pasja wiedzy...*, dz. cyt., s. 19.

kenozie Stwórcy. W swoim ujęciu kenozy metropolita lubelski akcentował nie tyle wyniszczenie Boga, ile Jego subtelne ukrycie się. Już Pascal wskazywał, że można znaleźć wystarczająco dużo światła dla tego, kto chce wierzyć i wystarczająco dużo ciemności dla tego, kto wierzyć nie chce⁶⁰. Postulowany panenteizm („wszystko jest w Bogu”) przybliżał ukrytą obecność Boga, umożliwiał rozpoznanie Go również w Księdze Natury, która – paradoksalnie – objawia i zasłania tajemnicę Stwórcy, jak obłok towarzyszący Izraelitom podczas wędrówki przez pustynię.

Autor „Medytacji sokratejskich” zwracał uwagę, że uproszczone rozumienie transcendencji Boga może doprowadzić do abstrakcyjnej wizji Nieruchomego Poruszyciela, który kieruje biegiem przyrody z odległych niebios. Dlatego starał się rozwijać augustyńską koncepcję, gdzie Bóg objawiał swą obecność nie tylko w statycznym porządku kosmosu, lecz również w procesie rozwoju przyrody podporządkowanej niezmiennym prawom. Metropolita lubelski nawiązywał do tez Aubreya L. Moore’a, który w XIX wieku bronił teizmu ewolucyjnego i podkreślał znaczenie immanencji Stwórcy: „Ci, którzy przeciwstawiają się doktrynie ewolucji, broniąc «ustawicznych interwencji» Boga, prawdopodobnie nie zdolali zauważyć, iż teoria wyjątkowej interwencji zakłada jako swoje dopełnienie teorię stałej nieobecności”⁶¹. Bóg cudów i nadzwyczajnych wydarzeń jest przede wszystkim Bogiem harmonii i ładu.

Świat przyrody jako dziedzina teofanii to również ważny temat w twórczości ks. Jana Twardowskiego. Życiński często posługiwał się whiteheadowskim określeniem Boga - „subtelny Poeta Świata”, a wiersze ks. Jana od Biedronki stawały się artystyczną ilustracją do wyrafinowanych filozoficznych koncepcji.

„Odejść od świata – zanurzyć się w Bogu
a potem znowu być tutaj z powrotem
albo powiedzieć – Już widzę odwrotnie
to co nieważne takie ważne teraz

Odejść od świata – zanurzyć się w Bogu
i znowu potem powrócić na ziemię
uścisnąć małpę i ostre kamienie
żółwie bo idą najwolniej do ślubu
Wszystko co przyszło z Niewidzialnej Ręki”⁶².

Bóg przenikający rzeczywistość sprawia, że wszechświat nabiera znaczenia sakramentalnego. Wszechobecność Stwórcy czyni

⁶⁰ Zob. B. Pascal, *Myśli*, tłum. T. Żeleński (Boy), Warszawa 1989, s. 325-326.

⁶¹ A. L. Moore, *Science and Faith*, cyt. za J. Życiński, *Trzy kultury...*, dz. cyt., s. 146.

⁶² J. Twardowski, *Powrót*, w: J. Twardowski, *Wiersze*, Białystok 1994, s. 296.

z rzeczywistości, w której żyjemy, teosferę - pole oddziaływania natury i łaski. „Sakramentalność przyrody jest rozumiana jako jej podatność na zaktualizowanie tych potencjalności, w których wyraża się podporządkowanie Bożym planom rozwoju”⁶³. Boski Kompozytor nie tylko proponuje harmonię *humanum* i *sacrum*, ale umożliwia taką integrację.

Po stronie ewolucji i po stronie Kościoła

W ostatnich latach życia metropolita lubelski poświęcił wiele uwagi zagadnieniu ewolucjonizmu chrześcijańskiego, w którym dostrzegał kolejny przejaw bosko – ludzkiej symfonii. Ewoluująca przyroda nie jest dziełem ślepego przypadku, ani zwykłą realizacją koniecznych związków, na które przedstawiciele *homo sapiens* nie mają żadnego wpływu. „Jak podkreślał abp Frederick Temple, Bóg nie uczynił stworzonych rzeczy w stanie gotowym do użytku. Sprawił On natomiast, że świat rzeczy ciągle się staje, także dzięki naszej współpracy ze Stwórcą”⁶⁴.

Abp Życiński również w tej kwestii pozostawał wierny nauczaniu Magisterium Kościoła, szczególnie inspirowały go wypowiedzi Jana Pawła II. Papież powiedział znamienne słowa 22 października 1996 r. podczas sesji plenarnej Papieskiej Akademii Nauk: „Nowe zdobycze nauki każą nam uznać, że teoria ewolucji jest czymś więcej niż hipotezą. Zwraca uwagę fakt, że teoria ta zyskiwała stopniowo coraz większe uznanie naukowców w związku z kolejnymi odkryciami w różnych dziedzinach nauki”⁶⁵. W duchu papieskiego przesłania autor „Medytacji sokratejskich” szukał twórczego powiązania myśli chrześcijańskiej i różnych wersji ewolucjonizmu.

Istotną kwestią, która nie pozwala zbyt łatwo i optymistycznie mówić o pięknie wszechświata, jest problem cierpienia. „Pełnej prawdy o Bogu ewolucji nie poznamy, poprzestając na dyskusjach o celowości procesów czy uniwersalności praw przyrody. Ból ewoluującego świata stanowi zagadnienie nie mniej istotne od pytania o mechanizmy ewolucji biologicznej”⁶⁶. Jak pogodzić doświadczenie cierpienia z wiarą w sens rozwijającego się Kosmosu? Czy Boży program zadany przyrodzie musi obejmować kataklizmy, narodziny niepełnosprawnych dzieci, choroby nowotworowe? „Dramat ludzkiego cierpienia pojawia się w wyniku korelacji między uniwersalnymi prawami przyrody a konkretem warunków fizycznych, do których stosują się te prawa. Na poziomie fizycznego opisu

⁶³ J. Życiński, *Wszechświat emergentny...*, dz. cyt., s. 61.

⁶⁴ F. Temple, *The Relations between Religion and Science*, cyt. za J. Życiński, *Bóg i stworzenie...*, dz. cyt., s. 70.

⁶⁵ Jan Paweł II, *Magisterium Kościoła wobec ewolucji. Przesłanie Ojca Świętego do członków Papieskiej Akademii Nauk*, „L'Osservatore Romano” 18, 1997, nr 1, s. 18-19.

⁶⁶ J. Życiński, *Bóg i ewolucja...*, dz. cyt., s. 145.

występuje tu zwyczajne funkcjonowanie uniwersalnych praw. Na poziomie ludzkiego doświadczania pojawia się dramat bólu”⁶⁷.

Cierpienie jest wpisane w ludzką egzystencję i kształtuje naszą osobowość równie mocno jak fascynacja pięknem, relacje międzyludzkie, wiara religijna. Wyzwaniem pozostaje odkrycie tajemniczego sensu cierpienia. Logos – Syn Boży przez kenozę Golgoty i poranek wielkanocny okazuje solidarność z każdym cierpiącym człowiekiem i niesie nadzieję zmartwychwstania. Jak pisał T.S. Eliot, „ciemność przypomina nam o świetle”⁶⁸.

Świadek Niewidzialnego

Pierwszy raz spotkałem Józefa Życińskiego w latach 80-tych. Jako wykładowca metodologii zachwycił erudycją, ale również pociągał jako kapłan, gdy siedł w przerwie między zajęciami do seminaryjnej kaplicy. Być może rozmawiał z Bogiem słowami „Modlitwy o unitarną teorię pola”, napisanej przez Michała Hellera⁶⁹. Na pewno należał do grona tych, dla których była ona bliska i zrozumiała.

„Modlę się do Ciebie

Boże

równaniem Einsteina

ścisłością myśli

i pięknem symboli

krzywizną czasoprzestrzeni

i tensorem pędu

i tym wszystkim

co jest w tym równaniu

zapisane

a czego dotychczas

nie wiemy

Modlę się do Ciebie

Boże

o jeszcze piękniejsze równanie

takie które by Ciebie

zupełnie zasłaniało

które by wyjaśniało świat

samym światem

a prawa przyrody innymi prawami

Stwórcu daj nam zrozumieć

⁶⁷ Tamże, s. 147.

⁶⁸ T. S. Eliot, *Opoka*, tłum. Wł. Krysiński, w: *Niewidzialne światło. Z abp. Józefem Życińskim rozmawiają Dorota Zańko i Jarosław Gowin*, Kraków 1998, s. 263.

⁶⁹ M. Heller, *Spotkania z nauką*, Kraków 1974, s. 137-138.

że gdy wypełniamy Tobą luki naszej wiedzy
nie jesteśmy bliżej lecz dalej
że Ty jesteś we wszystkim
a nie tam gdzie nic nie ma
że tylko myśl obejmująca wszystko
może dotknąć Ciebie

Proszę
by danym mi było kiedyś
modlić się do Ciebie
tym najpiękniejszym równaniem”



Ks. dr Jacek Marciniec (*fot. B. Wszolek*)

Moja droga do religii

Konrad Maria Paweł Rudnicki

[Kopia tekstu opublikowanego przez autora w 2008 roku w formie broszurki]

Historia tego tekstu

Tekst powstał w latach 2005-2006 na prośbę niemieckiego duchownego Wspólnoty Chrześcijan, znającego z rozmów ze mną niektóre moje przeżycia. Chciał, abym opisał je dla zamieszczenia w tomie podobnych świadectw innych osób, przez niego przygotowywanym do druku. Pierwszą wersję tekstu przyjął, prosił jednak o uzupełnienie jej dalszymi znanymi sobie faktami. O takie uzupełnienia prosił jeszcze dwukrotnie. Tekst się rozrósł. Wtedy zaproponował, że on, jako redaktor, skróci go do potrzebnych rozmiarów. Niestety, nie pozwalałam redaktorom wchodzić za bardzo w moje teksty. Propozycja, abym sam dokonał skrótów okazała się niewykonalna ze względu na terminy. W rezultacie nie opublikowany tekst – w języku niemieckim – pozostał w komputerze. Ponieważ moi bliscy prosili mnie kiedyś o napisanie osobistych wspomnień religijnych, pozwalałam sobie przetłumaczyć go obecnie na polski i powielić. Tekst jest pisany pod ściśle określone zamówienie. Gdybym go sam komponował, pewnie opisałbym inne sprawy, a pewnych zaniechał. Napisałbym więcej o mariawickiej drodze kapłańskiej, natomiast nie pisałbym tyle o mojej rodzinie, ale dla obcokrajowca takie właśnie dzieje rodziny – w Polsce normalne – były frapujące. I tak sobie myślę, że może to i lepiej, że spis zagadnień nie pochodzi ode mnie, ale został mi narzucony. Może przez to całość staje się bardziej obiektywna. Ale to tylko wymówka. Szczerze mówiąc nie piszę nowych wspomnień po prostu z lenistwa. Tłumacząc na polski pozwoliłem sobie tylko opuścić pewne wyjaśnienia zbędne dla Polaka, jak na przykład, co to było Powstanie Styczniowe, czy też, czym było Z.W.Z. Przeciwnie, podałem nazwy miejscowości i nazwiska osób, które dla Niemców niczego by nie mówiły, a dla polskiego czytelnika mogą się okazać interesujące. Dodałem też dalsze odsyłacze u dołu stronic.

Moja rodzina

Jestem późnym synem mego ojca, a mój dziadek był późnym synem pradziadka. Tak, że mój pradziadek urodził się jeszcze w niepodległej Polsce w roku 1790. W 1795 roku nastąpił trzeci rozbiór Polski. Od tego czasu moi przodkowie, jak przysiało na Polaków, albo walczyli o wolność, albo pomagali walczącym. Mój pradziadek, Józef Rudnicki, walczył w Powstaniu Listopadowym. Za to car skonfiskował mu majątek i skreślił go z rejestru szlachty. Pradziadek stał się wtedy „kolonistą”, osiedlił się na odległej wsi,

a na chleb codzienny zarabiał jako wiejski nauczyciel. Dziadek ze strony matki, Antoni Szukiewicz, brał udział w Powstaniu Styczniowym. Udało mu się wrócić nierozpoznanym do domu i dopiero za udział w rewolucji 1905 roku został skazany na dożywotnią katorgę. Zwolniony przez rosyjską rewolucję 1917 roku wrócił z Syberii kaleki, ale radujący się życiem i w późnym wieku uczył mnie jeszcze dawnych pieśni patriotycznych. Niektóre z nich poznał za młodu od napoleońskich żołnierzy. Moje dwie ciotki, Anna i Joanna, też były sybiraczkami. Wprawdzie carski prokurator dla Anny, w której domu odkryto magazyn broni, żądał kary śmierci, ale była właśnie w ciąży. I tak to moja ukochana kuzynka Marysia (20 lat starsza ode mnie) urodziła się w carskim więzieniu i tam spędziła z swoją matką pierwszy rok życia. Dopiero potem ciotkę odesłano na katorgę, a Marysię oddano pod opiekę naszej babki – Tekli Szukiewiczowej, która wówczas samotnie, z pomocą tylko najmłodszej córki Marii (przyszłej mojej matki), zarabiała jako szwaczka na życie swoje i starszych wnucząt, bo ojciec Marysi, Marian Malinowski, który właśnie uciekł z więzienia musiał się ukrywać i nie miał możliwości pomagania. Ta sama Marysia, która w czasie okupacji hitlerowskiej pracowała w warszawskiej Delegaturze Rządu na Kraj, nie wpadła wprawdzie w ręce Gestapo, ale natychmiast po wypędzeniu hitlerowców została schwytana przez NKWD i z obozu na Uralu wróciła dopiero po śmierci Stalina. 6 osób z dalszego kręgu moich krewnych przypłaciło życiem polityczną działalność. Krewnych, którzy za działalność patriotyczną lub socjalistyczną spędzili w aresztach tylko krótki czas nie ma sensu wspominać.

Moi rodzice poznali się na początku XX wieku, jako członkowie Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS). Ojciec, Lucjan, był „okręgowcem” (politycznym kierownikiem okręgu) a matka pod kierunkiem towarzysza Wiktora (Józefa Piłsudskiego) przygotowywała w tajnym laboratorium bomby⁷⁰ na carskich dygnitarzy. Szesnastoletniej, używającej fałszywych dokumentów, na nazwisko Franciszka Koza (stąd pseudonim Frania), mój ojciec wcale się nie podobał. Ale gdy później z więzienia oświadczył się jej listownie, nie miała sumienia odpowiedzieć „nie”. Potem, gdy uciekł z zesłania spod kręgu polarnego, wzięli cichutki ślub w zakrystii jednego z radomskich kościołów i zanim imiona nowożeńców zidentyfikowała carska policja, szybko i półlegalnie przekroczyli granicę niemiecką. W Bremie, gdzie ojciec pracował jako szlifierz marmurów, pod wpływem

⁷⁰ Dużo później – już siedemdziesięcioletnia – była w oczach moich synów, którzy właśnie odkryli w sobie zainteresowania pirotechniczne, nie tylko kochaną babcią, ale osobą godną wszelkiego respektu: „Babcu, jak się robi bomby?”. I babcia z technicznymi szczegółami wyjaśniała, jak się zbija drewnianą skrzynkę, wypełnia materiałem wybuchowym (chłopcy nie puszczali mimo ucha żadnego słowa), ...a tu przychodzi najważniejsze, zapalnik wypełniony” – oczy chłopców błyszczały coraz bardziej -och, zapomniałam jak się nazywała ta substancja.” – pełne rozczarowanie!

działaczy robotniczych zmienili orientację polityczną i, gdy okoliczności pozwoliły im powrócić do zaboru rosyjskiego, pracowali już jako przekonani komuniści dla Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL). Za tę działalność ojciec jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej dostał się do „Obozu Jeńców Cywilnych” (Zivilgefangenenlager) w Hawelbergu. Potem został współzałożycielem Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (KPRP). Matka po wojnie dostała wprawdzie – ze względu na te bomby – Krzyż Niepodległości, ale była dwa razy aresztowana za komunistyczną działalność (raz wprost ściągnięta z trybuny w czasie przemówienia), ale na osobisty rozkaz Piłsudskiego była zaraz zwalniana. Do wujka Mariana (ojciec wspomnianej wcześniej Marysi), który był wtedy jednym z jego bliższych współpracowników, Marszałek mówił: Frania? Jaka tam z niej komunistka! Takie dziecko. Zwolnić!

Miał ją stale w pamięci – szesnasto- siedemnastoletnią, słoneczną dziewczynę, która z powagą składała pracowicie bomby z dostarczonych materiałów.

Moja młodość

Urodziłem się w 1926 roku, jako trzecie dziecko moich rodziców. Mój starszy brat zmarł w wieku 16 lat, na dwa lata przed moim urodzeniem, zaś 21 – letnia siostra odeszła z tego świata, gdy miałem pięć lat. Właściwie od dzieciństwa byłem jedynakiem. Ojciec był urzędnikiem Magistratu Miasta Warszawy, a matka, choć miała aż trzy zawody (szwaczka, położna i bibliotekarka), pracowała zawodowo tylko od czasu do czasu. Od roku 1933 ojciec odszedł dobrowolnie z magistratu na wcześniejszą emeryturę i pracował tylko jako publicysta i literat. Polityczna praca rodziców ograniczała się w czasie mojego dzieciństwa do przekazywania sobie w kręgu znajomych nielegalnej komunistycznej literatury. Mieliśmy mieszkanie w Warszawie i dom w Sulejowie nad Pilicą – rodzinnym mieście ojca. Z początku prawie cały czas spędzałem w Sulejowie, potem, gdy byłem w starszych klasach szkoły powszechnej i w początkach gimnazjum, przebywaliśmy więcej w Warszawie. Dom w Sulejowie służył jako wakacyjny i do spokojnej pracy ojca. Obie nasze siedziby były gościnne dla partyjnych towarzyszy, krewnych i przyjaciół. Byłem więc pod wpływem najróżniejszych idei i ideologii. Rodzice byli ateistami, ale nie mieli nic przeciw temu, aby mnie małego zabierały czasem ciotki na rzymskokatolickie nabożeństwa. Jeden z moich wujków był narodowcem, inni byli po prostu patriotami, jeszcze inni byli ukształtowani socjalistycznie. Rodzice byli komunistami, a przecież matka miała osobistą skłonność do Piłsudskiego. W szkole uczono mnie szacunku do polskiej historii, do bohaterów narodowych. Jako uczeń musiałem brać udział w lekcjach religii a także w niektórych rzymskokatolickich nabożeństwach. Do tego oboje

rodzice śpiewali po polsku, ukraińsku i rosyjsku. Niektóre pieśni były rewolucyjne, ale inne patriotyczne, również patriotyczne ukraińskie, a bywały i prawosławne rosyjskie, jeszcze inne pochodziły z kręgów wolnomularskich (ojciec się przyjaźnił z pewnymi masonami rosyjskimi i polskimi). Zdarzały się pobożne pieśni katolickie i prawosławne – matka śpiewała wszystko, co miało według niej wartość artystyczną.

W roku 1939 mając 13 lat w czasie wakacji przeżyłem pierwszą miłość. Ona, Lusia, była 11-letnim żydowskim dziewczęciem. Córka naszych przyjaciół i sąsiadów w Sulejowie.

Wybuchła wojna. Musieliśmy opuścić nasze warszawskie mieszkanie uszkodzone przez ostrzał artyleryjski i przenieść się ze wszystkim do Sulejowa. Ojciec został niedługo ostrzeżony przez znajomego folksdojczę, że znajduje się na liście wybitniejszych Polaków, co oznaczało w najbliższym czasie wywózkę do obozu koncentracyjnego. Musiał wyjechać z Sulejowa i ukrywał się aż do końca wojny. Matka rozповідаła „z rozpaczą” sąsiadom, że po przeszło trzydziestu latach małżeństwa nagle ją opuścił mąż i zostawił samą z dzieckiem. W małym miasteczku wszyscy – również Niemcy – szybko już wiedzieli, co się zdarzyło w rodzinie Rudnickich. W ten sposób mogliśmy mieć słuszną nadzieję, że żadna żandarmeria nie będzie nas pytać o miejsce pobytu ojca. Matka podjęła znów praktykę położniczą. Ojciec ukrywając się, tylko z rzadka przysyłał nam pomoc. Nasza polityczna działalność była bardzo ograniczona. Jak większość Polaków uczestniczyliśmy w wymianie tajnych gazetek. Raz na mojej maszynie do pisania przepisałem przez kalkę z 5 kopiami instrukcję obsługi karabinu maszynowego dla Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Nic poza tym.

Ponieważ dla Polaków było dostępne tylko kilka klas szkoły powszechnej i pewne szkoły zawodowe, kontynuowałem naukę w tajnym gimnazjum i liceum w pobliskim Piotrkowie Trybunalskim. Ale codzienne dojazdy z Sulejowa na komplety szkolne mogłyby wzbudzić zainteresowanie okupanta i ściągnąć niebezpieczeństwo nie tylko na mnie, ale i na tajną szkołę. Musiałem się więc uczyć w domu i zdawać co rok w Piotrkowie egzaminy jako ekstern. Mogłem bez problemów sam, z pomocą książek, przerabiać takie przedmioty jak matematykę, historię, biologię. Do języków potrzebowałem jednak pomocy. Przy nauce łaciny pomagała mi młoda maturzystka, Szustrówna. Godziny niemieckiego prowadziła ze mną niejaka pani Andrzejewska, wysiedlona z Poznańskiego. Zdobyła ona wykształcenie w niemieckich szkołach, jeszcze przed pierwszą wojną światową i była jedną z niewielu osób, które umiały jasno odróżnić niemieckość od hitleryzmu. Utrzymywała się z lekcji niemieckiego, oczywiście nielegalnych (to Niemcy powinni się nieco nauczyć polskiego, zaś Polacy nie powinni rozumieć, co Herrenvolk mówi między sobą). W małym miasteczku niewielu miała uczniów, a za to dużo czasu. Dużo czasu miałem i ja. Nasze niemieckie

godziny trwały znacznie dłużej niż 45 lub 60 minut. A jakież były one interesujące! Nawet przed wojną w szkołach przepisana lekturę niemiecką przerabiano się w niewielu fragmentach, powierzchownie. A my studiowaliśmy długie akapity tekstów starogermańskich i staroniemieckich, niemało utworów Goethego i Schillera, również pewne współczesne nowele. Kontakt z niemieckim językiem i kulturą, który wtedy zdobyłem, pomógł mi potem w wielu wydarzeniach mego życia.

Nadszedł rok 1942. Żydzi z Sulejowa zostali wywiezieni do obozu śmierci w Treblince. Lusia, jej rodzice i krewni, częściowo ze sfalszowanymi lub cudzymi dokumentami, opuścili Sulejów w noc poprzedzającą wywózkę i schronili się w różnych ukryciach⁷¹. A potem przychodziły wiadomości, że ta lub inna osoba została odkryta przez policję i rozstrzeliwana wraz z Polakami, którzy udzielili jej schronienia. Niebawem z Lusią utraciłem jakikolwiek kontakt. Pozostało tylko pragnienie, aby ona przeżyła. Nie, nie pragnienie, ta myśl przybrała postać pewności: ona przeżyje.

Partyzantka

W 1939 roku skapitulowały przed Niemcami pojedyncze polskie armie, pojedyncze twierdze i miasta. Ale Polska jako państwo i jej siły zbrojne jako takie nie skapitulowały nigdy. Grupy partyzanckie formułowane już od roku 1940 uważaliśmy za dalszy ciąg polskiej regularnej armii. Władze niemieckie traktowały je jako bandy. Ale sytuacja szybko się skomplikowała. Oprócz „regularnych” oddziałów podlegających rządowi na emigracji, pojawiły się zbrojne organizacje różnych partii politycznych: komunistyczne, socjalistyczne, chłopskie, nacjonalistyczne – najrozmaitsze. Moi koledzy i ja marzyliśmy o dostaniu się do partyzantki. Było mi obojętne do jakiej organizacji. W mojej rodzinie istniały nie tylko komunistyczne tradycje. Ponadto po prostu pragnąłem mścić się. (tak, byłem mściwy) na mordercach popełniających nowe zbrodnie w Polsce. Najpierw zdobyłem kontakt z ZWZ-em i z jego dalszym ciągiem – Armią Krajową. Owszem, gotowi byli mnie, siedemnastoletniego, przyjąć do oddziału partyzanckiego. Warunkiem było posiadanie własnej broni i amunicji. Nie miałem jej i nie widziałem żadnej możliwości, abym mógł rozbroić niemieckiego żołnierza. I oto raz po zmroku zaszedł do nas mój dawny kolega, Józek Tarnowski. Był partyzantem Komunistycznej Gwardii Ludowej. „Teraz cię nie mogę wziąć ze sobą, ale się przygotuj. Albo niedługo przyjdę, albo ci dam znać.” Matka

⁷¹ Sporo metryk urodzenia i innych dokumentów naszych zmarłych członków rodziny przekazaliśmy różnym osobom. Jedna z ciotek Lusi, która była zewnętrźnie zupełnie podobna do mojej zmarłej siostry otrzymała komplet jej dokumentów, niektóre z fotografiami. Starsza pani, która wtedy nie mogła opuścić Sulejowa na piechotę (a innej bezpiecznej możliwości nie było), ukrywała się przez wiele tygodni w naszym domu. Za to moja matka i ja dostaliśmy medal Jad Waszem, a mnie później nadano honorowe obywatelstwo państwa Izrael.

mi przygotowała ubranie, które mogło zastąpić mundur, plecak, przyzwoite buty z tych, jakie wówczas mogła kupić. I rzeczywiście w grudniu 1943 roku ktoś mi przyniósł karteczkę z wiadomością, że kolega czeka na mnie w domu pod lasem. I tak zostałem ludowym gwardzistą. Codzienne życie partyzanckie wypełniały drobne akcje lub ćwiczenia. Uczestniczyłem też w 11 bitwach i większych potyczkach.

Moją pewność, że Lusia przeżyje uzupełniłem w partyzantce pewnym obrazem. Rozwijałem go w wyobraźni, gdy stałem na warcie lub gdy w ogóle miałem czas do rozmyślań: wojna się kończy, wracam do Sulejowa, do rodziców, kilka godzin później wraca Lusia, nie ma własnego domu, przychodzi do nas. To było więcej niż marzenie. Jak mógłbym to określić? Medytacja? Ateistyczna modlitwa? Obraz był stale ten sam, a rysowałem go coraz to ostrzejszymi zarysami.

Chcę tu jeszcze opisać dwa ważne epizody.

W czasie jednej z pacyfikacji zastosowano przeciw nam podobną taktykę, jaką stosuje się w polowaniu z nagonką. Las przeczesywała powoli linia piechoty, podczas, gdy druga linia zajęła pozycję w przydrożnym rowie na brzegu starego lasu – żołnierz od żołnierza w odległości około 30 metrów. Za tą linią, z drugiej strony drogi mały pas nie zarośnięty i dalej gęsty zagajnik iglasty. Odległość pomiędzy brzegiem starego lasu i zagajnikiem wynosiła około 30 metrów. Stałem samotnie ukryty w zaroślach pomiędzy starymi drzewami. Obserwowałem stojącą linię i myślałem ile sekund potrzebuję na dobiegnięcie do zagajnika i ile sekund zajmie niemieckiemu żołnierzowi złożenie się do strzału. W pewnym momencie żołnierz stojący najbliżej mnie podszedł do sąsiedniego po ogień do papierosa. Dwóch było więc zajętych czymś innym. Około 90 metrów linii było wolne. Wykorzystałem to, wyskoczyłem z zarośli, aby jak najszybciej dopaść zagajnika. Byłem w połowie drogi, gdy padł strzał. Ale w tym właśnie momencie moja noga zawadziła o kamień i jak długi rozciągnąłem się na piaszczystej drodze. W następnej sekundzie zerwałem się i zaszyłem w zagajniku. Wtedy zagajnik gęsto ostrzelano, ale mnie to już nie mogło zaszkodzić. Było dla mnie jasne co się stało. Gdy padłem na ziemię żołnierze byli przekonani, że jestem trafiony. Odstawili karabiny i chcieli podejść do mnie – martwego, lub ciężko rannego. Gdy pobiegłem dalej, cała linia była zaskoczona, nieprzygotowana do strzału, a gdy znów zaczęli strzelać, było już za późno⁷². Dopiero wiele lat później zestawilem to z psalmem 90/91 (11-12) „*Aniołom swoim każę cię pilnować, gdziekolwiek stąpisz, którzy cię na rękę piastować będą, abys idąc drogą o ostry kamień nie ugodził nogą*”. W tym przypadku mój anioł stróż tak mnie pokierował

⁷² Trzeba przyznać, że się Niemcom ta pacyfikacja w ogóle nie udała. Otoczyli niewłaściwy obszar lasu, gdzie stała wprawdzie nasza mała grupa, ale to było kilka dni temu, zaś teraz znalazło się tylko paru nas wykonujących drobne zadania. Wszystkim nam udało się wyjść z okrażenia miejscami niezbyt szczelnego.

swoimi rękami, że w ściśle określonym czasie potknąłem się o kamień. Nie było innej możliwości, abym żywy przebiegł owe 30 metrów.

Innym razem zostaliśmy wzięci w kocioł. Około 100 partyzantów w gęstym lesie. Dookoła nas wróg. Musieliśmy się przedrzeć z bojem. Drzewa ułatwiały się kryć, ale ułatwiały to również wrogom. Niemcy zajmowali nieruchome stanowiska. Myśmy się musieli poruszać. W najniebezpieczniejszym odcinku, który trzeba było po prostu przebiec, przeżyłem coś osobliwego. Coś mi jasno tłumaczyło, co mam robić. Tutaj chwilkę zatrzymaj się za tym drzewem! Tutaj rozpocznij bieg prawą nogą! Ten kierunek, nie ten! Itd. Nie potrafię powiedzieć czy „coś” mi dyktowało, co mam robić, czy wiedziałem to „sam z siebie”. W każdym razie miałem pewność, że muszę to robić, a nie co innego, a również, że to, co robię, gwarantuje mi pełne bezpieczeństwo. Poległo wówczas dziesięciu kolegów, byli też ranni. To był pierwszy raz, gdy coś takiego przeżyłem⁷³.

⁷³ Drugi raz miałem takie przeżycie wiele lat po wojnie. Pewnego dnia podjąwszy honorarium z kasy wydawnictwa (mniej więcej dwie moje pensje), miałem z pieniędzmi w portfelu publiczny odczyt astronomiczny. Potem była dyskusja. Ale przy wyjściu, w drzwiach budynku pewna miłośniczka astronomii zadała mi jeszcze dodatkowe pytania. Ponieważ się okazało, że ma jechać tym samym autobusem co ja, tylko dużo dalej, mogliśmy rozmawiać po drodze, a że była jeszcze wczesna godzina, odprowadziłem ją do bramy jej domu. Potem ona odprowadziła mnie do autobusowego przystanku. Potem uznaliśmy, że trasa między jej domem i przystankiem nie jest najlepsza do dyskutowania i poszliśmy do parku. W końcu o godzinie trzeciej w nocy pożegnałem ją u bramy domu i udałem się w kierunku przystanku nocnego tramwaju, którym mogłem dojechać do siebie. Nagle na pustej przedmiejskiej ulicy spotkało mnie dwóch uzbrojonych wyrostków i chcieli, abym im pokazał zawartość portfela. Opanowała mnie straszna złość. Sumy, jaką miałem przy sobie nie chciałem oddać rabusiom. I w tym momencie stało mi się jasne jakie słowa mam mówić, jakie gesty, jakie kroki robić. Znowu nie umiem powiedzieć, czy „coś” mi to objawiło, czy wszystko wiedziałem „sam z siebie”. W każdym razie wiedziałem jasno i jednoznacznie jak się zachować. Lekceważąc wycelowaną we mnie lufę spokojnym, pewnym głosem przy tejże postawie ciała powiedziałem: Dlaczego? Młodzieńców „zatkało”. Nie przypominam sobie dziś dokładnie jak się dalej rozwijała nasza rozmowa. Wiem tylko, że nie używałem żadnych wielkich słów, takich jak: „Bóg”, „sumienie”, „uczciwość”, „kodeks karny” etc. Moja mowa była, rąbana, prosta, logiczna. Ja pytam, a oni – nie wiem czemu – uważali za stosowne mi odpowiadać – jak uczniaki z nieodrobioną lekcją. Wreszcie jeden powiedział, „Przepraszamy pana. Czasem człowiekowi przyjdą głupie pomysły do głowy”. Podaliśmy sobie dłonie i ja poszedłem spokojnie w kierunku nocnego tramwaju, a oni szybkim biegiem (przestraszeni?) w kierunku przeciwnym. Myślałem czy z pierwszego automatu nie zadzwonić by na milicję. Ale jakżeż to? Donosić na przyjaciół z którymi dopiero co pożegnałem się uściskiem dłoni? To byłoby nieetyczne.

Nie miałem w zwyczaju nosić ze sobą większych sum pieniędzy (miałem konto czekowe), ani spacerować po nocach (o 21 byłem zazwyczaj albo przy teleskopie, albo w łóżku). Sądzę, że przez tę przygodę z miłośniczką i szczególny zbieg pozostałych okoliczności opatrność użyła mnie, jako misjonarza. Jestem pewien, że obaj młodzieńcy byli początkujący (z doświadczonymi rabusiami nie poszłoby tak gładko) i mam nadzieję, że ta przygoda dała im impuls do powrotu do uczciwego życia.

Gestapo

Był listopad 1944. Niemiecki front wschodni stał na polskiej ziemi. Wszędzie było pełno niemieckich służb przyfrontowych. Nie można było operować większymi jednostkami partyzanckimi. Naszą brygadę (500 ludzi) podzielono na mniejsze i zupełnie małe oddziały zajmujące się drobnymi akcjami sabotażowymi i zwiadem. Ale w istocie wszyscy czekaliśmy na rychłe połączenie z frontem. Byłem zaziębiony. Wysoka temperatura. Dla małej grupy, która musiała szybko zmieniać postoje, byłem zawadą. Zdałem broń i zostałem skierowany na melinę⁷⁴, gdzie miałem zmienić mundur na ubranie cywilne i się leczyć. Na drodze zaskoczył mnie znienacka patrol Estończyków, wyłapujący podejrzane osoby. Ucieczka była niemożliwa. W towarzystwie około 20 innych mężczyzn przewieziono nas ciężarówką na posterunek granatowej policji i dokonano selekcji. Kilku puszczono wolno, kilku wzięto do policyjnego aresztu. Byłem w pełnym mundurze i mogłem mieć nadzieję, że tu w strefie przyfrontowej zostanę uznany za wojennego jeńca⁷⁵. Zostałem jednak przewieziony osobowym samochodem na gestapo w Jędrzejowie.

Zrozumiałem, że nadeszły ostatnie godziny mojego życia. Musiałem się skupić na tym, aby żadnej służbowej tajemnicy nie wydać wrogowi, nie zaszkodzić mojej matce, oddać życie z godnością. Nie miałem – tak jak to partyzanci – żadnych dokumentów. Postanowiłem zatrzymać swoje imię „Konrad” (gdy ktoś zawoła „Konrad” to się przecież odruchowo obejrzę), natomiast nazwisko zmieniłem sobie na Berezowski, a ponieważ Warszawa była zburzona, wszystkie moje kontakty organizacyjne i rodzinne ulokowałem w Warszawie. Mogłem bez obaw podawać dowolnie dużo „prawdziwych” warszawskich adresów. Tam już niczego i nikogo nie można było znaleźć. I to wszystko rzeczywiście gładko działało.

Gdy się ma 18 lat i oczekuje śmierci, górnolotne słowa same przychodzą do ust.

– Czy to pięknie być bandytą?

– Pięknie jest walczyć za Ojczyznę!

Dłoń gestapowca ciężko uderzyła w mój policzek.

– Iluś Niemców zabił?

⁷⁴ Wyraz „melina” kilkakrotnie zmieniał znaczenie w ciągu XX wieku. W słowniku Kryńskiego, Karłowicza i Niedźwiedzkiego w roku 1902 jest wyjaśniony jako „schronienie nocne dla złodziei”, słownik Doroszewskiego z roku 1963 podaje ogólniejsze znaczenie: „miejsce ukryte, [...] kryjówka”. W ostatnich dziesięcioleciach zaczęło słowo to oznaczać nielegalny wyszynk alkoholu, czynny o dowolnej porze doby lub siedlisko narkomanów. Ja go tu używam zgodnie z Doroszewskim tak, jak go rozumiano w organizacjach Polski Podziemnej.

⁷⁵ Nie wiedziałem wtedy, że to nie uratowałoby mi życia. Polskich żołnierzy z frontu wschodniego, podobnie jak radzieckich, Niemcy głodzili na śmierć lub likwidowali w inny sposób.

– Strzelałem wiele razy, ilu trafiłem, nie wiem.

I tak dalej w tym stylu. Ale już mnie więcej nie bito. Gestapowcy jakby mieli uciechę z moich odpowiedzi. Schwytyany partyzant, który nie twierdzi, że znalazł się w partyzantce przypadkowo, że tam zresztą tylko obierał kartofle, ktoś, kto zgoła twierdzi, że postanowił się mścić! Śmieszny gość! Trochę rozrywki w codziennym, szarym życiu gestapowskim! Myślę, że coś takiego dojrzeli we mnie.

Przesłuchanie trwało. Zapytano mnie, dlaczego byłem właśnie w komunistycznej organizacji (mój zrzutowy, berlingowski mundur świadczył o tym jednoznacznie). Odpowiedziałem znów wzniosłymi słowami, że przyszłość Polski jest związana z przyszłością Związku Radzieckiego. Odpowiedziano mi, że to nie prawda, że właśnie narodowosocjalistyczne Niemcy mogą zapewnić Polsce słoneczną przyszłość. I w tym momencie zdałem sobie sprawę, że ze mną dyskutują. Dopóki dyskutujemy – żyję. Podjąłem więc dyskusję. Powoli wycofywałem się z moich tez (byłoby niewiarygodne, gdybym się wycofał za szybko). Dopiero trzeciego dnia byłem już „całkowicie przekonany”, że przyszłość Polski jest po stronie Hitlera. W międzyczasie, w rozmowie ze mną zamiast formy „Du” pojawiła się grzecznościowa „Sie”. Potem postawiono pytanie, czy skoro się już przekonałem, jaki jest właściwy kierunek działania Polaka, byłbym skłonny napisać wspomnienia z mojej brygady partyzanckiej – mogę pisać po polsku. O tak, chciałem. Oddano mi mój kalendarzyk, gdzie specjalnym kodem robiłem codzienne notatki. Teraz wystarczyło wymyślić odpowiednie przesunięcie w kodzie i powstała w ten sposób historia, która wprawdzie z rzeczywistością miała mało wspólnego, ale pasowała równie bezbłędnie do moich notatek. W międzyczasie stawiano mi dodatkowe pytania i zauważyłem, że gestapowcy uwierzyli, że jestem człowiekiem, który nie potrafi kłamać. Uwierzyli mi, że jako chory nie dostałem adresu, żadnej kwatery, bo przecież „każdy Polak udzieli gościny choremu partyzantowi”, że nie znam żadnych punktów kontaktowych, bo „aby po wyzdrowieniu odnaleźć znów moją brygadę wystarczy mi wejść do lasu i pierwszy napotkany partyzant przekaże mnie już kolejno następnym, zgodnie z celem”. Och, ileż ja się nakłamałem! Powolne pisanie wspomnień (obszernie o wszelkich nieporozumieniach z kucharzem i kolegami – dopóki piszę, żyję) trwało do końca grudnia.

W styczniu 1945 przedstawiono mi nową propozycję. Mogę być zwolniony i mogę powrócić do mojej brygady, aby tam rozwinąć cichą propagandę, że przyszłość Polski leży po stronie Hitlera. Propozycja wydawała mi się piękna, ale zacząłem myśleć. Oni mnie nie wypuszczą samego ale na przykład z innym rzekomym alowcem. Pokażę mu drogę do brygady. W dogodnym momencie on mnie zlikwiduje, a sam rozwinie w brygadzie dywersję i szpiegostwo. To było zbyt niebezpieczne. Odmówiłem.

- Dlaczego?
- Wiecie, panowie, że potrafię mówić tylko prawdę. Misja, w czasie której co innego miałbym mówić dowództwu, a co innego kolegom jest dla mnie zupełną niemożliwością.
- Inną możliwością dla pana jest wyrok śmierci.

Zostawiono mi dzień do namysłu, a gdy ostatecznie odmówiłem, zakomunikowano mi wyrok śmierci. Takie wyroki nie zawsze ogłaszano zainteresowanym. Jeśli jednak to robiono, lub jeśli – ze sposobu zakończenia przesłuchania – można się było domyśleć wyroku, to egzekucji dokonywano po trzech dniach. W czasie moich trzech dni miałem uczucie, że odpadł ze mnie wszelki brud. Nie musiałem już zmyślać sprytnych kłamstw dla Gestapo, znikł strach, że mogę coś ważnego zdradzić wrogom. Znikło stałe uprzednie wysokie napięcie. Do tego wiedziałem, że ginę śmiercią bohatera. Wprawdzie moja matka nie będzie mogła być ze mnie dumna, ponieważ jestem teraz jakimś tam Berezowskim. Ale to i lepiej. Umieram nie dla egoistycznej sławy, ale dla idei. Byłem w pełni wolny i szczęśliwy, choć zdawałem sobie sprawę, że to uczucie jest zgoła paradoksalne. Dopiero wiele lat później, przestudiowawszy „Filozofię wolności” Rudolfa Steinera zrozumiałem, co się ze mną wówczas działo. Jakiegokolwiek sensowne zewnętrzne działanie było wykluczone. Ani motywy, ani siła napędzająca działanie nie mogły być więc niskich stopni. Przez trzy dni mogłem prowadzić życie mojej woli tylko w świecie czystych idei. I to było wolnością.

W celi było nas chyba 16 mężczyzn. Kolega Roman Grzymałowski⁷⁶, który się potem stał moim przyjacielem, prowadził rano i wieczorem wspólne modlitwy. Brali w nich udział prawie wszyscy. Brałem formalny udział również ja, gdyż byłem pewien, że w celi musi być szpieg, a chciałem wobec Gestapo uchodzić za zupełnie przeciętnego Polaka, co mogłoby uwiarygodnić moje dość jednak szybkie „nawrócenie” ze zwolennika Związku Radzieckiego. W międzyczasie Romanowi przemycano do celi nowennę do świętej Teresy z Lisieux. Stało tam napisane, że należało przez dziesięć dni prosić o żadaną łaskę, zaś dziesiątego dnia albo podziękować w kościele za wypełnienie prośby, albo od początku rozpocząć nowennę. Wydawało mi się to zupełnie śmieszne. Jest przecież logicznie zupełnie pewne, że życzenie albo się spełni, albo nie. Tym razem proszono o łaskę naszego uwolnienia.

W pierwszym dniu mego oczekiwania, a był to ósmy dzień nowenny, ujrzelśmy przez szparę w desce zasłaniającej okno samolot z radziecką gwiazdą. Drugiego – słyhać było kanonadę. Tego również nie wzięliśmy za

⁷⁶ Zaraz po wojnie wstąpił do rzymskokatolickiego seminarium duchownego w Kielcach, został kapłanem, zrobił doktorat na KUL-u, nie chciał przyjąć probostwa. Zmarł jako wikary parafii we Włoszczowej.

coś osobliwego. Wiedzieliśmy, że front jest tuż. Ale trzeciego dnia dały się słyszeć serie karabinów maszynowych i niedługo potem zostaliśmy, więźniowie z wszystkich cel, ustawieni w dwuszeręgu na dziedzińcu więzienia.

– Nie ruszać się, nie rozglądać, bo będziemy strzelać.

Nie mieliśmy zegarków. Zdawało się, że staliśmy tak godzinami bez ruchu, patrząc przed siebie. W końcu ktoś się obejrzał.

– Nikt nas nie pilnuje!

– Brama nie jest zamknięta.

Byliśmy wolni. To był dziesiąty dzień nowenny. Roman i wielu współwięźniów poszło, zgodnie z zaleceniem, do kościoła podziękować za uproszoną łaskę. Ja podziękowałem wiele lat później. Nie sądzę, aby nasza nowenna spowodowała przyjście frontu. Natychmiast we wszystkich więzieniach gestapowskich, gdy front się zbliżał, więźniowie byli zabijani, a nie wypuszczani na wolność. My staliśmy już na dziedzińcu gotowi do rozstrzelania. Ale komendant nie wydał końcowego rozkazu, choć miał po temu możliwość i czas, a jako posłuszny oficer powinien był wykonać instrukcję. Dlaczego nie wykonał? Sumienie? Widzę w tym działanie gorliwej modlitwy kolegów z celi.

Po drodze do domu zostałem jeszcze przez tydzień więziony przez radziecką „Kontrrazwiedkę”, jako niemiecki szpieg. Pomyślny zbieg okoliczności pozwolił mi jednak jednoznacznie okazać, że nim nie jestem.

I tak znalazłem się znów w Sulejowie. Mój ojciec wrócił parę dni wcześniej. Zaś kilka godzin po moim powrocie przyszła do Sulejowa również Lusja. Została samotna. W ciągu tego czasu trzy razy w cudowny tylko sposób uszła śmierci. Ale jej rodzice nie żyli. Jej dom zamieszkiwali inni ludzie. Przyszła do nas i została serdecznie przyjęta. Niestety nie mogłem w niej rozpoznać dawnej Lusi. Ona też nie mogła – dawnego Konrada we mnie. W 1942 roku oboje byliśmy jeszcze dziećmi. W 1945 byliśmy już dorośli i bogaci w przeżycia – w przeżycia niepodobne do siebie. Ona była pod ciężarem traumy, ja pełen entuzjazmu. Ona chciała sobie jakoś znaleźć osobiste normalne życie. Ja chciałem przebudować świat. Nie było atmosfery do miłości. Choć nasza przyjaźń trwa do dziś (pisze to w roku 2006), poszliśmy zupełnie innymi drogami. Ona zdołała, po upływie lat, zbudować sobie zdrową, bardzo dobrze usytuowaną rodzinę. Mnie się przebudowa świata zupełnie nie powiodła.

Poszukiwanie

Uzupełniwszy moją naukę na kompletach licealnych o kilka egzaminów brakujących mi jeszcze do matury, już jesienią 1945 roku rozpocząłem studiować astronomię na Warszawskim Uniwersytecie. Niedługo w zrujnowanej, ale szybko się odradzającej Warszawie dostali mieszkanie

rodzice. Ojciec za nową powieść otrzymał państwową nagrodę, a za dawną polityczną działalność – wysokie państwowe odznaczenia. Matce do Krzyża Niepodległości przybył jeszcze Złoty Krzyż Zasługi. Ja miałem Krzyż Partyzancki i parę medali. Byliśmy więc rodziną szanowaną przez komunistyczne władze. Ponieważ jednak rodzice byli za starzy, a ja za młody aby aktywnie uczestniczyć w wielkiej krajowej polityce, nie zostaliśmy, dzięki Bogu, zaliczeni do „nomenklatury”. To było istotnie ważne, ponieważ pozycje wysoko stojących osób w czasach stalinowskich kruszyły się łatwo.

Oprócz uniwersytetu, byłem jeszcze uczniem szkoły muzycznej, klasa teorii, bo chciałem być kompozytorem. Moja koleżanka z tej szkoły i przyjaciółka była organistką w rzymskokatolickim kościele świętego Wojciecha na Woli. Czasem ją zastępowałem. Mogłem w ten sposób poznać rzymskokatolickie obrzędy i szczegóły życia parafialnego. Oprócz muzyki (gra na organach o trzech manualach, to była przyjemność) wszystko tam było dla mnie odstręczające.

Już w ciągu pierwszych lat rządów komunistycznych w Polsce zauważyłem, że praktyka nie jest zgodna z wysokimi ideami. Potem dostrzegałem coraz wyraźniej, że i sama ideologia jest błędna. Nie odważyłem się jednak zerwać z partią. Nie można z niej było wówczas wystąpić, można tylko było zostać wydalonym – również na własny wniosek. Dziś się tego wstydzę, ale tak jak w czasie wojny nie bałem się podejmować działań, za które groziła śmierć, tak wówczas nie mogłem się zdobyć na odwagę postawienia wniosku o wydalenie mnie z partii, choć za to groziło co najwyżej usunięcie z uniwersytetu. (Zrobiłem to z dobrym skutkiem dopiero w roku 1950, wykorzystując korzystną, a niespodziewaną sytuację, jaka nagle powstała. Ojciec mi powiedział: „Smutno mi, że przestajesz być członkiem partii, ale cię rozumiem.”)

„Lewicowcem” zostałem do dziś – co prawda nie zwolennikiem klasycznego marksizmu, lecz steinerowskiej trójczłonowości organizmu społecznego⁷⁷. Wówczas byłem jeszcze nadal ateistą i materialistą, ale miałem za sobą przeżycie wyższego stanu świadomości w czasie przerywania się z kotła. Nie mogłem również całkiem uwierzyć, że powrót Lusi do Sulejowa dokładnie według „namalowanego” przeze mnie scenariusza, był tylko przypadkowy i czułem rzeczywiste wyrzuty sumienia, że moje – całkiem wolne – wyobrażenie było, że ona sama do nas przychodzi. Przecież mogłem sobie wyobrażać, że przychodzi do nas razem z rodzicami. Wtedy wszyscy by przeżyli. A jak było z wpływem nowenny na decyzję komendanta Gestapo, aby pozostawić więźniów przy życiu?

⁷⁷ W końcu ubiegłego wieku usiłowałem zainteresować tą ideą kilku ideowych komunistów i innych lewicowców, między innymi Aleksandra Kwaśniewskiego. Ten ostatni wymówił się brakiem czasu (przygotowywał się właśnie do objęcia szczytowej funkcji swego życia) inni – innymi przyczynami.

Przecież hipotezę, że myśli działają na wydarzenia, można całkiem dobrze pogodzić z materializmem. Kto potrafi dowieść, że myśli nie są materialne?

W pierwszych latach powojennych polityczny nacisk nie był jeszcze taki silny. Można było jawnie dyskutować. Kilku moich kolegów było już antropozofami i twierdzili, że wiedzą coś o myśleniu, duszy, duchu i podobnych rzeczach. Zaciekawilem się tą wiedzą. Dla zaspokojenia mojej ciekawości pożyczyli mi steinerowską „Filozofię wolności”. Przeczytałem mniej więcej jedną trzecią i doszedłem do wniosku, że są tam słowa bez treści, że jest to książka o niczym. Natomiast buddyści potrafili zrobić dla mnie coś, co „zaskoczyło”. Mowy Buddy były mi zrozumiałe i bliskie. Wziąłem raz udział w medytacji wesakowej. Byłem przepełniony myślami o Buddzie. On jako człowiek był powyżej wszelkiego cierpienia. Był szczęśliwy. Ja mogę o nim myśleć, myśleć o człowieku, który był w pełni szczęśliwy. To znaczy, że mogę brać udział w jego szczęśliwości, albo prościej: mogę być, a nawet już jestem, szczęśliwy.

Kiedyś miałem przesiadkę w Piotrkowie Trybunalskim. W sobotnie popołudnie miałem 3 godziny czasu. Chodziłem po mieście. Zaczęło padać. Do kawiarni nic mnie nigdy nie ciągnie. Napotkałem otwartą cerkiew Wszystkich Świętych. Wszedłem. Było około dziesięciu osób i kapłan. Razem pięknie śpiewali. To było wspaniałe. Zupełnie odmienne od rzymskokatolickich nieszporów. Wróciwszy do Warszawy poszukałem czegoś podobnego i regularnie zacząłem uczęszczać na sobotnie nabożeństwa do prawosławnej katedry św. Marii Magdaleny. Traktowałem to jak pójście na koncert i na tacę kładłem ściśle tyle, ile kosztował mnie piątkowy bilet do filharmonii. Gdzieś w głębi budziło się jednak poczucie, że tu jest coś więcej niż koncert.

Chciałem umocnić moje ateistyczne poglądy. Partyjne broszury o światopoglądzie marksistowskim były na całkiem niezadawalającym poziomie. Książkę Bertranda Russela „Dlaczego nie jestem chrześcijaninem” uznałem również za powierzchowną. Zadowolili mnie dopiero „Antychryst” Nietzschego. Ale jak głęboko musiał ten Nietzsche kopać, żeby móc się mocować z korzeniami chrześcijaństwa! Jakżeż głęboką religią musi więc być chrześcijaństwo? I tak „Antychryst” dał mi impuls do głębszego poznania chrześcijaństwa.

W międzyczasie miałem jeszcze kilka istotnych przeżyć. Miałem pewien problem moralny, którego długo nie umiałem rozwiązać. Zauważyłem, że w cerkwi ludzie ze swymi problemami stawiają świeczki przed ikonami, całują ikony i potem ich twarze stają się bardziej wesołe. Może to było tylko moje złudzenie, że to tak jest, ale postanowiłem spróbować. Skupiwszy się myślowo na moim problemie, kupiłem świeczkę, postawiłem zapaloną przed pierwszą lepszą ikoną, przeżegnałem się, pocałowałem ikonę i w tym momencie zobaczyłem jasno w myślach, jak łatwe jest wyjście z mojego problemu. Nie byłem pewien czy „to” podziałało, czy to tylko przypadek.

Ale przeczytałem czyja to ikona. Był to święty Mikołaj z Miry Licyjskiej. Byłem w Poznaniu, gdy znowu powstał inny, trudny problem. A i tam była cerkiew. Poszedłem ze świeczką prosto do świętego Mikołaja i znów z natychmiastowym, pomyślnym rezultatem. A więc to nie przypadek! Nie, bynajmniej nie uwierzyłem w Boga, niebo, czy w bezcielesną duszę świętego. W nauce jestem przede wszystkim obserwatorem i doświadczalnikiem. Teoria bywa dla mnie ważna, gdy mi coś może wyjaśnić, ale zawsze jest czymś wtórnym⁷⁸. Również i w tym przypadku wiedziałem tylko, że pewne zestawienia myśli łącznie z odpowiednimi uczuciami, czynnościami i przedmiotami rzeczywiście działają. Nie miałem tu jednak jeszcze żadnej teorii.

Pewnego razu w bezsenną noc chciałem – razem z Nietzschem – rozmyślać nad bezsensu chrześcijańskiego wyznania wiary. Analizowałem po kolei wszystkie zdania ze Składu Apostolskiego. Nie mogłem znaleźć sensownego poparcia dla żadnego z nich, ale dla żadnego nie mogłem również znaleźć dowodu, że jest fałszywe. Stwierdziłem więc, że chrześcijańska wiara jest możliwa, co oczywiście nie gwarantowało, że jest prawdziwa.

Tymczasem, po ukończeniu studiów zostałem zatrudniony w uniwersyteckim obserwatorium astronomicznym i niedługo potem się ożeniłem. Od wielu lat byliśmy ze sobą zaprzyjaźnieni. Ale to była tylko przyjaźń, nic z seksu czy erotyki. Mogłem jej zgoła opowiadać o moich problemach miłosnych, a ona mnie o swoich. To było czasem pożyteczne zobaczyć jak na młodzińcze problemy patrzy dziewczyna i odwrotnie. Ale przyszedł rok, gdy prawie jednocześnie każde z nas przeżyło zawód miłosny. I takeśmy sobie pomyśleli, że znamy się długo, że jesteśmy przecież dobrymi przyjaciółmi. Po co szukać gdzie indziej? W niedługim czasie byliśmy już małżeństwem. A to był całkowicie błędny krok. Nasze charaktery, zamiłowania, zwyczaje... zupełnie nie pasowały do siebie. Tyle, że umieliśmy interesująco rozmawiać ze sobą, ale nic więcej. Z początku wierzyliśmy, że z czasem jakoś to będzie lepiej. Mieliśmy już dwóch synów, gdy ona oświadczyła, że nie potrafi dłużej żyć ze mną. Ja chciałem jednak nasze małżeństwo za każdą cenę utrzymać i stąd powstała nerwowa atmosfera.

Ale wróćmy do spraw religii. Systematyczne moje uczestnictwo w obrzędach prawosławnych (już nie tylko w soboty) zauważył pewien starszy kapłan i czasem, z początku nie za często aby mnie nie płoszyć, zamieniał ze mną po parę słów. Potem zapraszał mnie również do siebie na rozmowy. Miałem szczęście. To był sam protoprezbiter Włodzimierz Wieżański, jeden z najwybitniejszych duchownych polskiego prawosławia.

⁷⁸ Jako uczeń Fritza Zwicky'ego cenię sobie aforyzm Goethego: „Kto nie odróżnia rzeczywistości od teorii, jest jak ktoś, co nie odróżnia budowli od rusztowania”.

Nie umiał mi udowodnić prawdziwości chrześcijaństwa, ale umiał pokazać jego głębię i piękno. Chrześcijaństwo bez rzymskokatolickich prawniczych kanonów! Chrześcijaństwo było piękne, święty Mikołaj – i zapewne inni święci – działali, ale stale nie miałem powodów, aby uznać istnienie Boga⁷⁹. Chciałem znów pożyczyć książki od moich antropozoficznych kolegów. Ale sytuacja była już inna. Za antropozofię można było zostać aresztowanym. Robert Walter, wybitny polski antropozof, ledwie został uwolniony z celi śmierci. Ja zbyt długo pozostawałem członkiem partii, aby być uważany za bezpiecznego człowieka.

Mariawici

Był wielki post. Patrzyłem jak w cerkwi ludzie przychodzili do spowiedzi, jak potem przyjmowali komunię. Chciałem w tym też wziąć udział. Ale do tego trzeba było być członkiem Cerkwi. Zachciałem być chrześcijaninem. Zwróciłem się z prośbą do „mojego” protoprezbitera, żeby mnie przekonał, że najprawidłowszą gałęzią chrześcijaństwa jest prawosławie, że ono jest najlepsze. Odpowiedział, że byłoby jego wielką radością, gdyby ktoś wydał taki osąd, ale właśnie jemu, jako kapłanowi prawosławnemu, nie wypada tak prawosławia zachwalać. Może mi tylko powiedzieć, że najlepszym, najprawidłowszym kościołem, jest taki, gdzie duchowni pracują nie dla pieniędzy, ale dla Boga, gdzie wierni biorą udział w obrzędach nie z zewnętrznej tradycji, ale z pobożności.

Czy takim był Kościół Prawosławny? Nie zupełnie. Zacząłem więc planowo nawiedzać wszelkie możliwe gminy chrześcijańskie, przeżywać ich obrzędy, rozmawiać z uczestnikami. Stale znajdowałem nie to, czego szukałem. Wreszcie nawiązałem kontakt listowny z biskupem naczelnym Kościoła Starokatolickiego Mariawitów, Romanem Marią Jakubem Próchniewskim. Napisał mi kiedy będzie celebrował w Warszawie i zaprosił na rozmowę po nabożeństwie. Msza pontyfikalna! Wiedziałem co to znaczy w tradycyjnych kościołach. Bogata asysta, piękne szaty, blichtr. Pod podanym adresem znalazłem na Woli mały kościółek, nie odnowiony po wojennych uszkodzeniach. Tylko absyda ołtarzowa była starannie utrzymana. Około 30 osób pogrążonych w modlitwie. Biskup wyszedł sam, bez asysty. Szaty były piękne, ale nie bogate. Każde słowo, każdy gest był pełen znaczenia. Można było odczuć, że on działa w wyższym świecie, choć

⁷⁹ Dużo później zrozumiałem, że nie można udowodnić istnienia Boga, ani w ogóle czegokolwiek, np. żyrafy. Żyrafę można komuś pokazać. Tak zwane matematyczne dowody istnienia, są zawsze zdaniem warunkowymi. Zakładamy pewne aksjomaty i reguły postępowania, a w nich w sposób ukryty już się mieszczą wnioski. Jakże trzeba by przyjąć założenia w dowodzie istnienia Absolutu, aby nie nastąpiło *petitio principii*? Boga można doświadczyć, przeżyć. Wtedy się wie, że On jest. Niestety, ktoś uznający tylko postrzeżenia zmysłowe, a nie umiejący ostro postrzegać wewnętrznie myśli, uczuć i aktów woli, może co najwyżej przeżywać *dzieła* Boga w świecie zmysłowym.

to działanie było widoczne tu, w świecie fizycznym. Miał kazanie o sprawach ducha. Potem poszedłem na rozmowę z nim. W małym pokoiku najważniejsze było nie o czym mówił, ale jak mówił. Już wiedziałem – to jest mój Kościół.

Zostałem zaproszony do mariawickiej centrali, do Płocka, gdzie mogłem więcej rozmawiać z biskupem naczelnym. Powiedziałem mu szczerze, że chcę przystąpić do komunii, ale nie wierzę w Boga. Ku memu zdumieniu odpowiedział, że to nie jest przeszkodą. Słowo „wierzyć” – to może oznaczać różne rzeczy. Nikt nie wierzy idealnie prawidłowo. Jeśli odczuwam pragnienie przystąpienia, to już jest jakiś stopień wiary. Natomiast przeszkodą do przyjmowania Komunii są grzechy. Zapytał mnie czy się czuję grzeszny. Oczywiście, miałem wiele grzechów. U mariawitów spowiedź można odbyć przed Bogiem, całkiem indywidualnie, bez kapłana, aby tylko zachować określone warunki spowiedzi. Biskup doradził mi odbyć taką właśnie spowiedź. Ale jak miałem wyznawać grzechy przed Bogiem, kiedy nie wiedziałem czy on istnieje? Jedyne, co mi pozostało, to odbyć spowiedź przed kapłanem. O realnym istnieniu kapłanów nie wątpiłem.

Przez dwa tygodnie przygotowywałem się do spowiedzi. Czas był naprawdę trudny. Ciężkie przebywanie z moją żoną. Do tego w nasze sprawy wmieszali się rodzice moi i jej z różnymi radami, poglądami! Ani chwili spokoju, możliwości oderwania się od złych myśli. W takim stanie pojechałem znów do Płocka. Biskup sam wysłuchał mojej spowiedzi. Podczas mszy wraz z gromadą wiernych podszedłem do komunii. Muszę przyznać, że oczekiwałem czegoś nadzwyczajnego, wewnętrznego oświecenia, jakiegoś wyjątkowego odczucia, chwilowego podniesienia do stanu wyższej świadomości... A tu nie! Po mszy był obiad w refektarzu, a potem poszedłem do ogrodu i spacerowałem z zupełnie pustą świadomością. Nawet zawiedziona nadzieja, że się coś stanie po komunii, nie niepokoiła mnie. A potem wyszedł do ogrodu biskup. Przechadzając koło mnie zapytał, co czuję. Z nutką zawodu odpowiedziałem: „Nic, czuję się tak zwyczajnie, spokojnie”. A on powiedział: „To jest znak Chrystusa. W Eucharystii On daje swój pokój, ciszę”. I poszedł sobie dalej. W tym momencie spostrzegłem, że już upłynęło wiele godzin po komunii, a ja jestem zupełnie spokojny. Żona? Czemuż się przedtem tak denerwowałem? Jeśli chce odejść, dlaczego chcę ją koniecznie przy sobie zatrzymać? Potrafię przecież zostać sam. Przeżyłem rzeczywistość: w komunii przyszedł do mnie Chrystus. Nie mogłem już powiedzieć, że w Niego nie wierzę. Przeciwnie. Byłem pewien, że On jest. Tu opisuję to w postaci logicznego ciągu myśli. Wówczas w ogrodzie było to jedno całościowe przeżycie⁸⁰.

⁸⁰ Istotę, której istnienie przeżyłem nazywam, tak jak większość tych, co mieli podobne przeżycia, Bogiem. Jeśli ktoś chce użyć innej nazwy, nie zamierzam się sprzeczać o słowa.

W moim życiu teraz się wszystko odmieniło. Z żoną bez trudu udało mi się omówić kolejne kroki, w jaki sposób spokojnie rozwiązać małżeństwo pozostając w przyjaźni, jak dalej wspólnie wychowywać dzieci, żeby nasz rozwód przyniósł im jak najmniej szkody. Parafia mariawicka w Warszawie stała się moją parafią. Ale często odwiedzałem centralę plocką, gdzie w bibliotece biskupa Wacława Marii Bartłomieja Przysieckiego były również książki antropozoficzne, które mogłem pożyczać. Moja antropozoficzna koleżanka z obserwatorium dojrzała je u mnie i orzekła, że w moim losie leży jednak poznanie antropozofii. Więc pożyczała mi dalsze książki. Teraz wreszcie zrozumiałem sens „Filozofii wolności”. Znajac niemiecki mogłem studiować również dzieła Steinera dotąd nie przełożone na polski. Antropozofia wytłumaczyła mi wiele z moich dotychczasowych zdarzeń losowych i przeżyć duszy. Po nie wielu latach wstąpiłem do Zgromadzenia Mariawitów i tam zostałem kapłanem. Zostałem też członkiem Towarzystwa Antropozoficznego.

Później za granicą spotkałem się ze Wspólnotą Chrześcijan. Stwierdziłem, że to wyznanie posiada wszystkie najważniejsze elementy mariawityzmu, choć swoje ideały wyraża w nieco innej terminologii. A ponieważ zarówno Wspólnota Chrześcijan, jak Kościół Mariawitów dopuszcza jednoczesną przynależność do kilku wyznań, jestem członkiem obu. Najchętniej zostałbym również członkiem Kościoła Prawosławnego. Ale jego ekskluzywne przepisy nie pozwalają na to. Ale gdy czas mi pozwala stale biorę z radością udział w rytuałach prawosławnych. One mnie wychowały do wiary.

Posłowie

Od wielu już lat polecam Światom Wyższym wszystkie sprawy moje i moich bliskich, ale się wystrzegam proszenia o rzeczy konkretne. Aniołowie stróżowie lepiej wiedzą, co się powinno stać. Wyjątek stanowią sprawy bardzo ważne i jednocześnie słuszne. Rzadko i tylko w takich sprawach pozwalam sobie na modlitwę o konkretne wydarzenie. Tu kilka razy wymodliłem rzeczy – zdawałoby się – niemożliwe. Po prostu modląc się wyobrażam sobie z uczuciem, że się musi stać to a to. I staje się. Rzadko doznaję zawodu przy takiej modlitwie.



Ks. prof. dr hab. Konrad Rudnicki (1926 – 2013) (fot. B. Wszolek)

Wiara naukowców

Bogdan Wszolek^{1,2}

¹Instytut Fizyki, AJD w Częstochowie

²Obserwatorium Astronomiczne Królowej Jadwigi w Rzepienniku Biskupim

[artykuł opublikowany też w aperiodyku mariawickim
Praca nad sobą Z69, str. 14-18, (2013)]

Historia artykułu

W *Roku Wiary* zostałem poproszony przez swojego bratanka, Andrzeja Wszółka, dziś księdza, ale wtedy jeszcze studiującego w Seminarium Częstochowskim, o napisanie artykułu do seminaryjnego periodyku na temat wiary ludzi nauki. Z pewnym oporem, ale się zgodziłem. Czasu miałem niewiele, za to innych zajęć spiętrzenie. Temat nie łatwy, problematyka bardzo delikatnej natury. Piszac dla przyszłych kapłanów, trzeba było podejść do rzeczy w sposób bardzo odpowiedzialny. Uznałem, że wyrażę swoje własne przemyślenia, bez próby jakiegokolwiek ich konfrontacji z bardziej autorytatywnymi opracowaniami, które zresztą w obfitości były dostępne seminarzystom. I tak zrodził się kontrowersyjny, jak się miało okazać, artykuł, którego treść dla wielu okazała się bulwersująca. A przecież starałem się własne przemyślenia ubierać w możliwie najłagodniejsze formy, by nie burzyć uczuć religijnych czytelników, lecz je ubogacać.

Artykuł się jednak nie ukazał. Po długim czasie bratanek Andrzej, zapytany o losy tekstu, oznajmił, że cenzura go odrzuciła. Nie było to dla mnie wielkim zaskoczeniem, bo wcześniej pisywałem artykuły do działu *nauka* w czasopiśmie katolickim *Niedziela*, i tam cenzura coraz więcej ingerowała w moje teksty – aż w końcu zerwałem współpracę. Wspomniałem Konradowi Rudnickiemu o historii. Poprosił, bym mu to podesłał. Potem poprosił mnie o zgodę na opublikowanie tekstu w redagowanym przez niego aperiodyku mariawickim „Praca nad sobą”. Zgodziłem się i rzecz opublikowano z komentarzem redaktora, z przydomkiem „artykuł kontrowersyjny” i z zachętą czytelników do wyrażania swoich opinii. Niezależnie, wystawiłem artykuł na stronie internetowej *Astronomii Novej* (www.astronomianova.org). Dotąd nikt nie podejmował ani polemiki, ani nie wnosił jakichś poważniejszych zastrzeżeń. Czyżby wszyscy, którzy to czytali, po cichu zgadzali się z moimi przemyśleniami? A może uważają to za bzdury, nie godne uwagi? Może czytelnicy tej książki zechcą podjąć refleksję i produktywną dyskusję nad tym, jaka wiara jest zdrowa dla uczonego?

*

Podczas kosmologicznej konferencji naukowej w Princeton zapytano mnie kiedyś wprost: czy jesteś wierzący? Odrzekłem: oczywiście! Potem usłyszałem: przecież to niemożliwe być jednocześnie uczonym i wierzącym! Stwierdziłem, że ja nie mam problemów z pogodzeniem nauki z wiarą. Przeciwnie, dociekania naukowe wzmacniają i oczyszczają moją wiarę; wiara zaś motywuje mnie do pracy naukowej i wszelkiej innej aktywności. Mówiłem szczerze tak, jak czułem. Uznałem, że rozmówca co innego rozumiał pod pojęciem „wiara”, niż ja. Spotkałem wielu astronomów i astrofizyków, którzy nie taili, że są ateistami. Podobnie, spotkałem wielu głęboko wierzących. Zdarzyło się nawet, że byłem pomocnym w nawróceniu jednej rosyjskiej astronomki z ateizmu ku chrześcijaństwu. Po latach skłaniał się do poglądu, że wiara w rzeczy nadprzyrodzone nie jest konieczna dla prawidłowej samorealizacji się jednostki, jak też dla jej przydatności społecznej. Dopuszczam, jako coś normalnego, że naukowiec, czy kapłan, czy dowolny inny człowiek, są niewierzący. Gdybym sam doszedł kiedyś do sprzeczności między solidną nauką a swoją wiarą, stanąłbym bez wahania po stronie nauki.

Jednakowoż, można stwierdzić, że każdy człowiek jest jednak wierzący. Ciągłe doświadcza wiary w siebie, choć może tego nie zauważać, tak, jak często nie zauważa się powietrza. Człowiek wierzy przecież, że rano się obudzi, że się nie otruje śniadaniem, że nie zginie w wypadku po drodze do pracy, że otrzyma wypłatę, że kupując masło nie znajdzie w opakowaniu kawałka drewna, itd. Ta wiara jest mocno osadzona na wcześniejszych doświadczeniach, jest zdrowa i niezbędna do normalnego funkcjonowania. Bez takiej wiary życie stałoby się horrorem, jednym wielkim strachem i paraliżującą działanią nieufnością.

Ludzie deklarujący się jako niewierzący, zapewne nie mają na myśli tego rodzaju wiary. Chodzi im raczej o wiarę w realność tego, co nie podlega doświadczeniom zmysłów, a całkowicie kłóci się z tzw. racjonalnym myśleniem i nie poddaje się naukowym metodom badawczym, czyli metodom opartym na powtarzalnym i niezaprzeczalnym doświadczeniu. Dla tych ludzi to jest rzeczywistością, co daje się naukowo badać. Reszta jest bajką, czasem piękną, lub chorym urojeniem – efektem czyichś zaburzeń psychicznych. Niewierzący są na ogół skłonni akceptować bajki, ale tylko, jako przydatne narzędzia wychowawczego lub psychoterapeutycznego oddziaływania na ludzi, uwrażliwiania ich na wartości etyczne i estetyczne, służące poprawie harmonii życia społecznego. Ateiści nie wierzą w bogów i funkcjonują, można tak rzec, normalnie. Naukowiec niewierzący utrzymuje odpowiednią dyscyplinę i higienę zmysłów by skupić się na konkretnym problemie badawczym. Naukowiec wierzący czyni to samo, ale może przy tym doznawać różnych rozterek natury światopoglądowej, jeśli równolegle do wzrostu naukowego nie nadąża z porządkowaniem swoich wierzeń.

Brak możliwości wglądu w korzenie ludzkiej egzystencji i niewiedza na temat jej sensu stawiają człowieka w jakiejś niekomfortowej sytuacji psychicznej, domagającej się ukojenia. Dopóki ukojenie takie nie przychodzi poprzez doświadczenie zmysłowe, rozum podsuwa różnorakie hipotezy. Te hipotezy, które człowiekowi najbardziej odpowiadają, stają się często dogmatami wiary. Bojącym się śmierci dogadza wiara w życie pozagrobowe, a ludziom chorym i opuszczonym idea miłosiernego Boga. Im więcej lęku w człowieku, tym większe zapotrzebowanie na panaceum w postaci wiary. Dogmatów nigdy nie należy jednak traktować, jako świadectw prawdy. Prawdy nie ustanawia się bowiem poprzez głosowanie. Prawdy docieka się na drodze doświadczalnej, przy czym subiektywne doznania typu snów i innych imaginacji (czy to samoistnych czy stymulowanych) nie przedstawiają tu wartości. Dla ludzi szukających prawdy, w tym uczonych, dogmaty wiary lansowane na potrzeby religii czy innej formy psychologicznego oddziaływania na społeczność ludzką, nie są i nie powinny być żadnym istotnym punktem odniesienia.

W świetle współczesnej wiedzy biologicznej za zdolność wiary odpowiada ustalony fragment ludzkiego mózgu. W zależności od stanu jego sprawności człowiek jest albo wierzącym, albo niewierzącym. Wiara jest wewnętrznym i bardzo subiektywnym przeżyciem. Jest naturalną reakcją organizmu na strach w ogóle, a przed śmiercią w szczególności.

Braki w rozumieniu, czym w istocie są dogmaty wiary, mogą prowadzić do fanatyzmu i oddalać człowieka od prawdy. Błędy w rozumowaniu mogą prowadzić do fałszywej pewności. Fanatykowi dalej do prawdy, również o Bogu, niż ateście. Manipulowanie wiarą może prowadzić do większych spustoszeń w życiu społecznym niż nieodpowiedzialne użycie zdobyczy nauki; w tym fizyki jądrowej i genetyki. Dlatego należy dokładać wszelkich starań by wiara osobista i instytucjonalna była żywa, to jest ewoluująca w stronę prawdy, a nie ślepa i z prawdy sobie kpiąca.

Dla wielu ludzi argumentem koronnym, co do istnienia Boga, jest świat przyrody. Świat ten wskazuje niezbicie na istnienie Stwórcy. Nauki przyrodnicze odnajdują Stwórcę, jako istotę nadzwyczaj inteligentną i o niesamowitej mocy sprawczej. Jednak nie jest wiadomo czy pod pojęciem Stwórcy Wszechświata należy wyobrażać sobie jedną osobę, czy raczej „Wyższą Instancję”, która może być np. całą społecznością jakichś nadrzędnych istot. Nawet nie da się wykluczyć i takiego poglądu, że cała przyroda została stworzona przez pradawną ludzkość, która miała kiedyś odpowiednią moc sprawczą, a dziś już nie pamięta jak się stwarza gwiazdy, planety, rośliny, zwierzęta, itd., bo dziś już nie ma potrzeby tego robić. Nawet tak przekonujący, zdawać by się mogło, argument za istnieniem Boga, jakim jest Wszechświat, daje się jak widać osłabić. Sam Jezus Chrystus, któremu ojcowie kościoła przypisali Synostwo Boże, pomimo swojej wyjątkowej uczoności i sprawności duchowej, niewiele powiedział na

temat Boga ponad to, co obejmowały już wcześniejsze wierzenia. Mamy tylko pewność co do tego, że po prawdzie nic nie wiemy (albo z powodu amnezji, albo z lenistwa w dochodzeniu prawdy) na temat Boga i Jego atrybutów. Zanim drogą naukową, czy może jakimś chytrzejszym, nie znanym nam jeszcze, innym sposobem, dojdziemy do poznania głębszych prawd o Wszechświecie i jego Stwórcy, można koić serce (bo przecież nie umysł) wiarą w treści lansowane przez takie czy inne mitologie. Nie mamy jednak prawa, w imię najwyższej prawdy, ani narzucać nikomu własnych wierzeń, ani wartościować ludzi w oparciu o ich wierzenia, ani umierać za jakąkolwiek wiarę. Z obserwacji świata wynika jasno, że człowiek nie musi być wierzącym by być szlachetnym i wartościowym. Skądinąd ludzie wierzący niejednokrotnie zachowują się w najwyższym stopniu nagannie. Człowiek ma prawo do własnej czy zbiorowej wiary, jeśli nie prowadzi ona do naruszania harmonii życia społecznego.

Zdolność do zdrowej wiary, podobnie jak zdolność do wzniosłych przeżyć, nie świadczy źle o człowieku, ale raczej o dobrej jego kondycji psychicznej. Wiara sama w sobie jest wspaniałą sprawnością i nie ma potrzeby się jej wstydić, o ile nie przybiera ona form patologicznych. Taka wiara zbiorowa, która porządkuje życie społeczne i wprowadza w nie harmonię, jest bardzo pożyteczna i potrzebna.

Uczony wypowiada swoje opinie jak ktoś, kto nieustannie poszukuje, a nie jak ktoś, kto uważa, że posiadał już prawdę ostateczną. Zamiast słowa „wierzę”, uczony woli użyć „dopuszczam możliwość”. Chętnie zgodzi się z Kopernikiem (De revolutionibus ...), że „... myśli uczonego są niezależne od sądu ogółu – ponieważ dążeniem uczonego, o ile tylko ludzkiemu rozumowi pozwala na to Bóg, jest szukanie we wszystkim prawdy”. Dla uczonego za błąd metodologiczny uchodzi dosłowna interpretacja tekstów jakichkolwiek pism świętych. Bliższa jest mu postawa Fausta, wyrażona przez Goethego w scenie tłumaczenia Ewangelii Św. Jana:

Więc: „Na początku – czytam – było Słowo”
Tum utknął już! Któż da mi formę nową?
Wszak słowo dla mnie tak wiele nie znaczy!
Muszę to jakoś przełożyć inaczej,
Jeślim od Ducha jest oświecon dziś.
A zatem: „Była na początku Myśl.”
Pilne baczenie daj tym pierwszym zgłoskom,
Aby cię czasem pióro nie poniosło!
Czyż tylko Myśl ten Wszechświat w ruch wprawiała?
Powinno brzmieć: „Moc na początku była.”
Lecz i tu także, choć rzecz zda się prosta,
Coś mnie ostrzega, bym przy tym nie został.
Już wiem! Duch światłem mi pomaga swym,
I piszę już: „Był na początku Czyn.”

Na zakończenie powyższych, trochę luźnych i niepełnych, rozważań na temat wiary naukowców warto przywołać poglądy Jana Pawła II, z którymi utożsamia się pewnie większość współczesnych uczonych, i to niezależnie od tego czy są wierzącymi czy ateistami:

„Kościół i wspólnota naukowa będą nieuchronnie oddziaływać między sobą, nie ma tu miejsca na izolację. Chrześcijanie będą niechybnie przyswajać sobie aktualne poglądy na świat, a te są dziś kształtowane przez naukę. Jedynym pytaniem jest tylko to, czy będzie się to dokonywało w sposób krytyczny czy też zupełnie bezrefleksyjny; z wyczuciem głębi i subtelności, czy z powierzchownością, która poniża Ewangelię i przynosi nam wstyd wobec historii. Naukowcy, jak wszystkie ludzkie istoty, będą podejmować decyzje dotyczące tego, co ostatecznie nadaje sens i wartość ich życiu i ich pracy. Mogą to robić dobrze lub źle, z refleksyjną głębią, jaka może im pomóc osiągnąć mądrość teologiczną, lub z nierozważnym absolutyzowaniem swoich wyników poza rozsądne i właściwe tym wynikom granice. Zarówno Kościół, jak i wspólnota naukowa stoją w obliczu alternatyw, przed którymi nie ma ucieczki. Będziemy dokonywać naszych wyborów znacznie lepiej, jeżeli będziemy żyć we wzajemnej współpracy, do której jesteśmy wezwani, i którą winniśmy realizować coraz pełniej.” (Z posłania JP II do Dyrektora Obserwatorium Watykańskiego)

”... Na koniec pragnę zwrócić się także do naukowców, których poszukiwania są dla nas źródłem coraz większej wiedzy o Wszechświecie jako całości, o niewiarygodnym bogactwie jego różnorodnych składników, ożywionych i nieożywionych, oraz o ich złożonych strukturach atomowych i molekularnych. Na tej drodze osiągnęli oni – zwłaszcza w obecnym stuleciu – wyniki, które nie przestają zdumiewać. Kieruję słowa podziwu i zachęty do tych śmiałych pionierów nauki, którym ludzkość w tak wielkiej mierze zawdzięcza swój obecny rozwój, ale mam zarazem obowiązek wezwać ich, aby kontynuowali swoje wysiłki, nie tracąc nigdy z oczu horyzontu mądrościowego, w którym do zdobyczy naukowych i technicznych dołączają się także wartości filozoficzne i etyczne, będące charakterystycznym i nieodzownym wyrazem tożsamości osoby ludzkiej. Przedstawiciele nauk przyrodniczych są w pełni świadomi tego, że poszukiwanie prawdy, nawet wówczas, gdy dotyczy ograniczonej rzeczywistości świata czy człowieka, nigdy się nie kończy, zawsze odsyła ku czemuś, co jest ponad bezpośrednim przedmiotem badań, ku pytaniom otwierającym dostęp do tajemnicy.” (Fides et ratio, 106)

Wiarę naukowca powinna cechować wyjątkowa otwartość na prawdę o Wszechświecie i jego Stwórcy, w tym również o samym człowieku. Naukowe dochodzenie prawd to proces długotrwały i złożony, wymagający bardzo ciężkiej pracy i wiary w sens tego, co się robi. Bywa, że tylko bardzo silna wiara w ten sens, pozwala uczonemu, często w działaniu „pod prąd”, odkrywać tajemnice natury. Wspaniałym przykładem uczonego wielkiej

wiary był np. Johannes Kepler, który pokazał ludzkości jak skutecznie dochodzić prawd o przyrodzie i jak bez żalu odstępować od błędnych wyobrażeń, nawet, jeśli stoją za nimi uznane autorytety nauki czy religii.



Bogdan Wszolek (fot. J. Kruk)

Stymulacja zainteresowania niebem w planetarium

Bogdan Wszolek^{1,2}

¹Instytut Fizyki, AJD w Częstochowie

²Obserwatorium Astronomiczne Królowej Jadwigi w Rzepienniku Biskupim

[Treść referatu wygłoszonego podczas VII międzynarodowej konferencji
„Astronomia XXI wieku i jej nauczanie”, Niepołomice, 17-19.X.2014 r.]

Od uświadomienia sobie przez pierwotnego człowieka istnienia bytów pozaziemskich, takich jak Słońce, Księżyc i gwiazdy, zrodziła się tęsknota za ich zrozumieniem i fizycznym zbliżeniem się do nich. Wobec oczywistych dzisiaj powodów, zrozumienie, a tym bardziej eksploracja tych odległych światów, to zadanie bardzo trudne. Pozostało więc człowiekowi na początek ujmować sprawy widoczne na niebie przede wszystkim w sposób uczuciowy, emocjonalny. Pobudzona wyobraźnia wydawała owoce w postaci najróżniejszych baśni i mitów na temat Kosmosu i zamieszkujących go istot. Filozofia, zasadzająca się na pracy wolnych umysłów, wypracowała na przestrzeni tysiącleci naukowe metody poznawania Kosmosu. Astronomia dostarczała w przeszłości, a jeszcze silniej czyni to dzisiaj, podniety dla wielu rozważań filozoficznych i teologicznych. Leży ona u podstaw większości wierzeń religijnych i w miarę postępu pozwala coraz lepiej je porządkować i oczyszczać z fałszywych mitów. Astronomia stymuluje też rozwój innych nauk przyrodniczych i skrzętnie zagospodarowuje ich zdobycze.

Obecna wiedza o niebie jest okupiona ogromnym poświęceniem i niewyobrażalnie wielkim wysiłkiem wielu ludzi, żyjących na przestrzeni tysięcy lat. Tak dawniej jak i dziś, jest bardzo trudna w pozyskaniu, przekazie dydaktycznym i zrozumieniu przez uczących się jej. Dobrze oddaje tą prawdę sentencja „Per aspera ad astra”. Choćby tylko z tego powodu wiedza astronomiczna powinna być traktowana, jako swoiste SACRUM, którego nie godzi się profanować w żaden sposób i przez nikogo. Innego argumentu dostarcza choćby Norwid swoim „A w gwiazdach ręka pisuje Bożą” czy wielki Kepler, który siebie i innych astronomów uważał za „kapłanów Boga Najwyższego w zakresie interpretacji Księgi Natury”.

Wiedza o niebie jest człowiekowi potrzebna, bo, jak to pięknie ujął Ciołkowski, „Ziemia jest kolebką ludzkości, ale nikt nie pozostaje w kolebce na zawsze”. Trzeba zatem człowiekowi czynić sobie Wszechświat poddanym, a to gwarantuje m.in. pewna wiedza o niebie. Najwyższym powołaniem człowieka jest najprawdopodobniej poznawanie i przeobrażanie świata w skali kosmicznej. Trudno jest też o zabezpieczenie ładu w organizacji społecznej bez otwarcia się człowieka na sprawy nieba, Kosmosu. Dlatego należy niestrudzenie kierować myśli ludzi ku rozgwieżdżonemu niebu, którego kontemplacja pomaga zrozumieć Stwórcę

i odnaleźć właściwe powołanie ludzkości, a w ramach niego również swoje własne.

Właściwej wiedzy o niebie dostarczają dziś astronomia i astronautyka. W żadnym razie nie współczesna filozofia, teologia czy religie. Zasługi tych ostatnich można właściwie sprowadzić do wysokich wież w świątyniach, które, skierowane do góry, mogą dla niektórych stać się swoistym „drogowskazem”, impulsem do poważniejszych rozmyślań o niebie. W tym kontekście mocno ujmuje za serce współczesna praktyka stawiania starych raket, jako minaretów w biedniejszych wspólnotach muzułmańskich.

Jeśli zgodzić się z tym, że z wiedzą o niebie należy wychodzić do szerokich mas, a zdaje się to wyjątkowo uzasadnione (mimo obiekcji wielu astronomów), to trzeba zastosować odpowiednie sposoby przekazu tej wiedzy. Przede wszystkim, co chcę tu silnie podkreślić, nie należy astronomii szkodzić przez nieodpowiednie oddziaływanie dydaktyczne. Dlatego, choć przez ostatnie lata, do niedawna, mocno przeżywałem niedomagania polskiego systemu oświaty w zakresie programowego nauczania astronomii, zrozumiałem, że wycofanie astronomii ze szkół właściwie najlepiej służy astronomii. Służy tym, że nie szkodzi! Skoro nie ma dostatecznej ilości dobrych nauczycieli astronomii, przygotowanych merytorycznie i pedagogicznie, to lepiej dać sobie spokój!

Nauczaniu astronomii mogą świetnie, ale nie zawsze tak jest, służyć planetaria – specjalne obiekty, pełniące funkcje dydaktyczne i popularno naukowe, wyposażone w urządzenia do projekcji treści dydaktycznych, w tym i sztucznego rozgwieżdżonego nieba, na półkulistym ekranie. Wielu ludzi traktuje planetarium, jako swoiste miejsce rozrywki. Gorzej, jeśli obsługa planetarium podziela takie podejście i czyni wszystko by rozrywkowo usatysfakcjonować klienta, nie koniecznie troszcząc się o rzetelny przekaz wiedzy astronomicznej. Wtedy działalności planetarium może bardziej przyświecać chęć zysku niż wypełniania ważnej misji, jaką jest szerzenie wiedzy o Wszechświecie. Planetaria - podobnie zresztą jak szkoły, szkolne obserwatoria, astrobazy, planetaria mobilne itp. - też mogą szkodzić astronomii! Trzeba wielkiej mądrości ze strony organizatorów planetariów, by mogły one należycie spełniać swoją dydaktyczną rolę w zakresie masowego szerzenia wiedzy astronomicznej. W pierwotnym zamyśle, planetaria to miejsca specjalne, wyróżnione też architektonicznie, jakby świątynie, w których jest miejsce na rzeczy wzniosłe i nie powinno być miejsca dla spraw pospolitych. Ludzie postrzegający w sobie pierwsze zainteresowania astronomią powinni w planetarium znaleźć oparcie i motywację dla dalszego rozwoju tych zainteresowań. Ludzie, którzy trafiają do planetarium przypadkowo, powinni zostać „oczarowani” tym wszystkim, co tam zobaczą i usłyszą. Nie jest istotne, choć wielu dyrektorów planetariów zgrzytnęłoby tu zębami, czy ludzie Ci przyjdą więcej razy do planetarium. Może lepiej zachować pamięć tego jednego wielkiego

życiowego spotkania z niebem, niżby spotkania takie miały ulec spowszednieniu!

Oferta planetarium powinna obejmować cały zakres oddolnych społecznych oczekiwań. Same seanse to bardzo mało. Wypada w planetariach organizować prelekcje i referaty, kursy wiedzy o Wszechświecie, wieczory dyskusyjne, wystawy problemowe, sesje naukowe i popularno-naukowe, pokazy nieba, konkursy astronomiczne, działania wydawnicze. Możliwości audiowizualne planetarium, choć istotne, nie zastąpią inicjatywy, poziomu i zapału jego pracowników. Chciałoby się, żeby miarą efektywności pracy planetarium była nie tylko liczba osób je odwiedzających, ale, i to przede wszystkim, ilość osób, które zainspirowane w planetarium, podjęły z pozytywnym skutkiem studia astronomii.

Jeśli ktoś chce zostać astronomem, „na własną musi stać się rękę” (parafrazując Fausta Goethego). Planetarium nie jest uniwersytetem i nie jest jego celem nauczanie ludzi astronomii. Może natomiast, i powinno, być instytucją, w której każde pytanie dotyczące spraw nieba otrzyma kompetentną odpowiedź. Ma z niego emanować też harmonia i piękno, będące jakby odbłaskiem Kosmosu. Powinno przede wszystkim skutecznie stymulować zainteresowanie rozgwieżdżonym niebem. Kto zacznie z zainteresowaniem przyglądać się gwiazdom, jeśli odpowiednio wrażliwy, musi w jakiejś mierze im ulec.

Jedną z form działalności planetarium mogą być pokazy teleskopowe obiektów na prawdziwym niebie. Podczas takich pokazów też można zaszkodzić astronomii. Żeby było dobrze, trzeba pokazywać to, i tylko to, co z użyciem określonego teleskopu i przy określonych warunkach obserwacyjnych, da się pokazać wyśmienicie. Nie można ulegać zachciankom uczestników pokazów i pod ich dyktando kierować teleskop na dowolny obiekt, często mało atrakcyjny dla obserwatora. Jeśli pokazujemy kilka obiektów, to warto rozpocząć od mniej atrakcyjnego, a skończyć na najpiękniej wyglądającym.



Dr Bogdan Wszolek we wnętrzu stworzonego przez siebie planetarium cyfrowego w Instytucie Fizyki AJD w Częstochowie. (fot. A. Żyła)

W kierunku lepszego ujęcia relacji nauki i religii



Kiedy jesteśmy racjonalni?

Głos J.H. Newmana w dyskusji nad racjonalnością człowieka

Ks. Piotr Cebula

Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie

Wstęp

Rozwój nauki generował na przestrzeni wieków, przyspieszenie intelektualnego namysłu nad wieloma aspektami ludzkiego życia. W dobie rozwoju nauk empirycznych, kiedy użyta metoda badawcza zaczęła być coraz bardziej skuteczna, zastanawiano się w czym tkwi sedno jej adekwatności w stosunku do poznawanego świata. Najprostsza odpowiedź, istotę sukcesu nauki upatrywała w zastosowaniu języka matematyki i „odkodowywaniu” tajemnicy wszechświata oraz w zaakcentowaniu weryfikacyjnej roli doświadczenia. Nauki przyrodnicze stały się naturalnie ideałem ścisłego, skutecznego myślenia. Nie dziwi więc fakt, iż samo pojęcie racjonalności powiązane było z takim ideałem ścisłości. Za racjonalne zaczęto uważać tylko to, co daje się empirycznie zweryfikować. Metafizyka została w tym nurcie uznana za zbiór bezsensowych zdań. Ta antymetafizyczna tendencja przybrała swą najbardziej radykalną formę w neopozytywizmie, w którym królowały poglądy Koła Wiedeńskiego, walczącego z wszystkim co metafizyczne. Nie możemy jednak zapominać, że ten stopniowy proces zawężania pojęcia racjonalności spotykał się z ustawiczną krytyką, którą formułowali znani myśliciele, nie mogący pogodzić się z traktowaniem racjonalności człowieka jako części ścisłej metody.

Jako przykład przeciwstawiania się zawężaniu pojęcia racjonalności, przedstawimy koncepcję J.H. Newmana, który wystąpił z ostrą krytyką włączania pojęcia racjonalności w sylogistyczny reżim rozumowania. Brytyjski ewidencjonalizm z Paley’em i Whately’em na czele, podjął próbę wykorzystania założeń Locke’a dotyczących relacji wiara – rozum do zbudowania nowej apologetyki chrześcijaństwa. I chociaż projekt się udał, przejął jednak istotne konsekwencje tej operacji. Brytyjska apologetyka została mocno uzależniona od wąskiej koncepcji racjonalności Locke’a. Newman stanowczo sprzeciwił się temu stanowisku proponując własne, rozszerzone jej pojęcie. Na tle tej kontrowersji postaramy się więc ukazać głos Newmana w dyskusji nad racjonalnością człowieka.

Apologetyka Richarda Whately’a

Na przełomie XVIII i XIX wieku grupa anglikańskich myślicieli skupiona wokół uniwersytetu w Oksfordzie dała początek specyficznej, przeintelektualizowanej wersji apologetyki chrześcijaństwa. Apologetyka

dowodowa (*evidential apologetic*), bo o nią chodzi, wyrosła z założeń Locke’a dotyczących realcji rozumu i wiary. Według nich w obrębie rozumu mamy do czynienia z wszelkimi działaniami logicznymi, naukowymi i ogólnie rzecz biorąc racjonalnymi. Pole racjonalności zakreślone jest więc przez zakres używania rozumu i obejmuje porządek naturalny. Wiara natomiast należy do porządku nadprzyrodzonego. Nie stoi w sprzeczności z rozumem, lecz jest ponad nim. Boże Objawienie jest dla Locke’a pewną informacją od Boga, przesłaniem, które może być zweryfikowane jako prawdziwe poprzez cuda i wypełnienie prorocत्व. Wiara, według niego, bazuje na cudach; to one potwierdzają jej prawdziwość. Cuda więc i znaki są jedyną drogą, która może potwierdzić prawdziwość Objawienia, Bożego przesłania. Ten model relacji rozum – wiara wykorzystał Paley w budowaniu swojej apologetyki. Spadkobiercą tego typu uzasadniania wiary była zasadniczo cała tzw. grupa *Noetics School* z Whately’em na czele. Apologetyka dowodowa jest więc wspólnym dziełem Paley’a oraz grupy noetyków.

Należy tutaj zaznaczyć, że Richard Whately (1778–1863) jest mało znanym myślicielem, który jednak odegrał znaczną rolę w historii XIX wiecznej logiki. Był anglikańskim pastorem i profesorem na uniwersytecie w Oksfordzie. Jego działalność naukowa została na pewien czas przerwana, kiedy otrzymał probostwo na jednej z anglikańskich parafii. Po krótkim czasie powrócił jednak na uniwersytet i od tej pory zaczął prowadzić niezwykle dynamiczną pracę intelektualną. W 1826 wraz ze swoim nowym współpracownikiem J.H. Newmanem opublikował zasadnicze dzieło *Elements of Logic*, po dwóch latach zaś podręcznik *Elements of Rhetoric*. Kolejne lata pracy przyniosły następne rozprawy, które w dużej mierze były traktatami apologetycznymi oraz wykładami i kazaniami z tej dziedziny. Po nominacji na arcybiskupa Dublina w 1831 ostatecznie opuścił uniwersytet oddając się całkowicie działaniom duszpasterskim. Nie porzucił jednak wcześniejszych pasji intelektualnych. Pracował nad rozwojem poziomu edukacji w Irlandii i pisał kolejne książki.

Protest Newmana przeciw zawężonemu pojęciu racjonalności w apologetyce

W latach trzydziestych XIX wieku apologetyka ta spotkała się z ostrą krytyką ze strony traktarianów⁸¹, których główną postacią był Newman.

⁸¹ Tym terminem określamy grupę reformatorów skupionych wokół uniwersytetu w Oksfordzie, którzy pragnęli odnowy Kościoła anglikańskiego. Czas ich działalności przypadł na pierwszą połowę XIX wieku. Głównym przedstawicielem tego kręgu myślicieli był J.H. Newman. Wydawali oni pisma, w których przedstawiali swoje tezy, proponując ewentualne kierunki odnowy. Zatytułowane one były *Tracts for the Times*, skąd też pochodzi nazwa całej tej grupy „traktarianie”.

Podkreślali oni rolę autorytetu Kościoła i jego tradycyjnego nauczania w rozpoznawaniu właściwych fundamentów wiary. Podstawą tego napięcia były odmienne założenia relacji wiara – rozum, na których obie grupy myślicieli opierały swoje poglądy. Zwolennicy *evidential apologetic* bazowali na założeniach Locke’a, traktarianie zaś na modyfikacjach poczynionych przez Newmana. Przejął on bowiem niektóre elementy filozofii swego mistrza, aby następnie poddając je pewnym zmianom, stać się jego głównym przeciwnikiem, szczególnie na polu teologicznym. Reperkusje różnic zauważalne były szczególnie w tej dziedzinie wiedzy, ponieważ sedno rozbieżności pomiędzy Whately’em a Newmanem przebiegåło na linii wiara – rozum, co spowodowało niemalże automatyczną rozbieżność w kwestiach dogmatycznych⁸².

Newman analizując metodę apologetyki dowodowej staje wobec wątpliwości: albo wiara nie ma nic wspólnego z logiką, z rozumem (skoro przyjmuje się w niej model wiara – rozum Locke’a) albo wiara jest innym rodzajem rozumowania, różnym od ścisłej logiki, czego nie dostrzegali reprezentanci tej grupy. Odrzuca pierwszy człon alternatywy, uważając go za absurdalny i poszukuje odpowiedzi na drugi. Newman konstruując swoją alternatywną apologetykę, utrzymuje, że wiara jest pewnym rodzajem rozumowania (*faith itself is a kind of reasoning*). Przyjęcie takiego założenia uderza w główny paradygmat *evidential apologetic*, wyrażający się w dychotomii wiara – rozum. Podział na *original process of reasoning* i *analysis of that process*, na bazie którego Newman buduje swoją koncepcję wiary, jest po części jego pomysłem, w głównej zaś mierze zapewne samego Whately’a. W tym punkcie pojawia się zasadnicze rozejście poglądów Whately’a i Newmana. O ile obaj przyjmowali omawiany powyżej podział, o tyle inaczej rozumieli rolę sylogizmu w jego określaniu. Newman zgadzał się, że rozumowanie (*reasoning*) może być wyrażone w formie sylogizmu, lecz całkowicie odrzucał pogląd, który był istotny dla Whately’a, że ten proces musi być wyrażony w tej formie, aby uznać go za poprawny (*valid*). Rozumowanie nie jest dla Newmana, jak ujmuje to Whately, pewną sztuką (*art*), lecz żywą spontaniczną energią (*reasoning is a living spontaneous energy*). Główną różnicą, która napędzała kolejne dysharmonie pomiędzy *evidential apologetic* a „alternatywną apologetyką” Newmana, wydaje się być zupełnie odmienne rozumienie pojęcia *reasoning* w obrębie tych dwóch kształtujących się w tamtym czasie tradycji apologetycznych. Według Newmana *reasoning* nie musi podlegać prawom sylogizmu, a i tak jego wnioski mogą być prawdziwe, ponieważ wypływają z racjonalnej aktywności człowieka, czyli są przejawem owej żywej, spontanicznej

⁸² Por. G. Zuijdwegt, *Richard Whately’s influence on John Henry Newman’s Oxford University Sermons on faith and reason (1839–1840)*, „Newman Studies Journal”, 10(2013)1, s. 84–87.

energii. Jego zdaniem naukowa analiza *reasoning* czasami może być bardziej szkodliwa niż pożyteczna. Według Newmana nie zawsze jesteśmy w stanie podać silne argumenty, przedstawić uzasadnienie naszej wiary, a mimo to jest ona ciągle pewnym rodzajem rozumowania i w tym sensie jest racjonalna. Wynika to z faktu, że ten rodzaj rozumowania można nazwać, według niego, *implicit reasoning*, co oznacza, że jest to rozumowanie nie wprost, ukryte. Rozumowanie czysto naukowe jest typem, który można na zasadzie przeciwieństwa nazwać *explicit reasoning*. Rozumowanie ukryte nie potrzebuje więc takiej weryfikacji jakiej żądamy od rozumowania drugiego rodzaju⁸³.

Newmanowska krytyka uporczywego poszukiwania dowodów wiary, jak czyniła to *evidential apologetic*, wypływała więc z tych założeń, które mając swą genezę w innym rozumieniu pojęcia *reasoning*, przekładały się na bardziej szczegółowe różnice. Ukazana baza pojęciowa apologetyki Newmana, bardzo szybko spotkała się z zarzutami ze strony noetyków, którzy oskarżali go o irracjonalizm, o budowanie koncepcji wiary opierającej się na niewystarczającej podstawie. Ich zdaniem koncepcja wiary promowana przez Newmana jest niebezpieczna dla wierzących, którzy mogą czuć się pogubieni w tym podważaniu „obowiązującego paradygmatu” apologetyki. Jednak dla noetyków wszystko, co nie dało się „wtłoczyć” w dedukcyjny schemat rozumowania było irracjonalne. Z perspektywy Newmana zaś i jego „poszerzonego pola racjonalności”, wewnątrz irracjonalne są tak sformułowane zarzuty.

***Poszerzenie zakresu reasoning w późnej filozofii Newmana*⁸⁴**

Poprzez późną filozofię Newmana rozumiemy główne jego dzieło *Logikę wiary*. Zawiera ono analizę pojęcia „przyświadczenie” (*assent*), osadzając ją na szerszym tle rozważań epistemologicznych. Newman w tym okresie swej twórczości nie buduje koncepcji epistemologii tylko po to, aby wprowadzić pewne *novum* w zastane dziedzictwo myśli filozoficznej, lecz wprowadzony przez niego układ pojęć ma służyć jednemu podstawowemu zadaniu – ukazaniu racjonalności wiary. Sprzeciwia się koncepcjom traktującym ją jako „twór” obcy temu, co rozumne w człowieku, a religię jako zbiór niczym nie uzasadnionych twierdzeń. Staje w obliczu pytań, które często zadawane były w Anglii w epoce wiktoriańskiej (również możemy je często słyszeć i dzisiaj): Czy człowiek wierzący potrafi podać logiczne uzasadnienie swojej wiary? Czy może za pomocą formuł logicznych rozpisać wnioskowanie, za pomocą którego uwierzył? Czy jest w stanie podać bezspornie prawdziwe przesłanki swego rozumowania? Koncepcja Newmana staje w opozycji

⁸³ Por. *ibidem*, s. 87 n.

⁸⁴ W tym punkcie wykorzystano fragmenty z P. Cebula, *Prawdopodobieństwo: droga do pewności? Probabilistyka w myśli J.H. Newmana*, „Racjonalia”, 3(2013), s. 81–96.

wobec stanowiska przykładowego skrajnego racjonalisty, bardzo wąsko ujmującego pojęcie racjonalności, który do uznania czegoś za racjonalne wymaga prawdziwości aksjomatów, niesprzeczności przesłanek, czy używając języka scholastycznego – poprawności sylogizmu. W obliczu zaś braku możliwości przedstawienia wszystkich tych elementów przez człowieka wierzącego, nadaje mu często etykietę istoty żyjącej w błędzie i kierującej się błędnymi zasadami. Gdyby jednak odpowiedź na żądania owego racjonalisty była możliwa, tzn. gdyby istniała formuła logiczna prowadząca do wiary, pewien jej „algorytm” czy miałaby ona siłę „ożywiania” wiary? Newman odpowiada ironią na to pytanie, pisząc:

Logika stanowi słabą siłę przekonywającą dla tłumów. Oddaj jednak parę strzałów zza rogu, a wtedy możesz mieć nadzieję, że nawrócisz sylogizmem[...]. Logikom więcej chodzi o prawidłowe wnioskowanie, niż o prawidłowe wnioski[...]. Dla większości ludzi argumentacja czyni tylko rozważaną tezę tym bardziej wątpliwą i o wiele mniej przekonywającą[...]. Życie jest dla działania. Jeżeli domagamy się dowodów wszystkiego, nigdy nie dojdziemy do działania; żeby działać, trzeba założyć, a takie założenie to wiara⁸⁵.

Ten, kto wierzy, często nie jest w stanie podać jakiegokolwiek ciągu wnioskowania, na podstawie którego doszedł do wiary. Czy oznacza to, że postawa wierzącego jest zupełnie bezsensowna? Kiedy zapytamy człowieka wiary: dlaczego wierzysz? Niejednokrotnie otrzymamy odpowiedź: ponieważ jestem o tym głęboko przekonany. Czy taką postawę możemy jeszcze nazwać racjonalną? Newman już w jednym ze swoich kazań uniwersyteckich mocno podkreślał:

[...] wiara, choć w każdym przypadku jest procesem rozumnym, nie jest koniecznie oparta na dociekaniach, argumentacji czy dowodzeniu; te procesy są jedynie formą eksplikatywną przyjmowaną przez rozum w przypadku niektórych konkretnych umysłów⁸⁶.

Te słowa samego Newmana odzwierciedlają podział, któremu wierny był w całości swoich rozważań. Rozumowanie człowieka wyznacza granicę racjonalności. Jest ono czynnością rozumu, którą można podzielić na: wnioskowanie formalne (dedukcyjne – wnioskowanie *par excellence*), wnioskowanie nieformalne (zasadniczo wnioskowanie indukcyjne) oraz wnioskowanie naturalne⁸⁷. Dwubiegunowość: rozum eksplikatywny i rozum

⁸⁵ J.H. Newman, *Logika wiary*, tł. P. Boharczyk, Warszawa 1989, s. 88 n.

⁸⁶ J.H. Newman, *Rozum implikatywny i eksplikatywny* [w:] Idem, *Kazania uniwersyteckie*, tł. P. Kostyło, Kraków 2000, s. 243.

⁸⁷ Por. L. Richardson, *Newman's approach to knowledge*, Herefordshire 2007, s. 93–120.

implikatywny, o której mówi w zacytowanym kazaniu, reprezentuje odpowiednio pierwszy element oraz połączenie drugiego i trzeciego tej triady. Przez rozum implikatywny definiuje więc Newman zarówno wnioskowanie nieformalne jak i naturalne. Czym zatem jest wnioskowanie naturalne?

Aby to szerzej ukazać sięgnijmy do *Etyki Nikomachejskiej* Arystotelesa. Stagiryta, któremu trudno odmówić racjonalnego myślenia, zachęca aby słuchać rady starszych, mądrych ludzi. Dlaczego? Ponieważ oni często znając prawdę, uchwytyją ją niejako „od razu”, bez przechodzenia żmudnego procesu wnioskowania. Możemy zapytać: na jakiej podstawie mogą podać wskazówkę praktyczną człowiekowi, który staje przed problemem i szuka rady, aby go rozwiązać? Praktykowanie cnót, nabywanie ich, doświadczenie życiowe czyni ich zdolnymi do udzielenia właściwej rady, czyli do podania wniosku, bez ukazywania poszczególnych przesłanek swego rozumowania, których często, choćby nawet chcieli, nie są w stanie podać, ponieważ czują tylko (lub aż) „instynktownie”, że rozwiązanie powinno być właśnie takie⁸⁸.

Niezaprzeczalnym faktem jest, że filozofia Arystotelesa miała dla Newmana istotne znaczenie, szczególnie na płaszczyźnie teorii poznania i etyki⁸⁹. Kiedy więc zestawiamy jego myśl z pewnymi elementami filozofii Stagiryty, zauważamy interesujące analogie. Każdy człowiek wykorzystując swą ludzką naturę może również osiągnąć „spontaniczne postrzeganie prawdy”, może prawdę uchwycić niejako „od razu”, bez konieczności podawania poszczególnych przesłanek procesu dochodzenia do niej. Podobny jest wtedy do człowieka, który poprzez praktykowanie cnót nabył tej zdolności, którą u Arystotelesa nazywamy mądrością praktyczną (*phronesis*) a u Newmana *illative sense* – zmysłem wnioskowania⁹⁰.

Zmysł wnioskowania jest więc działaniem rozumu implikatywnego operującego w dziedzinie konkretów, działania praktycznego i jest, obok rozumu eksplikatywnego, mającego zastosowanie w zakresie filozofii i w naukach przyrodniczych, jednym z dwóch podanych przez Newmana

⁸⁸ Por. J. Kłos, *John Henry Newman i filozofia. Rozum – przyświadczenie – wiara*, Lublin 1999, s. 202 n.

⁸⁹ Niektórzy interpretatorzy Newmana wprost wyrażają opinię: „Daß Aristoteles die primäre Quelle Newmans ist, steht heute außer Zweifel”. E. Bischofberger, *Die sittlichen Voraussetzungen des Glaubens*, Mainz 1974, s. 12.

⁹⁰ Por. J. Kłos, *op. cit.*, s. 198–205. Należy od razu jednak podać pewne zastrzeżenie wobec tej analogii: „«Phronesis» dotyczy jednak zmieniających się obowiązków ludzkich, a zmysł konkluzji – niezmiennych prawd; wobec tego można by zaakcentować nie analogię, ale odrębność między tymi dwoma zdolnościami. Mimo to Newman zauważa, że analogia jest uzasadniona, gdyż opiera się na tych samych zasadach, które kierują zarówno rozpoznawaniem obowiązków, jak i rozpoznawaniem prawd”, J. Życiński, *Pewność wiary a „illative sense” jako zasada epistemologiczna według J.H. Newmana*, „Summarium” 33(1984)13, s. 34.

rodzajów użycia rozumu⁹¹. Jak według Arystotelesa „wyostrzyć” mądrość praktyczną? Po prostu należy jej używać – praktykować, rozwijać cnoty, aby coraz bardziej umieć podejmować właściwe działania w codzienności. Newman, podobnie jak Arystoteles, tę zdolność *illative sense* odnosi do konkretów i podobnie, według niego, potrzebuje ona praktykowania, aby była jak najmniej zawodna⁹². Łączy ona w sobie coś z naturalnej zdolności, geniuszu, pewnej zdolności nabywania umiejętności podejmowania słuszných decyzji, dawania właściwej odpowiedzi. Newman często podaje przykład Newtona i Napoleona, którzy łączyli w sobie wszystkie te cechy, co prowadziło ich do sukcesów wynikających z trafnych przypuszczeń.

Illative sense wyraża więc to wszystko, co łączy się z etymologią tego określenia. Jest pewnym zmysłem inferencji. Często nie jesteśmy w stanie podać mechanizmów działania tego zmysłu, lecz możemy zobaczyć efekty posługiwania się nim. Dlatego też Newman nie pragnie rozstrzygnąć wewnętrznego mechanizmu jego działania, lecz chce zwrócić uwagę, że człowiek jest w stanie dochodzić do poprawnych wniosków niekoniecznie posługując się sylogistycznymi figurami i trybami. Znane jest jego sformułowanie, że badając naturę rozumności człowieka nie koncentruje się na analizie „sprężyn myśli”⁹³.

Stwierdzenie to nie jest bynajmniej zanegowaniem przez niego sensu przyszłych badań kognitywnych, lecz zaakcentowaniem efektów działania rozumu człowieka, tzn. definiowania racjonalności podmiotu w oparciu o zaobserwowane różne rodzaje rozumowania. Określenie to podkreśla istotną rolę rozumowania *implicite*, które często niezmiennie takim pozostaje. Trudno bowiem wyjaśnić jego naturę. Wchodząc zaś w jego „środek”, próbując rozłożyć jego „sprężyny” niczego nie odkrywamy a jedynie zaburzamy jego funkcjonowanie. Można powiedzieć, że próbując poznać mechanizm działania rozumowania ukrytego, staramy się sprowadzić go do rozumowania *explicite*, a tym samym przeprowadzamy próbę redukcji do niego wszystkich innych typów rozumowań. Gdyby taka próba się powiodła, zbytecznym byłoby rozróżniać inne typy rozumowania oprócz *explicite*. Taka redukcja w duchu filozofii Newmana jest nie tylko niemożliwa, lecz także jej próba jest szkodliwa.

⁹¹ Por. S. Gałęcki, *Johna Henry'ego Newmana wizja nauki*, „Semina Scientiarum”, 8(2009), s. 24 n.

⁹² Nie odnosimy się w naszych rozważaniach do sfery moralności, w której *illative sense* pod pewnymi warunkami można utożsamiać z sumieniem. „Najprościej można byłoby powiedzieć, że zmysł wnioskowania to – innymi słowy – dobrze ukształtowane sumienie”. J. Kłos, *op.cit.*, s. 205.

⁹³ „Wnikanie w nasze intelektualne procesy nie jest najlepszym środkiem uchronienia nas przed wahaniem intelektualnymi. Wtrącanie się do sprężyn myśli i działania w rzeczywistości osłabia je”. J.H. Newman, *Logika wiary*, tł. P. Boharczyk, Warszawa 1989, s. 175.

W kontekście tak sformułowanego problemu racjonalności w filozofii Newmana, postaramy się podać jego ostateczną odpowiedź na pytanie: kiedy jesteśmy racjonalni? Prawdopodobnie brzmiałaby ona następująco: Jesteśmy racjonalni, kiedy rozumujemy bądź to wprost (*explicit reasoning*) bądź w sposób ukryty (*implicit reasoning*).

Próba analizy „sprężyn myśli” w Szkole Lwowsko – Warszawskiej

Naturalna ciekawość badawcza nie pozwala oczywiście pozostawić trudnych spraw niewyjaśnionymi. Sugestia Newmana o nierozkręcaniu „sprężyn myśli” nie została więc przyjęta. Dlatego też próba odpowiedzi na pytanie: kiedy jesteśmy racjonalni?, znalazła swoją nową odsłonę w kręgu filozofii analitycznej. Warto tutaj przywołać próby zdefiniowania terminu *reasoning* i konsekwentnego określenia zakresu pojęcia racjonalności w kręgu najbardziej znanej polskiej szkoły analitycznej. Ukażmy funkcjonowanie terminu „rozumowanie” wśród wybranych członków filozoficznej Szkoły Lwowsko – Warszawskiej.

Kazimierz Twardowski definiuje rozumowanie jako pewne czynności umysłowe poprzez które uznajemy, że pomiędzy dwoma lub kilkoma sądami, zachodzi związek racji (*R*) do następstwa (*N*). W jego koncepcji rozumowanie nie jest pojęciem ogólnym dla wnioskowania i dowodzenia, lecz stanowi jedynie formę poprawnego procesu umysłowego. Rozumowanie jest bowiem uznaniem, że istnieje stosunek pomiędzy racją a następstwem, nie zaś uznaniem któregośkolwiek z jego członów⁹⁴. Rozumowanie w ujęciu Twardowskiego można wyrazić w następującej formie: „Jeżeli prawdą jest $R(R_1, R_2, \dots)$ wtedy też prawdą musi być N ”⁹⁵, wnioskowanie i dowodzenie natomiast przybiera następującą postać: „Ponieważ (skoro) prawdą jest $R(R_1, R_2, \dots)$, przeto też prawdą musi być N ”⁹⁶.

Dla Jana Łukasiewicza natomiast, pojęcie „rozumowanie” jest terminem uogólniającym cztery czynności intelektualne: wnioskowanie, sprawdzanie, tłumaczenie i dowodzenie. Wnioskowanie i sprawdzanie są dedukcyjnym rodzajem rozumowania, tłumaczenie i dowodzenie zaś, redukcyjnym. Różnica pomiędzy nimi leży w punkcie rozpoczynającym rozumowanie. Jeżeli wychodzimy od racji i szukamy następstw, to mamy do czynienia z rozumowaniem dedukcyjnym, kiedy natomiast wychodzimy od następstw i szukamy racji, to wtedy postępujemy według schematu rozumowania redukcyjnego. Łukasiewicz pisze: „Jeśli z danych sądów pewnych wyprowadzamy następstwa, *wnioskujemy*; jeśli do danych sądów pewnych doszukujemy racji, *tłumaczymy*. Jeśli szukamy sądów pewnych, które by

⁹⁴ Por. J.J. Jadacki, *et. al.*, *O rozumowaniach w nauce* [w:] *Granice nauki*, M. Heller (red.), *et. al.*, Kraków–Tarnów 1997, s. 101.

⁹⁵ *Ibidem*, s. 101.

⁹⁶ *Ibidem*.

z danych *niepewnych* wynikały jako następstwa, *sprawdzamy*; jeśli szukamy sądów pewnych, z których by dane *niepewne* wynikały jako następstwa, *dowodzimy*”⁹⁷. Według Łukasiewicza rozwój nauki najwięcej zawdzięcza tłumaczeniu, które w najpełniejszy sposób ukazuje czynnik twórczy w nauce. Jednym z rodzajów tłumaczenia jest indukcja niezupełna oraz tworzenie hipotez. Pierwszy pozwala z sądów typu S_1 jest P , S_2 jest P , S_n jest P doszukiwać się racji w postaci sądu ogólnego „każde S jest P ”. Drugi natomiast pozwala przyjmować istnienie faktu nie stwierdzonego w doświadczeniu⁹⁸.

Definicję rozumowania podaną przez Łukasiewicza możemy zrekonstruować dwuaspektowo. Pierwsza możliwość to wyodrębnienie wszystkich czterech przedstawionych powyżej specyfikacji tego procesu, czyli wskazanie niejako na jego funkcjonowanie w praktyce. Możemy jednak odwrócić kierunek definiowania i poszukać elementu wspólnego dla wnioskowania, sprawdzania, tłumaczenia i dowodzenia, który najbardziej precyzyjnie wyraża treść pojęcia „rozumowanie” u Łukasiewicza. Postępując tą drugą drogą stwierdzamy, że dla niego cechą istotową tego terminu jest „logiczna zasada rozumowania”. Łukasiewicz podkreśla: „W każdym rozumowaniu tkwi jednak *formalny* czynnik twórczy: logiczna *zasada rozumowania*. Zasada rozumowania to sąd orzekający, że między pewnymi formami sądów zachodzi stosunek wynikania. Sylogizm: «jeśli S jest M , a M jest P , to S jest P », jest zasadą rozumowania”⁹⁹.

Ks. Salamucha, uczeń Łukasiewicza, dokonał pierwszej znaczącej modyfikacji koncepcji swego mistrza. Jego zdaniem terminologia Łukasiewicza odbiega od potocznego rozumienia redukcji i dedukcji. Wprowadza bowiem zamęt terminologiczny klasyfikując dowodzenie jako typ rozumowania redukcyjnego, nie zaś dedukcyjnego. Dlatego też Salamucha ogranicza rodzaje rozumowań do dwóch możliwości:

- „(1) kiedy racja (A) jest pewna, a następstwo (B) niepewne,
- (2) kiedy racja (A) jest niepewna, a następstwo (B) pewne”¹⁰⁰.

Przypadek pierwszy, jego zdaniem, wyraża rozumowanie dedukcyjne, drugi natomiast redukcyjne. Salamucha wprowadzając te zmiany przyjął jednak ogólną definicję rozumowania ustaloną przez Łukasiewicza zakładającą, że polega ono na wynajdowaniu racji dla danych następstw lub następstw dla danych racji. Próbując podporządkować cztery rodzaje rozumowania Łukasiewicza pod „poprawki” jego ucznia można stwierdzić, że

⁹⁷ J. Łukasiewicz, *O twórczości w nauce* [w:] Idem, *Z zagadnień logiki i filozofii. Pisma wybrane*, Warszawa 1961, s. 70 n.

⁹⁸ *Ibidem*, s. 71 n.

⁹⁹ *Ibidem*, s. 72 n.

¹⁰⁰ J.J. Jadacki, *et. al.*, *op. cit.*, s. 106.

wnioskowanie i dowodzenie jest dedukcyjnym typem rozumowania, tłumaczenie zaś i sprawdzanie, redukcyjnym¹⁰¹.

Kotarbiński, kolejny członek Szkoły Lwowsko – Warszawskiej, przed wojną dzielił rozumowanie na ujmowane w sensie szerokim i w sensie wąskim. Pierwszy określa to, co jest przeciwstawione pracy fizycznej a jest pracą umysłu. Drugie wyraża przechodzenie od jednych sądów do drugich. Po wojnie jego stanowisko stało się bardziej przejrzyste. Rozumowanie było dla niego myśleniem uzasadniającym. Poprzez taką koncepcję mocno odszedł od założeń Twardowskiego, który postulował neutralność rozumowania względem uzasadniania. W podziale rozumowań wykorzystał schemat dwupodziału na dedukcję i redukcję rozumiejąc ich naturę podobnie jak Salamucha. Z czasem jako odpowiedniki terminologiczne dedukcji i redukcji zaczęły pojawiać się w jego koncepcji słowa „progresja” i „regresja”¹⁰². Koncepcja Salamuchy i Kotarbińskiego bezpośrednio znalazła swoje odzwierciedlenie w podobnych ideach Czeżowskiego.

Z krytyką wobec Łukasiewicza wystąpił Ajdukiewicz, który próbował wykazywać nieadekwatność przedstawionego przez niego podziału rozumowania. Doszukiwał się w nim zarówno formalnych jak i merytorycznych błędów klasyfikacji. Argumentował też, że Łukasiewicz przez swoją definicję wnioskowania zagubił różnicę pomiędzy wnioskowaniem czysto potencjalnym a wnioskowaniem spełnionym. Zarzucił mu tym samym, że wyeliminował potoczne rozumienie wnioskowania sprowadzając je w ramy dedukcyjnego schematu. Jego zdaniem Łukasiewicz poprzez swoją teorię zaniedbał istotny element asercji zdań, skupiając się tylko na formalnym związku pomiędzy sędami. Swoją pozytywną propozycję natomiast, Ajdukiewicz rozwijał stopniowo. Ciągłe jednak podkreślał subiektywny element wnioskowania, który zawiera w sobie moment przyjęcia przesłanek oraz konkluzji przez podmiot przeprowadzający wnioskowanie¹⁰³. Wyraził to następująco: „Nie same tylko przesłanki, lecz także ich uznanie z tym stopniem pewności, od którego we wnioskowaniu wychodzimy, podlega ocenie z punktu widzenia *prawomocności* tego uznania, czyli z punktu widzenia uzasadnienia tego uznania. Wnioskowanie, w którym przesłanki są uznane bez należytego uzasadnienia stopnia pewności, z jakim się je w tym wnioskowaniu uznaje, zawiera błąd, zwany *petitio principii*”¹⁰⁴.

¹⁰¹ Por. *ibidem*, s. 106 n.

¹⁰² Por. *ibidem*, s. 107 n.

¹⁰³ Por. *ibidem*, s. 111–118.

¹⁰⁴ K. Ajdukiewicz, *Logika pragmatyczna*, Warszawa 1974, s. 107.

Podsumowanie

Pytanie „Kiedy jesteśmy racjonalni?” pojawia się na styku rozważań dotyczących nauki i wiary. Ma ono jednak wiele zabarwień znaczeniowych, zależnych od wybranego paradygmatu racjonalności, w którym się poruszamy. W przedstawionym tekście skoncentrowaliśmy się na racjonalności podmiotu definiując ją poprzez powiązanie z pojęciem *reasoning*. Odpowiedź na postawione pytanie została więc uzależniona od treści *reasoning* w wybranym zakresie poszukiwań filozoficznych. Obręb analiz tego terminu został zawężony do badań logiczno-filozoficznych R. Whately’ a i J.H. Newmana, wraz z przyczynami i skutkami późniejszego „pęknięcia” ich wspólnego projektu. Efektem tego procesu było samodzielne sformułowanie przez Newmana pojęcia *reasoning*, które wyraża się w intelektualnej zdolności człowieka do odkrywania prawdziwych wniosków. Zdolność ta jest użyciem naturalnej zdolności człowieka, którą można nazwać rozumowaniem ukrytym lub zmysłem wnioskowania. Tak określone pojęcie *reasoning* definiuje racjonalność człowieka. Według Newmana rozumowanie ukryte jest niezaprzeczalnym faktem, który należy po prostu przyjąć. Wewnętrzna analiza tego procesu, to wnikanie w „sprężyny myśli”, które często może być bardziej szkodliwe niż pożyteczne. Ta teza Newmana ukazuje intuicyjnie ogromną trudność w zdefiniowaniu pojęcia racjonalności podmiotu. Rozważania filozofii analitycznej reprezentowane przez członków Szkoły Lwowsko – Warszawskiej dotyczące tego zagadnienia, potwierdzają problematyczność ścisłego określenia czym jest racjonalność człowieka. Współczesne zmagania językowe, terminologiczne próbujące jasno ująć to zagadnienie wciąż są dalekie od zakończenia. Być może więc Newman w pewnym sensie miał rację. Skala trudności w analizie tego problemu wcale się nie zmniejsza. Moglibyśmy powiedzieć obrazowo, że w miarę zwiększania się złożoności myśli, jej stopnia skomplikowania, wyrafinowania, jej sprężyny stają się coraz bardziej delikatne, narażone na manipulację i zniekształcenie. Wnikanie w „sprężyny myśli” w takim przypadku może zakończyć się zabawą w kiepskiego zegarmistrza, który po rozkręceniu mechanizmu odkrywa nagle, że pozostało mu, według niego, kilka zbędnych części.

W świetle przedstawionych rozważań, możemy stwierdzić, że wkład Newmana w zmagania ze starym pytaniem: kiedy jesteśmy racjonalni? jest znaczący i wart poświęcenia mu uwagi. Przypomina on, że istnieją różne rodzaje rozumowania, które nie są redukowalne do rozumowania dedukcyjnego. One także należą do zakresu tego, co nazywamy racjonalnym. Newman podkreśla także, że być może trudność w określeniu racjonalności podmiotu jest bardziej wyrafinowana i trwała niż nam się to wcześniej wydawało.



Ks. Adam Kłós i ks. Piotr Cebula. *(fot. A. Leśniczek)*

Kształtowanie się pojęcia organizmu na tle sporu Gottfrieda Wilhelma Leibniza z Georgiem Ernstem Stahlem

ks. Adam Kłós

Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie

Pojęcie organizmu

Filozofię definiuje się jako naukę wyrastającą ze zdziwienia nad rzeczywistością. Próbującą ująć i zrozumieć otaczający nas Wszechświat. Jej pojęcia muszą wynikać więc z interakcji z tą rzeczywistością i, w jakiś sposób, wraz ze zmieniającym się światem ewoluować. Ważną rolę w kształtowaniu, oczyszczaniu i dojrzaniu pojęć filozoficznych pełni nauka. Wielkie odkrycia naukowe zmieniają światopogląd człowieka, wyznaczają rozwojowi ludzkości nowe tory i jako takie z pewnością nie są obojętne na formowanie się nowych filozoficznych horyzontów. Niniejsza praca jest próbą przyglądnięcia się narodzinom pojęcia organizmu, które jest kluczowe dla zrozumienia otaczającej rzeczywistości. Sama idea organizmu jest bardzo specyficzna. Po pierwsze do dnia dzisiejszego termin ten daleki jest od jednoznaczności. Organizmem nazywamy zarówno jednokomórkowe bakterie, jak i złożone z wielu tkanek ssaki, ogromne rafy koralowe oraz kolonie termitów (z tak ścisłym podziałem ról, że żadna kasta owadów nie może przeżyć samodzielnie). Niektórzy rozszerzają to pojęcie do tego stopnia, że cały ekosystem traktują jako jeden wielki, ściśle zharmonizowany, żywy organizm. Idea organizmu ze swej natury ma charakter hybrydowy. Podstawowym jej składnikiem będzie oczywiście element empiryczny, ale wydaje się, że analizując go nie obejdziemy się również bez przyjęcia takiej lub innej postawy metafizycznej. Wyjątkowość tego terminu polega również na jego bogatej historii, która skłoniła Bensona do nadania organizmowi tytułu "biologicznego feniksa"¹⁰⁵. Wiele razy już bowiem ogłaszano zbyteczność tego pojęcia, zredukowanie go do części składowych, prostych mechanizmów, nad którymi zawieszona plakietka "organizm" byłaby tylko umownym skrótem opisanych zasad działania. Tymczasem jak mityczny feniks, po czasie uśpienia pojęcie organizmu na nowo rodziło się z popiołów. Jest to wreszcie termin filozoficzny, który chyba bardziej niż pozostałe, czuły jest na odkrycia naukowe.

Po wcześniejszym użyciu łacińskiego słowa "organismus" w źródłach średniowiecznych, słowo "organizm" pojawia się ponownie dopiero w drugiej połowie XVII wieku. Niewątpliwie czas ten jest jednym z najistotniejszych dla rozwoju nauki okresów, w którym następowała recepcja klasycznej mechaniki. Właśnie w kontekście rewolucji naukowej,

¹⁰⁵ Por.: Ch. T. Wolfe, *Do Organisms Have An Ontological Status*, w: *Hist. Phil. Life Sci.*, 32 (2010), s. 197.

poszukiwania nowych narzędzi ujęcia rzeczywistości i ścierania się starych poglądów z nową mechanistyczną wizją świata, zostaje wskrzeszone pojęcie organizmu. Oficjalnie konstrukcję i upowszechnienie idei organizmu przypisuje się polemice Georga Ernsta Stahla z Gottfriedem Wilhelmem Leibnizem. W 1684 roku łacińskie "organismus" pojawia się w medyczno-fizjologicznych pismach Stahla, by około roku 1700 przeniknąć do języków narodowych (francuskiego, niemieckiego i włoskiego). Leibniz używa terminu organizm tylko raz, w liście do Lady Masham w 1704 roku¹⁰⁶.

Wcześniej ciało ludzkie bądź zwierzęce (o którym wierzano, że jest zbudowane z części, zintegrowanych przez duszę, zarządzającą owymi elementami i regulującą je) nazywano zwykle "organizacją", "zorganizowanym ciałem", Kartezjusz zaś mówił o "zbiorze" organów, posiadających "dyspozycję", aby wzajemnie się podtrzymać¹⁰⁷. Dopiero stopniowo pojęcie organizmu wypierało termin organizacji i nabierało obecnego znaczenia: żyjącego indywiduum, posiadającego określoną autonomię, reagującego na bodźce, zdolnego do reprodukcji, wzrostu, rozwoju i podtrzymania swojego istnienia.

Moment powstania tej idei jest o tyle interesujący, że już na samym początku doszło do rozłamu w rozumieniu natury istoty żywej i podziału, który w pewnym sensie ciągnie się do dnia dzisiejszego. Główni bohaterowie tego sporu Leibniz i Stahl, odpowiedzialni za stworzenie nowożytnego pojęcia organizmu, nadali mu bowiem zabarwienie odpowiednio mechanicystyczne lub witalistyczne. Poniżej pokrótce przedstawimy przyczyny zaistnienia tego konfliktu, oraz poglądy biorących w nim udział myślicieli. Spór ten będzie także okazją do ukazania szerszych perspektyw uprawiania filozofii biologii i odmiennych sposobów metodologicznego podejścia do zagadnienia życia.

Spór Gottfrieda Wilhelma Leibniza z Georgem Ernstem Stahlem

Jak wspomnieliśmy wcześniej, termin "organizacja" w drugiej połowie XVII wieku zlał się z pojęciem "organizmu". Na pierwszy plan wysunęło się tym samym pytanie o naturę owej organizacji, mechaniczną bądź też duchową formę występującego w organizmie porządku. Odpowiedź na to pytanie nie była oczywista. Stahl słowo organizm odnosił do ogólnej, regulacyjnej zasady w ciałach zwierzęcych i używał go w celu podkreślenia różnicy między istotą żywą a mechanizmem. Dla Leibniza, przeciwnie, organizm był wykwinną boską maszyną, projektem nieskończonej Inteligencji, operującym za pomocą metafizycznych miniautomatów -

¹⁰⁶ Por.: T. Cheung, *What is an "Organism"? On the Occurrence of a New Term and Its Conceptual Transformations 1680-1850*, w: *Hist. Phil. Life Sci.*, 32 (2010), s. 163.

¹⁰⁷ Tamże, s. 158-9.

monad. Zanim jednak przejdziemy do szczegółów tego sporu, należy wprowadzić na plan jeszcze jednego wspólnego znajomego wspomnianych adwersarzy. Jego postać wpłynęła w największym stopniu na klaryfikację stanowisk Leibniza i Stahla. Mowa tutaj o Friedrichu Hoffmannie.

Tło sporu - mechanicystyczne poglądy Friedricha Hoffmanna

W poprzednim punkcie napisaliśmy, że nowożytny termin "organizm" oficjalnie pojawił się w sporze między Leibnizem a Stahlem. Nieoficjalnie zaś możemy tylko przypuszczać, że został on wypracowany trochę wcześniej i funkcjonował już w środowisku uniwersyteckim Halle. Właśnie ten uniwersytet był miejscem, gdzie w tym samym okresie wykładali medycynę Stahl i Hoffmann. Podczas swoich badań nad próbą ustanowienia "racjonalnej medycyny" Hoffmann odwoływał się do bardzo interesującej i nowatorskiej mechanicystycznej koncepcji organizmu. Zafascynowany ideałem Newtonowskiej fizyki, zapragnął tej samej precyzji i ścisłości naukowej w badaniu istot żywych, dlatego rozważał ciała jako złożone z płynów i części stałych maszyny. Zarówno zdrowie, jak i choroba, jego zdaniem, są wynikiem ruchu cząstek, odbywającego się pod wpływem przemian mechanicznych i hydrodynamicznych. Ponieważ chemia jako nauka stawiała dopiero pierwsze kroki, ówczasnie nie zdziwiło nikogo, że uczony nawet wiązania chemiczne rozumiał na sposób mechaniczny¹⁰⁸, a same ciała nie były dla niego niczym więcej jak "rozszerzoną siłą" (*vires extensae*).¹⁰⁹

Była to pierwsza na taką skalę próba naturalistycznego podejścia do fizjologii i medycyny wykorzystująca narzędzia, które ówczasnie dostarczała nauka. Hoffmann zrezygnował z odwoływania się do wszelkiego rodzaju "sił życiowych", "mocy plastycznych", czy "dusz", jako pojęć odpowiedzialnych za podtrzymanie funkcji życiowych ciała. Zdaniem niemieckiego uczonego źródła wewnętrznego ruchu i koordynacji części należy szukać w samych organizmach bez odwoływania się do zewnętrznych metafizycznych czynników.

"... przez naturę, o której starożytni lekarze twierdzili, że w każdej chwili nieustannie zachowuje ciało i leczy [je] z choroby, rozumiemy nie tylko aktywną zasadę, która porusza naszą maszyną, lub zachowuje ruchy w częściach i odbiera idee zewnętrznych obiektów, ale łącznie cały mechanizm lub organizm, to jest części płynne [zmieszane] w odpowiedniej ilości [oraz] właściwe, pod względem

¹⁰⁸ Pogląd ten utrzymał się do XIX wieku. Por.: P. S. Agutter, *Thinking about Life. The History and Philosophy of Biology and Other Sciences*, Springer 2008, s. 99.

¹⁰⁹ F. Duchesneau, *The Organism-Mechanism Relationship*, w: O. Nachtomy, J. E. H. Smith (red.), *The Life Sciences in Early Modern Philosophy*, Oxford University Press, 2014, s. 101.

budowy i konfiguracji [części] stałe, z wykluczeniem jednakże racjonalnej duszy."¹¹⁰

To właśnie ciało same w sobie powinno być uważane za siłę aktywną. Jego wewnętrzny ruch jest wynikiem precyzyjnie działającego mechanizmu, który można porównać do samoistnie napędzającego się ruchu kół zębatach i trybików mechanizmu zegara. Dla Hoffmanna ciało to istotnie mechanizm, ale szczególnego rodzaju, zaprojektowany bowiem przez Najwyższą Inteligencję i opierający się na odpowiedniej organizacji części składowych (o różnym kształcie, rozmiarze i konsystencji). Taka uporządkowana kombinacja mieszanin i części stałych, z harmonicznie scalonymi aktywnymi i pasywnymi czynnikami generuje ruch, który utożsamiany z życiem zapewnia scalenie komponentów w jedno integralne ciało.

"Jednakże życie, odżywianie, procesy wydzielania, wydalania, cyrkulacja krwi i humorów, wrażenia zewnętrznych rzeczy w naszych zmysłach, mimowolny ruch części [ciała] i mięśni - są powodowane tylko mechanicznymi przyczynami cielesnymi i finalizowane bez żadnej koniecznej pomocy, współpracy, albo zasady działania jakiegoś wolnego czynnika. Właśnie dlatego twierdzimy, że ten mechanizm, będąc sam dziełem najwyższej mądrości, porządku, inteligencji, a więc dyspozycją i instrumentem najwyższej inteligencji Boga, posiada wystarczające siły, nie tylko do pośredniej ochrony maszyny przed gniciem, rozkładem, i do przeciwdziałania zniszczeniu własnej mieszaniny, ale i do oddalenia [groźby] i zapobiegnięcia jakimkolwiek wewnętrznym urazom, które mogłyby spowodować ruinę maszyny; chociaż dokonuje się to wszystko bez żadnej inteligencji, mocą wewnętrznego i właściwego ciała rozumu."¹¹¹

¹¹⁰ F. Hoffmann, *Dissertatio inauguralis physico-medica de natura morborum medicatrice mechanica* (Halæ Magdeburgicæ, DE: Typis Christiani Henckelii, Acad. Typ. [1699]), §8 : "...subintelligimus per naturam, quando dicitur ab antiquissimis medicis, corporis conservatrix & morborum medicatrix, hic non tantum principium machinam nostram movens activum, sive motus in partibus celebrans & externorum obiectorum ideas recipiens, sed simul comprehendimus totum mechanismum seu organismum, id est, partium fluidarum legitimam quantitatem, temperiem, solidarum debitam constructionem ac configurationem, exclusa tamen anima rationali." (cytowane za F. Duchesneau, dz. cyt., s. 102).

¹¹¹ Tamże, §8: "Attamen vita, nutritio, actus secretionum, excretionum, sanguinis & humorum circulatio, impressiones rerum externarum in ipsa sensoria, motus partium & musculorum involuntarii, mere mechanice a causis corporeis physicis conficiuntur & absolvuntur citra ullum necessarium auxilium, concursum, vel operam, principii cuiusdam libere agentis. De hoc itaque mechanismo pronunciamus, esse ipsum opus summe sapientiæ, ordinis, intelligentiæ, & ita a Deo summo intelligente dispositum ac instrumentis & mediis munitum, ut non tantum machinam conservare, a putredine & destructione mixtionis suæ defendere, sed & læsiones quasvis internas, perniciem

Różnica między "boską maszyną" a zaprojektowanym przez człowieka mechanizmem polega więc na:

- wewnętrznej autonomii organizmu; który przewyższając ludzkie konstrukcje, posiada wbudowaną w siebie, wewnętrzną, samodzielną zasadę ruchu, w przeciwieństwie do pneumatycznych i hydraulicznych automatów budowanych przez człowieka, których przyczyna działania wypływa z zewnętrznego źródła,
- samo-reprodukcji; Hoffmann odrzucił hipotezę, jakoby Bóg kształtował z osobna każdą formę istoty żywej. Jego zdaniem ciało samo w sobie posiada moc do odtwarzania i przedłużania gatunku, na podstawie tzw. "zasady nasienia"¹¹². Spoczywające w nasieniu dyspozycje, bez interwencji duszy, zdolne są do kreowania zarówno morfogenezy powstającego organizmu, jak i zapewnienia korespondencji między percepcją a ciągiem wpływających z niej psychofizycznych operacji,
- różnicy w funkcjonalnej doskonałości mechanizmu; boski mechanizm zawiera bowiem nieskończenie wiele zróżnicowanych stanów akcji, w przeciwieństwie do ograniczonej funkcjonalności ludzkich maszyn. Wszystko to sprawia, że ciało ludzkie działa "tak jakby" było kierowane przez duszę, natomiast prawda jest taka, że dobrze zestrojony, zaprojektowany przez Boga mechanizmem w głównej mierze ponosi odpowiedzialność za zachowanie organizmu¹¹³.

Taką wizję organizmu-maszyny uczony z Halle przedstawił Leibnizowi, prosząc o opinię i ewentualne wsparcie w obronie przeciw Stahlowi. 27 września 1699 r. w odpowiedzi na wcześniejszą korespondencję Leibniz pochwalił przedstawioną mechanicystyczną wizję organizmu i wyraził swoje poparcie dla budowania na jego podstawie gmachu racjonalnej medycyny. Głos jednego z największych autorytetów tamtych czasów nie mógł pozostać bez echa dla dalszego rozwoju pojęcia organizmu, a paradoksalnie utarczki uniwersyteckich kolegów (Hoffmanna i Stahla), dały impuls do znacznie poważniejszej dyskusji, w którą został wciągnięty mędrzec z Hanoweru. Zanim jednak udzielimy głosu temu ostatniemu, wysłuchajmy racji drugiej, antymechanicystycznej strony.

Stahłowski animizm

W tym samym czasie co Hoffmann, jego kolega po fachu Georg Ernst Stahl, głosił zgoła inną wizję organizmu. Motywacje, jakie przyświecały powstaniu

machinae intententes, propulsare atque propellere, sufficientibus viribus instructum sit, quamvis hæc omnia fiant sine quadam intelligentia, ratione ipsius corporis interna & propria." (cytowane za F. Duchesneau, dz. cyt., s. 103-104).

¹¹² Tamże, s. 103.

¹¹³ F. Hoffmann, *Dissertatio...*, dz. cyt., §8.

tej koncepcji pozostały jednak te same, z gruntu praktyczne. Podobnie jak Hoffmanowi, doktorowi Stahlowi chodziło o ugruntowanie podstaw dla właściwej praktyki lekarskiej (racjonalnej i efektywnej terapii), która dla Stahla w dużej mierze sprowadzała się właśnie do naprawiania błędów mechanicyzmu¹¹⁴.

Zdaniem tego niemieckiego lekarza nie jest czymś niewłaściwym postrzeganie ciała na wzór maszyny, poważnym wykroczeniem jest jednak widzenie w nim wyłącznie mechanizmu. Stahl pisze:

"Dalekim od prawdy, byłoby zasadą życiową nazywać właściwe ułożenie części ciała, takich jak łuki, włókna, ścięgna, stawy, więzadła, dźwignie, rzepki, zbiorniki, pompy, kanaliki, zaćmy, zastawki, sita i kto wie co jeszcze; lub z maszyn, pneumatycznych, hydraulicznych ... wprost wyprowadzać wnioski o formowaniu żywego ciała. Tak tylko osiągniemy jedynie nieustanne pomieszanie mechanizmu i organizmu."¹¹⁵

Maszyny nie posiadają wewnętrznej celowości, a nieużywane mogą pozostawać przez dowolny czas w spoczynku. Inaczej jest z żywym organizmem. Jest on podtrzymywany przez nieustanny celowy ruch, bez którego uległby szybko rozpadowi. Ciało zwierzęce składa się bowiem z tworzywa, w którym Stahl upatrywał główne trzy elementy: wodę, tłuszcz i ziemię. Te trzy składniki pomieszane w różnych proporcjach, tworzą jego zdaniem heterogeniczne agregaty budujące materialną stronę naszego ciała. Doświadczenie pokazuje, że tłuszcz poza ciałem jęlczeje, woda się psuje, a ziemia wietrzeje. Innymi słowy pierwiastki tworzące żywe ciało, pozostawione same sobie łatwo uległyby zepsuciu. To, że w ciele żywym nie podlegają one gniciu, nie pochodzi więc z ich natury, ale od zewnętrznego czynnika, który Stahl tradycyjnie nazwał "duszą". Pierwszorzędnym

¹¹⁴ Bednarczyk w następujących słowach opisuje proponowaną przez Stahla efektywną terapię: "Jedynie postępując śladami przyrody, można naprawić błędy, które stały się udziałem ciała, tj. ze stanu choroby powrócić do zdrowia, które jest właśnie stanem naturalnym, przyrodzonym, ciała. Celem Stahla jest zatem usunięcie błędów mechanistycznych, polemika z chimiatrami i fiziatrami, i wyjaśnienie, na czym polega ów stan naturalny." A. Bednarczyk, *Filozofia biologii europejskiego oświecenia*, Warszawa 1984, s. 25.

¹¹⁵ Stahl G.E., 1708, *Theoria medica vera. Physiologiam & Pathologiam, tanquam doctrinae medicae partes veré contemplativas, e naturae & Artis veris fundamentis, intaminata atione, & inconcussa experientia sistens*. Halle: Literis Orphanotro, s. 29 (§ 22): "Quin à veritate alienissimum esset, principium vitale vocare: justam dispositionem partium corporis, tamquam elateriorum, filamentorum, funiculorum, catenularum, trabium, vectium, rotularum, cisternarum, antliarum, canalium, cataractarum, valvularum, cribrorum, und wer weiß noch mehr; aut ex machiniis, pneumaticis, hydraulicis ... strictam applicationem ad corpus vivum formare. Sic enim confusio Mechanismi & Organismi, in perpetuum succedet." Cf. Stahl, *De mechanismi et organismi diversitate*, (1706), in: Stahl 1708, 17 (cytowane za: T. Cheung, dz. cyt., s. 167).

zadaniem duszy, stojącej na przeszkodzie rozpadowi ciała, będzie więc podtrzymanie życia, funkcjonowania materialnej "maszyny". Dokonuje się to przez utrzymywanie tworzydła w ciągłym ruchu. Dusza porusza krew, soki wewnętrzne, usuwa produkty rozpadu i dostarcza odżywczych substancji, które służą odbudowie i regeneracji ciała. Przy czym przypisywany duszy ruch nie należy pierwszorzędnie rozumieć jako materialne przemieszczanie się drobin ciała, ale bardziej w kategoriach Arystotelesowskiego przejścia z potencji do aktu, które może, ale nie musi objawić się w postaci ruchu materialnych elementów.

Widzimy więc u Stahla bardzo mocne rozróżnienie na materialne i formalne podłoże organizmu. Właściwości materialne tworzone są przez związki chemiczne, które ułożone w specyficzny sposób budują strukturę ciała. Elementy tworzywa wchodzi spontanicznie we wzajemne interakcje, które można wyjaśnić w zgodzie z zasadami mechaniki. Na zupełnie inną płaszczyznę przenosi nas pojawienie się właściwości formalnych. Są one odpowiedzialne za zachowania i podtrzymanie cielesnej struktury organizmu. Animistyczne stanowisko Stahla pozwalało tym samym wyjaśnić trwałość, integralność i odrębność ciała, funkcjonalną koordynację jego elementów i wewnętrzną celowość organizmów żywych. Za wymienione wyżej istotne cechy organizmu odpowiada dusza. Jest ona pierwszorzędą zasadą życia i pełni funkcję, które w dzisiejszej terminologii moglibyśmy określić mianem "autoregulacji". Stahlowi daleko jest jednak do naturalistycznej koncepcji samoregulującego się systemu. Jego dusza posiada silne konotacje metafizyczne, które bynajmniej nie były w oczach niemieckiego uczonego żadną wadą, lecz przeciwnie zaletą. Stahl wybrał duszę jako czynnik regulacyjny właśnie ze względu na "pojemność" owego pojęcia, zawierającego w sobie potencjał świadomości. Cecha ta była mu niezbędna do domknięcia systemu i wyznaczenia realnej granicy między ślepym mechanizmem a żywym, celowo ukierunkowanym organizmem. Dopiero bowiem obdarzona rozumem, pamięcią i świadomością dusza pozwala na wprowadzenie prawdziwego ładu w ciałach i właściwe reagowanie organizmu w różnych okolicznościach.

Świat widziany w duchu klasycznej mechaniki opierał się ma deterministycznych, koniecznych prawach. W takiej rzeczywistości pojawienie się wysoce złożonej struktury, z jaką mamy do czynienia w organizmach żywych, domagało się usprawiedliwienia. Może to być (jak chciał Hoffmann) boska konstrukcja, bądź dzieło przypadku. Nawet gdybyśmy uznali dowolną z tych odpowiedzi, zdaniem Stahla, tajemnica organizmu pozostanie nietknięta. Żadna bowiem nawet, nawet najdoskonalsza struktura nie zapewni automatycznie życiowych funkcji. Do tego potrzebujemy czegoś, co nie da się zredukować do poziomu materii, ani jej organizacji - szeroko rozumianej duszy.

Jak już wspomnieliśmy główną motywacją towarzyszącą intelektualnym rozmyśleniom Stahla było stworzenie podwalin pod odpowiednią praktykę lekarską. Czym więc z perspektywy animizmu mogłaby być choroba? Zdaniem niemieckiego lekarza choroba jest błędem wywołanym przez nieostrość duszy (im prostsza dusza, tym rzadziej się myli, dlatego nieskomplikowane zwierzęta, w przeciwieństwie do człowieka, prawie wcale nie chorują). Proponowana przez Stahla metoda leczenia jest równie zaskakująca jak jego definicja choroby. Otóż uczony zaleca terapię metodycznego wyczekiwania. Przyjęta przez Stahla koncepcja organizmu wpłynęła na jego przekonanie, o nieprzydatności w medycynie nauk chemicznych a nawet anatomii. Niemiecki lekarz uważał bowiem, że organizm leczy się sam i najlepszą terapią będzie pozwolenie duszy na naprawienie szkód w ciele. Ingerować zaś z zewnątrz należy rzadko i tylko w razie konieczności. Co ciekawe antyredukjonistyczne nastawienie uczonego nie wynikało w żaden sposób z jego ignorancji. Wręcz przeciwnie, można powiedzieć, że był on specjalistą zarówno w dziedzinie anatomii, którą wykładał na studiach medycznych, jak i w dyscyplinach chemicznych, gdzie zasłynął jako twórca oryginalnej hipotezy "flogistonu" (czyli substancji, która miałaby się wydzielać w procesie spalania bądź korozji metalu, tłumacząc zachodzące przy okazji tych procesów zmiany w materiale).

Animizm Stahla znalazł swoich następców w szkole Montpellier, z której wyrósł cały francuski witalizm, posiada on także rysy intensywnie eksplorowane przez XIX wieczną niemiecką filozofię przyrody, a ostatnie wielkie odrodzenie tej filozofii odnajdujemy w XX w. neowitalizmie Driecha. Spuścizna Stahla nie poszła więc szybko w zapomnienie.

Leibniza wizja organizmu

Problem, przed którym stanął Leibniz dotyczył pogodzenia deterministycznej wizji świata klasycznej mechaniki z ożywionym światem zwierząt i, jak powszechnie uważano, wolnych, obdarzonych duszą ludzi. Rodziło to jednak poważne pytania, których nie sposób było pominąć:

- a) jaka jest różnica między materią ożywioną a nieożywioną?
- b) jak wytłumaczyć problem organizacji ciała żywego, wzajemnego powiązania części z całością, zestrojenia owego mechanizmu w funkcjonalną jedność?
- c) skąd na poziomie ciała, jak i osobnika bierze się celowość?
- d) jak wytłumaczyć zjawiska psychofizyczne?

Odpowiedzi na te pytania mogą być dobrymi drogowskazami na drodze poznawania przyrodniczych poglądów poszczególnych myślicieli.

Dla Hoffmanna nie istnieje żadna różnica między materią żywą a nieożywioną. Jedną od drugiej odróżnia jedynie stopień organizacji.

Boskie mechanizmy, jakimi według tego uczonego są ciała zwierząt, mają bardziej skomplikowaną budowę, która pozwala automatycznie wypełniać zapisaną w ich mechanizmach funkcję. Wyjątkowość organizmu nie leży więc w tym, że powstaje on z jakościowo innej materii, lecz w odmiennej organizacji, złożonych relacjach i odpowiednim powiązaniu elementów natury nieożywionej. Takie rozwiązanie było nie do zaakceptowania przez Stahla. Dla niego bowiem żaden mechanizm, dowolnie skomplikowana struktura, nie wytworzy żywej jednostki. Między mechanizmem a organizmem leży jakościowa różnica, której nie przekroczy nawet boski projektant. Obserwacje samoregulującego się, samouzdrawiającego się organizmu skłoniły Stahla do postawienia hipotezy duszy - wewnętrznej zasady kierującej mechanizmem ciała. Ten czynnik, zdaniem twórcy nowożytnego animizmu, odpowiedzialny jest zarówno za jakościową różnicę między materią ożywioną a martwą, jak i wewnętrzną organizację ciała i jego celowość.

Odpowiedź na ostatnie z wymienionych pytań, dotyczące psychicznych własności i ich wpływu na zachowanie ciała, nie stanowiła z perspektywy animizmu większego problemu. Dla Stahla każda dusza, jako wewnętrzna zasada regulacji ciała, z natury swojej jest rozumna, a różnice w percepcji i plastyczności odpowiedzi występujące między poszczególnymi jednostkami wynikają jedynie ze stopnia rozumności tej duszy. Inaczej sprawa wygląda w przypadku mechanicyzmu. Postulowanie na jego płaszczyźnie jakiś własności psychicznych jest co najmniej kłopotliwe, jeśli nie wprost niewykonalne. Wiąże się ono bądź z wprowadzeniem dodatkowego niematerialnego czynnika, bądź ze spuszczeniem zasłony milczenia i udawaniem, że problem nie istnieje, lub też znajdzie rozwiązanie w miarę rozwoju nauki. Zarówno jedno, jak i drugie stanowisko nie odpowiadało ambicjom filozoficznym Leibniza. Proponowana przez Hoffmanna wizja organizmu jako boskiego projektu, samoregulującego się mechanizmu, była dobrą intuicją, lecz dla myśliciela miary Leibniza okazała się zbyt naiwną. Zachowanie obserwowanych fenomenów, zjawiskowych oddziaływań, zdaniem Leibniza, domagało się jakiegoś przyczynowego usprawiedliwienia, ugruntowania, którego prawa mechaniki Newtona, nie były w stanie dostarczyć. Postulowana zaś przez Stahla dusza nie była kompatybilna z kreowaną przez naukę wizją świata. Filozof z Lipska stanął więc przed trudnym zadaniem znalezienia drogi pośredniej, zachowującej zarówno głębię metafizyczną, jak i kompatybilność z naukowym duchem epoki.

Rozwiązanie, które zaproponował Leibniz istotnie nie było banalne. Genialny filozof i matematyk skonstruował oryginalny system filozoficzny, który zdołał udźwignąć postawione przed nim wymagania. W centrum tego systemu leżała bardzo prosta, niepodzielna i pozbawiona części substancja, którą Leibniz ochrzcił mianem "monada". To właśnie monady, wbrew temu o czym przekonuje nas wzrok, stanowią ostateczną cegielkę rzeczywistości,

są "prawdziwymi atomami natury"¹¹⁶, albo jak ktoś woli odpowiednikami duszy¹¹⁷. Już w samych używanych przez filozofa porównaniach (do atomu, czy duszy) tkwi zamysł myśliciela, aby w tym małym elemencie rzeczywistości pogodzić zarówno cechy mechaniczne jak i metafizyczne. Tak też rzeczywiście się stało. Monady jako najprostsze, pozbawione części i rozciągłości substancje są niewidzialne. O ich istnieniu przekonuje nas dopiero dyskurs filozoficzny. Nie mogą same powstać ani zniknąć, stworzone zostały przez Boga, który w akcie kreacji nadał im specyficzną jakość. Taka monada można powiedzieć, że jest "światem w pigułce", mechanizmem w pełni autonomicznym, nie oddziałującym z innymi monadami, który rozwija się i działa wyłącznie w zgodzie z wewnętrzną konstytucją i wsobnym prawem samorozwoju. Istotą owej substancji jest siła, energia i działanie. W tym pojęciu Leibniz wskrzesza tym samym starą Arystotelesowską zasadę entelechii, czyli formy substancjalnej, która w dobie rozwoju naukowego, i odrzucenia w dziedzinie fizyki myśli Stagiryty, wydawała się mocno przestarzałą. Tymczasem twórca monadologii właściwie stawia znak równości między pojęciem entelechii a substancjami prostymi. Każda z monad ma bowiem pewną doskonałość, samowystarczalność, i każda zmierza do określonego, ukonstytuowanego wewnętrznie celu. Na owe podstawowe cegiełki rzeczywistości można więc popatrzeć jako na bezcielesne automaty. Tym oto sposobem metafizyczna substancja i mechanistyczny automat zostały pojednane w jednym pojęciu Leibnizowskiej monady.

Przy tak skonstruowanych silnych metafizycznych podstawach (gdzie wszystko zbudowane jest z niewidocznych substancji pierwszych), trudno wyobrazić sobie przejście na poziom fenomenów, doświadczanej przez zmysły materii, ale i na to Leibniz znalazł pomysłowy sposób. Okazuje się bowiem, że substancja pierwsza, oprócz czynnika aktywnego (entelechii), który stanowi samą istotę jej bytu, posiada również element bierny - materię pierwszą. Błędem oczywiście byłoby przypisywać jej cielesny charakter (wraz z rozciągłością, czy nieprzenikalnością, które zazwyczaj łączą się z pojęciem materii). Nie można przecież zapominać, że monada jest bytem niewidzialnym. Stąd występujący w niej bierny czynnik ma także specyficzny charakter, który bardziej niż na rozciągłość wskazuje na potencjalność. Konkretnie, ta potencja w kontekście monady mówi nam o niedoskonałości i ograniczoności owej substancji¹¹⁸. Siła, energia, stanowiące o istocie substancji pierwszej, posiadają swój bierny wydzźwięk

¹¹⁶ G. W. Leibniz, *Monadologia*, w: tłum S. Cichowicz, *Wyznanie wiary filozofa, Rozprawa metafizyczna, Monadologia, Zasady natury i łaski oraz inne pisma filozoficzne*, Warszawa, 1969, s. 297.

¹¹⁷ F. Copleston, *Historia Filozofii*. Tom 4, Od Kartezjusza do Leibniza, Warszawa, s. 253.

¹¹⁸ Tamże, s. 256.

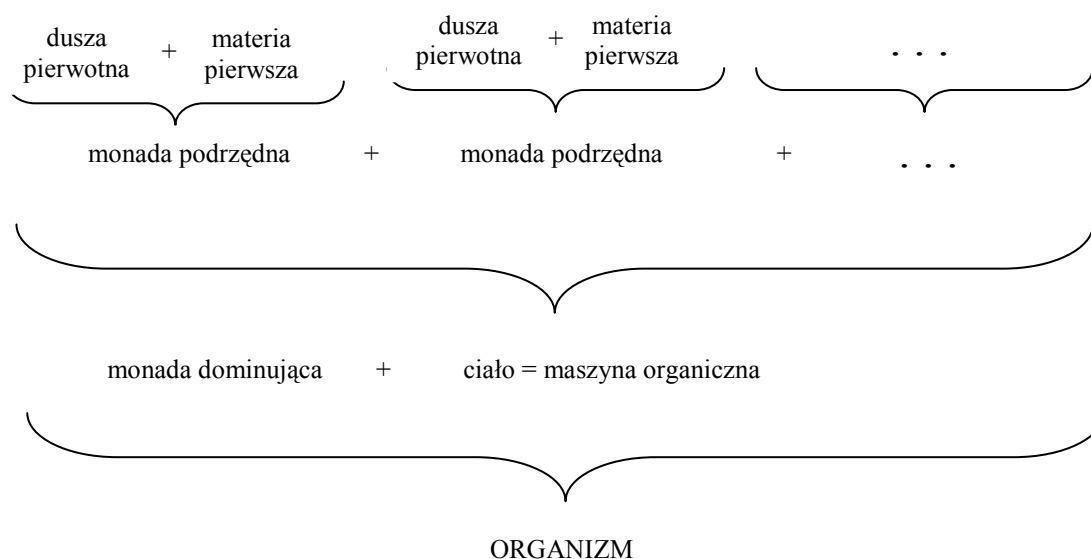
jakim jest granica ich aktywności. Zamiast przypisywać materii pierwszej osobny status ontyczny, należałoby na nią spojrzeć w perspektywie epistemologicznej, jako na swoisty rodzaju abstrakcji. Podobnie rzecz ma się z materią, którą obserwujemy w świecie zewnętrznym. Jak wiemy dla Leibniza cały świat jest zbudowany z niewidzialnych substancji pierwszych. Jednak analogicznie do punktów matematycznych, które nie posiadają żadnej powierzchni mogą pokryć ("zamalować") dowolną przestrzeń, odpowiedni agregat monad może dać wrażenie rozciągłej materii. Przy czym nieprzenikalność, opór i rozciągłość, które pojawiają się na poziomie omawianych agregatów nie są pojęciami pierwotnymi lecz kolejnym poziomem abstrakcji pierwotnej monadycznej rzeczywistości.

Do tej pory zapoznaliśmy się z dwoma podstawowymi pojęciami, substancją pierwszą i materią nieożywioną. Terminy te wprowadzone zostały w celu zrozumienia sedna naszych rozważań, koncentrujących się wokół Leibnizowskiej koncepcji organizmu. Materię pierwszą scharakteryzowaliśmy przez bierność, która jednocześnie jest cechą dystynktywną pozwalającą odróżnić stan materii martwej od ożywionej. Skoro materię nieożywioną cechuje bierność, ciało, czyli materia ożywiona posiada dodatkowy aktywny czynnik, który Leibniz nazywał monadą dominującą (lub po prostu "duszą"). Analogicznie do monady podrzędnej, monada dominująca również jest formą substancjalną ale tym razem całego organizmu. Innymi słowy organizm jest agregatem pojedynczych substancji pierwszych (monad podrzędnych) zespolonych ze sobą w monadzie dominującej. Jest zintegrowaną maszyną działającą na podzespołach, czyli niezależnych mini-maszynach. O tej ontologicznej hierarchii substancji tworzących organizm Leibniz pisał w słowach:

"Rozróżniam 1) pierwotną entelechię, czyli duszę, 2) materię pierwszą, czyli pierwotną siłę bierną, 3) monadę, komplementowaną przez te dwa elementy, 4) masę, czyli materię drugą lub maszynę organiczną, na którą składają się monady podrzędne, 5) istotę żyjącą, czyli substancję cielesną, która jest przetworzona na jedną maszynę, przez dominującą monadę"¹¹⁹.

Graficznie można przedstawić to w następujący sposób:

¹¹⁹ "List do de Voldeta", podaje za F. Copleston, dz. cyt, s. 258.



Podsumujmy w trzech zdaniach, prezentowaną przez Leibniza koncepcję organizmu żywego. Pierwotnym bytem dla filozofa są monady, niewidzialne substancje proste. Fizycznie postrzegamy tylko agregaty owych monad. Skupiska monad z substancją dominującą określamy mianem żyjącego ciała, organizmu.

Najwyższa pora przejść do postawionego na wstępie problemu pogodzenia metafizyki z mechanicyzmem badań naukowych. Przedstawiona dotychczas monadologia zdaje się na każdym kroku przeczyć możliwości pogodzenia jej ze zdobyczami mechaniki klasycznej. Postawą tego systemu Leibniz uczynił bowiem jakieś niewidzialne substancje, obdarzone Arystotelesowską entelechią, których hierarchicznie zestrojone agregaty tworzą całą otaczającą rzeczywistość. Faktycznie język ten zdaje się być bardzo daleko od operacyjnych definicji masy, przyśpieszenia, siły i mechanicznych oddziaływań ciał. Wbrew jednak tej pozornej sprzeczności system Leibniza został tak skonstruowany, aby być kompatybilnym z rodzącą się nową fizyką i nie blokować dalszych dociekań naukowych. Owszem substancje w sensie agregatów mają charakter zjawiskowy i jako takie wymagają ugruntowania w metafizyce monad, jednakże nie przeszkadza to w badaniu metodami naukowymi pochodnych w stosunku do nich fenomenów. Bowiem świat ciał fizycznych, jawiący się na poziomie zjawisk zachowuje się tak, jakby rzeczywiście podlegał mechanicznej przyczynie sprawczej. Oczywiście występowanie tej przyczyny jest tylko pozorne, gdyż jak pamiętamy materia jest drugorzędną abstrakcją z agregatu monad, a każda substancja pierwsza jest swoistym "państwem w państwie" rządzącym się wyłącznie wewnętrzną przyczyną celową. Niemniej jednak następujące po sobie na poziomie fenomenów zmiany są tak zharmonizowane, że z powodzeniem można je badać za pomocą języka mechaniki. Widzimy więc, że Leibniz kreuje tutaj dwie niezależne od siebie, ale wybitnie ze sobą zsynchronizowane rzeczywistości: fizyczną

i metafizyczną. Poziom fizyczny zredukowany do zjawisk rządzi się przyczyną sprawczą, a na poziomie metafizycznym odnoszącym się do monad, władzę sprawują niezależne od siebie przyczyny celowe. Monady, jak pisze Leibniz są "bez okien", nie oddziałują wzajemnie na siebie, nie komunikują się ze sobą, mimo to są doskonale ze sobą zestrojone i genialnie ze sobą współgrają. Jest to jednak wyłącznie zasługa ustanowionej pierwotnie przez Boga harmonii przedustawnej. Owo zestrojenie monad, na poziomie zjawiskowym daje wrażenie, że ciała rządzone są przyczynowymi prawami ruchu, które da się ująć matematycznie, choćby w Newtonowskiej dynamice. Tym oto sposobem wielka wizja metafizyczna stała się do pogodzenia z ówczesną metodą badań naukowych. Dusze działają według przyczyny celowej, ciała według przyczyny sprawczej, a przedustawna harmonia scala je w jedną rzeczywistość.

Podobnie jak w dziedzinie fizyki harmonia przedustawna pozwoliła na zastosowanie praw mechaniki do badania zjawisk przyrodniczych, tak samo w sferze biologicznej stała się ona remedium pozwalającym Leibnizowi na rozwiązanie wielu trudnych zagadek związanych z organizmem. Mocą harmonii przedustawnej, bez naruszania zasad mechanicyzmu, możemy wyjaśnić choćby:

- percepcję organizmu i sposób jego reagowania na bodźce,
- związek duszy z ciałem,
- integralność i funkcjonalną jedność ciała żywego,
- a nawet ewolucję form biologicznych.

Wprowadzona harmonia przedustawna wzywa do przemyślenia na nowo sposobu funkcjonowania żywego organizmu, jego wewnętrznej struktury, a zwłaszcza relacji między monadą dominującą a substancjami jej podrzędnymi. W świetle silnego założenia o niemożności oddziaływań między substancjami, słusznie można zapytać, jaki jest w ogóle sens mówienia o monadzie "dominującej"? Zanim zbadamy zasadność tego zarzutu musimy wyjaśnić bliżej mechanizm harmonii przedustawnej, w czym pomoże nam wprowadzenie dwóch dodatkowych terminów "percepcji" i "dążności" monad. Organizm, mimo, że teoretycznie jest agregatem zupełnie niezależnych substancji pierwszych, zjawiskowo zdaje się stanowić jedną, spójną całość, dostrzegającą to co dzieje się wokół niego i prawidłowo reagującą na bodźce z otoczenia. Fenomen ten można wyjaśnić za pomocą pojęcia percepcji. Otóż mimo, że monada nie ma okien, posiada percepcję, czyli wewnętrzny stan, który odpowiada zewnętrznej rzeczywistości. Antropomorfizując można powiedzieć, że dzięki percepcji monada wie, gdzie się znajduje i co się dzieje wokół niej. Oczywiście owo "wie" niekoniecznie należy utożsamiać ze świadomością, która przysługuje tylko niektórym monadom. W celu wyraźnego rozgraniczenia tych dwóch poziomów, wewnętrzny stan monady nazwał Leibniz "percepcją" a świadomość tego wewnętrznego stanu "apercepcją". Przysługująca każdej

monadzie percepcja może być postrzeganiem mętnym, w przypadku jednak apercepcji, mamy do czynienia zawsze z postrzeganiem wyraźnym, co u zwierząt łączy się z użyciem pamięci (mówimy wtedy o duszy) a u ludzi dodatkowo ze świadomością (stąd gatunek ludzki jest obdarzony "duszą racjonalną"). Sama jednak percepcja nie jest przyczyną zmiany. Ze względu na "ustawowy" brak oddziaływania między monadami, zmiana jednego stanu monady na drugi (zmiana percepcji) dokonuje się na podstawie wewnętrznej zasady zwanej "dążnością".

Wyjaśnienie zagadki monady "dominującej" poprzedźmy jeszcze krótkim przypomnieniem praw dotyczących duszy i ciała. Po pierwsze dusza jest substancją niematerialną, ciało zaś agregatem niematerialnych monad. Po drugie między monadami nie ma żadnego oddziaływania. Mimo to relację między duszą (monadą dominującą) a monadami tworzącymi ciało zwykliśmy określać jako podporządkowanie ciała rządowi duszy ponieważ zmiana monady dominującej pociąga za sobą szereg zmian (dostosowanie się) monad podrzędnych. Dzieje się tak jednak na mocy uprzedniego zestrojenia. Podejmowane przez monady "decyzje" o zmianie są niezależne od siebie, a uporządkowane ciągi przemian monad (które zjawiskowo sprawiają wrażenie ciągów przyczynowych) wynikają z zafiksowanej na początku świata harmonii przedustawnej.

W tym kontekście warto wspomnieć jeszcze o możliwości pogodzenia monadologii z teorią ewolucji. W listach Leibniza do Remonda z 1715 r. znajdziemy nawet tę rewolucyjną hipotezę o teoretycznej możliwości ewolucji form substancjalnych¹²⁰. Filozof był w stanie wyobrazić sobie scenariusz mówiący o takiej zmianie i wewnętrznym rozwoju materialnej maszyny ciała zwierzęcego, że byłby on w stanie wytworzyć ciało ludzkie. Równolegle dusza sensytywna mogłaby rozwijać się w kierunku duszy racjonalnej. Jednakże nawet gdyby było to możliwe, wciąż nie mówilibyśmy o prawdziwej ewolucji, lecz kolejnej odsłonie boskiej harmonii przedustawnej.

Trzej myśliciele - trzy style myślenia

Metafora zegara

Zaprezentowane przez trzech filozofów poglądy dotyczące żywego organizmu, odsłaniają kryjące się za nimi odmienne style myślenia. Podejścia te postaramy się zobrazować, poprzez odwołanie się do metafory

¹²⁰ Por.: Leibniza, *Die philosophischen Schriften von G. W. Leibniz*, red. C. I. Gerhardt, t. VII, s. 531.

zegara, do której każdy z myślicieli bezpośrednio lub w sposób pośredni nawiązywał¹²¹.

Dla Hoffmanna organizm żywy nie jest niczym więcej jak pozostającym na powierzchni fenomenów zaprojektowanym przez Boga materialnym mechanizmem. "Nakręcone" przez Zegarmistrza elementy tego automatu oddziałują na siebie fizycznie, wywołując deterministyczny proces zapisany w wewnętrznej strukturze zegara. Sam ten mechanizm, zdaniem uczonego, jest przyczyną wystarczającą do wyjaśnienia teleologii istot żyjących¹²².

Przeciwny pogląd prezentuje Stahl. Zdaniem tego filozofa mechanizm zegarowy można by było uznać za organizm tylko po warunkiem, że czynnik odpowiedzialny za uformowanie i nadanie celu temu mechanizmowi, nie pochodziłby z zewnątrz, jak w przypadku maszyn projektowanych przez człowieka, ale z wnętrza maszyny-organizmu (duszy). Otrzymalibyśmy tym sposobem dość nietypowy zegar, którego głównym "mechanizmem" regulującym inne materialne trybiki i zapadki, byłaby "sprężyna duchowa". Leibnizowi, który chciał w jakimś sensie pogodzić oba stanowiska mechanistyczne i metafizyczne, nie pozostało nic innego jak skonstruować hipotezę dwóch zegarów. Jednego tykającego dla zewnętrznego świata fenomenów, drugiego odpowiednika wewnętrznego mechanizmu monad. Panu Bogu w tym systemie przypadło zaszczytne miejsce stworzenia i jednokrotnego nakręcenia owych mechanizmów, które od tamtej pory regulują swój własny bieg, a przekręcając w tym samym tempie i kierunku poszczególne zębatki, utrzymują między sobą wieczną harmonię.

Mechanicyzm, witalizm i anty-redukcjonizm

Przedstawione wyżej sugestywne obrazy organizmu-zegara kryją w sobie głębokie intuicje. Właśnie one paradoksalnie mogą się okazać cenniejsze dla filozofii nauki, niż szczegółowe rozwiązania poruszanych przez naukowców kwestii. Intuicje te mówią bowiem o przyjętych przez uczonych ogólnych kierunkach badań, o używanych przez nich metodach i wybranych do

¹²¹ Por.: metafora zegara u Stahla (Stahl, *Disquisitio*, w: *Theoria medica vera* (Halæ, DE: Impensis Orphanotropei, 1737), 7., §81, 33–34.) , u Hoffmanna (patrz przypis niżej), u Leibniza, *Die philosophischen Schriften* ..., dz. cyt., t. IV, s. 498.

¹²² "[Nawet] [k]iedy kilka skoordynowanych materialnych przyczyn ukierunkowanych jest w ten sposób, że wywołują efekt, odpowiadający zamysłowi rzemieślnika, przyjmującego określony cel, jest to wciąż mechanizm, ale bardziej doskonały, i według niektórych jest to organizm, skoro z takim mechanizmem mamy do czynienia w organicznym ciele" (Friedrich Hoffmann, *Dissertatio inauguralis physico-medica de natura morborum medicatrice mechanica* (Halæ Magdeburgicæ, DE: Typis Christiani Henckelii, Acad. Typ. [1699]) §5 : "...quando autem plures materiales causæ ita coordinatæ ac dispositæ sunt, ut effectus fluant, ideæ artificis, qui certum finem propositum habeat correspondentes, dicitur etiam mechanismus, sed perfectior, & a nonnullis organismus, quoniam in organicis corporibus existit.")

badania świata narzędziach. Ostatecznie też, to prawdopodobnie wybór właściwej metody badawczej zdeterminuje osąd jaki historia wyda nad myślą każdego z tych filozofów. Spróbujmy więc teraz zwrócić uwagę na charakterystyczne rysy koncepcji każdego z naukowców i umieścić omawianych filozofów w ramach szerszych nurtów badawczych rozpoznawalnych w dziejach filozofii nauki.

Myśl profesora Stahla z dużym prawdopodobieństwem możemy przypisać do nurtu mechanicyzmu, który po wiekach transformacji przetrwał, w odświeżonej (redukcjonistycznej) formie, do dnia dzisiejszego. Niewątpliwą zaletą takiego podejścia jest stworzenie przyjaznego klimatu do rozwoju nauki. Metoda redukcji zjawisk złożonych do prostych, i tłumaczenia fenomenów za pomocą jak najmniejszej ilości elementów składowych, zazwyczaj dobrze sprawdza się w nauce i oddała jej zasługi, których nie sposób przecenić. Nawet towarzyszący często mechanicyzmowi "irracjonalny klimat" przesadnego optymizmu, ślepej wiary w nieograniczoną stosowalność promowanej metody, miał swój pozytywny wydźwięk w społecznej promocji nauki, zachęcał badaczy do podejmowania kolejnych wysiłków, i tworzył "dobrą koniunkturę" dla rozwoju myśli naukowej. Drugą stroną medalu są częste uproszczenia, jakich dopuszczali się przedstawiciele tego kierunku. Mechanicyzm, dążący z natury do ujęcia całej rzeczywistości w ramach kilku prostych praw fizycznych, w swoich skrajnych postaciach potrafi przybrać postać deterministycznego dogmatyzmu, blokując na pewnym etapie dalszy rozwój nauki. Co ciekawe tradycyjny mechanicyzm sfalsyfikowany został przez samą naukę, co powinno stanowić dobrą lekcję zasady ograniczonego zaufania wobec nadmiernego eksploatowania metody redukcjonistycznej.

Animizm Stahla można zakwalifikować do szerszego nurtu witalizmu. Kierunek ten żywił się głównie ograniczeniami metody redukcjonistycznej. Wyrósł on na gruncie nauk biologicznych, gdzie próby ujęcia bogactwa, różnorodności i witalności żywych organizmów, w ciasne ramy mechanicyzmu, okazały się rażąco nieudolne. Mimo, że w dzisiejszej świadomości witalizm często jest synonimem braku naukowości, pielęgnowania w obszarze naszej wiedzy przesądów i irracjonalizmu, można by było wskazać i na jego pozytywną rolę, jaką pełnił w rozwoju nauki. Na dłuższą metę odwołanie się do jakiś poza-empirycznych i niefalsyfikowanych teorii nigdy nie służy nauce, jednakże przez wieki witalizm jako oponent skrajnego mechanicyzmu, był ważnym głosem mówiącym o potrzebie innego, bardziej całościowego i nie redukcjonistycznego ujęcia rzeczywistości.

Filozoficzne poglądy Leibniza najtrudniej jednoznacznie zakwalifikować do jakiegoś nurtu filozofii nauki. Wynika to, z jednej strony z nieprzeciętności tego genialnego filozofa, który szedł własnymi, często nieprzetartymi drogami myśli, jak i z braku następców, którzy byliby

przedłużeniem jego myśli. Ogólnie można zgodzić się, że myśliciel ten należy do grupy filozofów projektujących swoje wielkie systemy metafizyczne w odpowiedzi na wyzwania stawiane przez naukę danego okresu. Do następców takiego stylu myślenia moglibyśmy zaliczyć choćby I. Kanta, C. S. Peirce'a, A. N. Whiteheada, a obecnie, choćby przedstawicieli nurtu współczesnego organizmalizmu¹²³. Tych, jakże różnych myślicieli łączy chęć budowania filozofii odrzucającej zarówno witalistyczne koncepcje magicznej siły życiowej, jak i zakusy zredukowania fenomenu życia do praw fizyki i chemii. Podejmują oni bardziej świadome i ujęte w rygory naukowego naturalizmu próby całościowego, zintegrowanego i teleologicznego spojrzenia na rzeczywistość. Zaletą tego podejścia jest przełamywanie narosłych w historii dogmatów, poszukiwanie nowych ścieżek rozwoju, nierzadko nowych metod naukowych. Zwłaszcza we współczesnym nurcie badań nad emergencją widzimy silny akcent położony właśnie na poszukiwanie nowych programów badawczych, które starają się traktować dynamiczne, żywe zjawiska nie w kategoriach pojedynczych elementów, lecz w ramach systemu, powiązanej sieci wzajemnych oddziaływań i komunikacji. Badania te mogą się okazać przełomowe i wyznaczyć kierunek wyjścia ze ślepej uliczki, do której mogłaby doprowadzić źle rozumiana redukcyjna metoda.

„Separacja dyskursów – eksplikacja sensów”¹²⁴

Burzliwa historia rodzenia się nowożytnego pojęcia organizmu jest szczególnym świadectwem tamtej epoki. Nowa metoda naukowa, wsparta triumfalnym pochodem bazującej na niej technologii, rozszerzała swoje wpływy chcąc zagarnąć i podporządkować sobie całą rzeczywistość. Opór tej tendencji w dziedzinie biologii i medycyny spowodowany był nie tylko bardzo silną tradycją Arystotelesowską, ale też dostrzeżeniem niewystarczalności filozofii mechaniczystycznej do opisu fenomenu istot żywych. Nie powinno więc dziwić, że różni myśliciele w ogniu polemiki wytworzyli odmienne koncepcje organizmu. Każde z tych ujęć wniosło coś pozytywnego do filozofii biologii, ale też żadna z zaprezentowanych idei organizmu nie przetrwała próby czasu. Jednakże opisany spór nie powinien pozostać tylko obiektem zainteresowania historyka nauki. Niesie on bowiem w sobie dużo głębsze zagadnienie: ułomności dowolnej metody badawczej.

¹²³ Szerzej na temat organizmalizmu, por.: Emmeche Claus, *A-life, Organism and Body: the semiotics of emergent levels*, w: Mark Bedeau, Phil Husbands, Tim Hutton, Sanjev Kumar and Hideaki Suzuki (red.), *Workshop and Tutorial Proceedings. Ninth International Conference on the Simulation and Synthesis of Living Systems (A life IX)*, Boston, 2004, s. 117-124; Sz. W. Ślada, *Życie - ewolucja*, w: M. Heller, M. Lubański, Sz. W. Ślaga, *Zagadnienia Filozoficzne Współczesnej Nauki. Wstęp do filozofii przyrody*, Warszawa 1997, s. 337-349.

¹²⁴ Por. S. Wszolek, *Separacja dyskursów – eksplikacja sensów*, w tym tomie.

Zaprezentowani myśliciele opowiedzieli się za różnymi sposobami badania świata i odmiennymi metafizycznymi założeniami stojącymi u podstaw ich systemów. Językiem współczesnym powiedzielibyśmy, że badając tą samą rzeczywistość (szukając jej sensu) każdy z nich prowadził odmienny dyskurs, który nie zawsze był przekładalny na metodologiczny język drugiego naukowca (przykładowo trudno wyjaśnić Stahlowskie pojęcie duszy w kategoriach mechanicyzmu Hoffmanna). Jednocześnie Leibniz pokazał nam jak ważne jest budowanie mostów pomiędzy różnymi metafizycznymi koncepcjami i podejmowanie kolejnych prób uzgodnienia swojego światopoglądu z wynikami nauk szczegółowych. We współczesnej nauce i filozofii omawiany problem jest wciąż aktualny.

Spór Hoffmanna - Stahla - Leibniza trwa nadal, choć dzisiaj ubrany jest już w inne szaty (np.: konflikt redukcjonizmu z antyredukcjonizmem). Co więcej, temperatura tego sporu nie ostygła ani o stopień, a ostatnimi czasy zdaje się wręcz narastać. Nie oznacza to bynajmniej, że filozofia i nauka nie posunęły się od końca XVII ani o krok, i tkwią dalej w starych problemach. Aktualność tego konfliktu wskazuje raczej na to, że pewne problemy się nie starzeją i każda epoka na nowo musi się z nimi zmierzyć. Dobrze zresztą, że tak się dzieje, bowiem jest to najlepszy sposób, aby nie zabrnąć w filozofii, czy nauce, w ślepą uliczkę dogmatyzmu, i nie uczynić z jednego, nawet najbardziej obiecującego dyskursu, postaci kanonicznej i niepodważalnej, lecz wciąż szukać prawdy i pełniejszej eksplikacji sensu otaczającej nas rzeczywistości.

Bibliografia

Agutter Paul S. Wheatley Denys N., *Thinking about Life. The History and Philosophy of Biology and Other Sciences*, Springer 2008.

Bednarczyk Andrzej, *Filozofia biologii europejskiego oświecenia*, PWN, Warszawa 1984.

Cheung Tobias, *What is an "Organism"? On the Occurrence of a New Term and Its Conceptual Transformations 1680-1850*, w: *History and Philosophy of the Life Sciences*, vol. 32. nr. 2-3, 2010, s. 155-194.

Copleston Frederick, *Historia Filozofii. Tom 4, Od Kartezjusza do Leibniza*, Warszawa, s. 253.

Duchesneau François, *The Organism-Mechanism Relationship*, w: Ohad Nachtomy, Justin E. H. Smith (red.), *The Life Sciences in Early Modern Philosophy*, Oxford University Press, 2014.

Emmeche Claus, *A-life, Organism and Body: the semiotics of emergent levels*, w: Mark Bedeau, Phil Husbands, Tim Hutton, Sanjev Kumar and Hideaki Suzuki (red.), *Workshop and Tutorial Proceedings. Ninth International Conference on the Simulation and Synthesis of Living Systems (A life IX)*, Boston, 2004, s. 117-124.

Hoffmann Friedrich, Cellarius Salomo, *Dissertatio inauguralis physico-medica de natura morborum medicatrice mechanica*, Typis Christiani Henckelii, Halæ 1699.

Leibniz Gottfried Wilhelm, *Die philosophischen Schriften von G.W. Leibniz*, red. C.I. Gerhardt, t. 1-7 t., Berlin 1875—90.

Leibniz Gottfried Wilhelm, *Monadologia*, w: tłum S. Cichowicz, *Wyznanie wiary filozofa, Rozprawa metafizyczna, Monadologia, Zasady natury i łaski oraz inne pisma filozoficzne*, Warszawa, 1969.

Stahl Georg Ernst, *Disquisitio*, w: *Theoria medica vera*, Impensis Orphanotropei. Halæ 1737.

Ślada Szczepan, *Życie - ewolucja*, w: Michał Heller, Mieczysław Lubański, Szczepan Ślaga, *Zagadnienia Filozoficzne Współczesnej Nauki. Wstęp do filozofii przyrody*, Warszawa 1997.

Wolfe Charles T., *Do Organisms Have An Ontological Status*, w: *History and Philosophy of the Life Sciences*, vol. 32. nr. 2-3, 2010, s. 195-232.





Ks. prof. dr hab. Stanisław Wszolek (fot. A. Leśniczek)

Separacja dyskursów – eksplikacja sensów

Stanisław Wszolek

Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie

Ani konflikt, ani symbioza

W drugiej połowie XX wieku na kilku wielkich anglojęzycznych uniwersytetach zostały powołane nowe instytuty, w których zaczęto badać tzw. relacje nauki i religii. Ustanowienie nowej dyscypliny akademickiej poprzedziła długa debata, której warunki – według szczęśliwego wyrażenia Donalda Fleminga – ustalili w połowie XIX wieku autorzy pierwszych poczytnych, anglojęzycznych książek na temat „stanu wojny” między naukami przyrodniczymi a religią chrześcijańską (a zwłaszcza katolicyzmem)¹²⁵. Autorem pierwszej pracy – *Historia konfliktu między religią i nauką* – był John William Draper (1811-1882), syn angielskiego duchownego – metodysty, wykładowca chemii i psychologii w Uniwersytecie Nowojorskim, który porzucił swoje chrześcijańskie poglądy na rzecz deizmu i zajmował się popularyzacją nauki. Autorem drugiej książki – *Historia wojny nauki z teologią w chrześcijaństwie* – był Andrew Dickson White (1832-1918), historyk wywodzący się z kościoła episkopalnego i pierwszy prezydent Cornell University. Autorzy obu prac, które były wielokrotnie wydawane i tłumaczone na wiele języków, posługując się słownikiem „militarnym”, przedstawili – jak dziś sądzimy – historię z kluczem, która odpowiadała na zapotrzebowanie drugiej połowy XIX wieku, lecz często rozmijała się z prawdą. Mówiąc z niewielką przesadą, Dickson i White, a wraz z nimi (albo przed nimi) wielu autorów europejskich, głosili tezę o nieuniknionym konflikcie nauk przyrodniczych z religią, a zwłaszcza teologią. Sprawcami konfliktu byli srodzy teolodzy, którzy w ciągu wieków hamowali postęp naukowy, goniąc za pionierami nauki „z Biblią w jednej ręce a wiązką chrustu w drugiej”¹²⁶.

Dopiero w połowie XX wieku przebiła się do publicznej wiadomości myśl, że Draper, White i inni propagatorzy tezy o konflikcie przedstawili historię „widzianą przez wojskowe okulary”. Intensywne studia prowadzone w wielu ośrodkach akademickich ukazały złożony obraz rzeczy¹²⁷. Teza

¹²⁵ John W. Draper, *History of the Conflict between Religion and Science*, New York: D. Appleton, 1874; Andrew D. White, *A History of the Warfare of Science with Theology in Christendom*, New York: D. Appleton, 1896.

¹²⁶ Teza o konflikcie uległa wzmocnieniu w latach 20. XX wieku. Wtedy to amerykańscy fundamentaliści religijni podjęli starania o zdyskredytowanie teorii ewolucji w szkołach publicznych. Wielkie procesy, nagłośnione w mediach, sprzyjały utrwaleniu stereotypu zacofanego i hamującego rozwój badań naukowych teologa czy człowieka religijnego.

¹²⁷ David C. Lindberg, Ronald L. Numbers (eds.), *God and Nature. Historical Essays on the Encounter between Christianity and Science*, Berkeley & al.: University of California

o konflikcie została odrzucona, a w jej miejsce wprowadzono wiele wyjaśnień konfliktowych sytuacji, które w historii miały miejsce. Okazało się, że część tzw. konfliktów ma socjologiczne wyjaśnienie. Czym innym jest bowiem nauka, która zwraca się przeciwko religii, a czymś innym są naukowcy, którzy występują przeciw religijnym instytucjom czy poglądom. Ci ostatni mogą przeciwstawiać się religii w imię motywów, które z nauką mają niewiele wspólnego. Ponieważ niuanse nie zawsze były czytelne dla opinii publicznej, w pewnym okresie i miejscu historii prawie każde wyzwanie rzucone religii było traktowane jako naukowe, także wtedy, gdy prawdziwy konflikt rozgrywał się na forum umysłu indywidualnego naukowca, który próbował zharmonizować swoją tradycyjną wiarę z nowymi ideami. Zauważono także, że pewną rolę w kreowaniu napięć odgrywała walka o władzę na uniwersytetach, które w dobie nowożytnej z kościelnych stawały się świeckie. Te i podobne czynniki odgrywały ważną rolę w trakcie debaty, ale żaden z nich z osobna, ani wszystkie razem nie uzasadniają stanu permanentnego czy nieusuwalnego konfliktu między naukami a religiami. Co więcej, przedstawiciele instytucji religijnych (np. Kościoła katolickiego) nie tylko wchodzili w konflikty z przedstawicielami nauki, lecz także otaczali naukowców swoją opieką, przyczyniając się do rozwoju nauki. W toku analiz pojawiła się nawet teza, zauważona już wcześniej przez różnych myślicieli (np. A. N. Whiteheada, M. Schellera), że chrześcijaństwo zamiast hamować inspirowało rozwój nauki.

Obecny stan badań pozwala na sformułowanie wyważonego poglądu. Między naukami a teologią chrześcijańską istnieje pewne napięcie, którego nie da się usunąć uczonymi wyjaśnieniami, gdyż wynika ono z samej natury religii i nauki. Jeśli uwzględnimy tylko religie chrześcijańskie, to zarys napięcia można wskazać następująco. Podstawowe roszczenie chrześcijaństwa wypowiada zdanie z Prologu św. Jana: „Słowo – Logos stało się ciałem”. Mówiąc inaczej, niepojęty i (z definicji) niewyraźalny Bóg odsłonił siebie człowiekowi w ludzkich słowach i czynach Jezusa Chrystusa. To, że Boskie objawienie przyjęło „ciało” ludzkiego języka jest paradoksalne i, rzecz jasna, zawiera w sobie zaczyn napięć i konfliktów. Istnieje przecież – co wielokrotnie podkreślał ks. Michał Heller – absolutny brak proporcji między środkami użytymi do wyrażenia Tajemnicy a treścią

Press 1986; David C. Lindberg, *The Beginnings of Western Science*, Chicago and London: The University of Chicago Press 1992; John Brooke and Geoffrey Cantor, *Reconstructing Nature. The Engagement of Science and Religion*, Edinburgh: T&T Clark 1998; Olaf Pederson, *The Two Books. Historical Notes on Some Interactions Between Natural Science and Theology*, ed. by G.V. Coyne & T. Sierotowicz, Vatican: Vatican Observatory Foundation, 2007; Olaf Pederson, *Konflikt czy symbioza?*, tłum. W. Skoczny, Tarnów: Biblos 1997; Ronald L. Numbers (ed.), *Wyrok na Galileusza i inne mity o nauce i religii*, tłum. M. Romanek, Warszawa: Centrum Myśli Jana Pawła II, 2010.

samej Tajemnicy¹²⁸. Zarodki konfliktu mieszczą się zatem w samym Piśmie Świętym czy, mówiąc ogólniej, w samej teologii (bo Pismo Święte można uznać za źródłowy traktat teologiczny). Ale to nieusuwalne źródło wzajemnych napięć – zauważmy – nie ma jedynie destrukcyjnego skutku. Przeciwnie, ono ma także skutek dobroczynny, bo jest warunkiem rozwoju myślenia religijnego, a zatem i teologii. Gdyby człowiek nie odczuwał tego napięcia, miałby znacznie słabszy motyw (jeśli w ogóle miałby jakikolwiek motyw!), aby podejmować refleksję teologiczną¹²⁹. Z drugiej strony, odczuwane napięcie daje o sobie znać także w refleksji nad badaniem naukowym. Wiadomo, że nauki przyrodnicze uprawiane są w duchu naturalizmu metodologicznego. Jak obrazowo mówimy, naukowiec nie może wyjaśniać naukowych problemów odwołując się do czynnika nadnaturalnego (Pana Boga), bo wówczas przestałby być naukowcem. Ten metodologiczny postulat prowadzi do szukania samowystarczalnych (a więc „a-teistycznych”, „bez-bożnych”) wyjaśnień problemów naukowych. Historia nauki utkana jest z prób szukania takich samowystarczalnych wyjaśnień. Ta sama historia uczy jednak, że w tym momencie, w którym wyjaśnienie zdaje się wprowadzać naukowców do raju samowystarczalności, na horyzoncie pojawiają się problemy, które ukazują braki samowystarczalnych obietnic. Czym są te braki, które sprawiają, że badanie zdaje się nie mieć końca? Patrząc z perspektywy filozoficznej, są one wyrazem tego samego napięcia, któremu przypisaliśmy wyżej rolę generatora refleksji teologicznej. Tym razem rzeczywistość, rozważana w ramach rygorystycznej metody naukowej, zdaje się wskazywać na jakąś Tajemnicę, która nie daje się podporządkować skutecznej naturalistycznej metodzie naukowej.

Zadajmy sobie pytanie, jak układają się wzajemne relacje nauki i teologii po odrzuceniu tezy o konflikcie? Według popularnego ujęcia metodologów trzy stosunki wyczerpują wzajemne odniesienie rozumu do wiary, i odwrotnie. Są to: 1) integracja, czyli pełne zjednoczenie treści otrzymywanych drogą poznania rozumowego i poznania przez wiarę; 2) separacja, czyli całkowite oddzielenie wyżej wymienionych treści; oraz 3) eksplikacja, czyli próba ukazania tak obcości, jak i powinowactwa poznania rozumowego i poznania przez wiarę. Pierwsze ujęcie, optujące za całkowitą harmonią, jest utopijne: dotychczas nikomu nie udało się go zrealizować. Historyczne próby realizacji postulatu pełnej zgody czy zjednoczenia przyniosły przykłady zgody wymuszonej, najczęściej przez eliminację drugiej strony. Ten „konkordyzm zdegenerowany” występował albo w postaci scjentyzmu, który nie uznaje innego poznania prócz poznania

¹²⁸ Michał Heller, *Wszechświat i Słowo*, Kraków: Wyd. Znak, 1980.

¹²⁹ Stanisław Wszolek (red.), *Refleksje na rozdrożu. Wybór tekstów z pogranicza wiedzy i wiary*, Tarnów – Kraków, Biblos – OBI, 2000; zob. ostatni artykuł.

naukowego, albo fundamentalizmu religijnego, który z kolei nauce – o ile przeczy dosłownej lekturze Biblii – odmawia wartości poznawczej. Natomiast stanowisko separacji polega na tak zdecydowanym oddzieleniu obszarów rozumu i wiary, że między nimi nie może powstać żadne oddziaływanie. W efekcie rzeczywiste oddziaływanie, znane z historycznych głośnych sporów, muszą być tłumaczone zawinioną niekompetencją uczestników debaty.

Wydaje się, że oba wymienione dotychczas stanowiska (tj. integracja i separacja) proponują pozorne rozwiązanie polegające na zniesieniu problemu: pierwsze przez eliminację strony przeciwnej, drugie przez zakaz wzajemnego kontaktu. Trudno się dziwić, że nie mogą zostać przyjęte za wzorzec oddziaływania nauki i wiary. Trzecie stanowisko, eksplikacja, polega na uznaniu odmienności poznania rozumowego i poznania przez wiarę, a zarazem na dopuszczeniu rzeczywistych oddziaływań. W tak ogólnym ujęciu eksplikacja również nie rozwiązuje problemu; pozwala jedynie na jego oświetlenie – ukazanie złożoności problematyki pogranicza, wytłumaczenie zarówno odrębności pojęć naukowych i teologicznych, jak i związków, które mogą między nimi wystąpić. Uznając eksplikację za najlepsze ustawienie wzajemnych odniesień poznania rozumowego i poznania przez wiarę, skazujemy się na nieustanne rozwiązywanie problemu rozumu i wiary¹³⁰.

Przypomniana typologia jest tyleż pożyteczna, co niewystarczalna. Czytając dotychczasowy tekst uważny czytelnik mógł odczuwać irytację z powodu luźnego posługiwania się terminami: nauka, wiara, rozum, religia, czy teologia. Istotnie, złożoność zagadnień związanych z problematyką pogranicza ujawnia się już na poziomie terminologii. Jeśli relacje te określimy mianem „nauka – wiara”, to problem zdaje się mieć naturę intelektualno-psychologiczną. Można go wyrazić pytaniem: jak naukowiec może być człowiekiem wierzącym? Jeśli mówimy o relacji „nauka –

¹³⁰ Zwięzłe przedstawienie typologii m.in. w: Stanisław Wszolek, *Wprowadzenie do filozofii religii*, Kraków” Wydawnictwo WAM, 2005. W ramy „scenariusza eksplikacyjnego” wpisują się dwie doniosłe wypowiedzi Jana Pawła II: *List* do o. George’a Coyne’a z 1988 i encyklika *Fides et ratio* z 1998. W obu dokumentach Papież broni tezy, że wytworzona w ciągu wieków obcość Akademii i Kościoła jest wynikiem pewnych narosłych w ciągu dziejów uprzedzeń, które można dziś łatwiej zrozumieć i, w pewnym sensie, usunąć. W efekcie możliwa jest współpraca, która niesie korzyści dla obu stron. Na pytanie, jakie to są korzyści?, Jan Paweł II odpowiada w słynnym dziś już zdaniu: „Badanie naukowe może przyczynić się do ‘oczyszczenia religii z błędów i przesądów’, natomiast religia może pomóc badaczom uwolnić się od absolutyzowania badania naukowego”. Przykładem oczyszczenia religii chrześcijańskiej jest zmiana obrazu świata i pewnych wyobrażeń, które są z nim skorelowane, dokonana pod wpływem poznania naukowego. Natomiast zaangażowanie religijne, zarówno w wymiarze praktyki jak i intelektualnego zrozumienia o co w religii chodzi, chroni naukowców przed absolutyzowaniem metody naukowej i jej wyników.

teologia”, to rozważamy wzajemny stosunek dwóch dyskursów: naukowego i teologicznego (który rzecz jasna jest również naukowy, ale nie w sensie „scientific”). Gdy natomiast mówimy o relacji „nauka – religia”, wówczas staje przed nami zadanie zbadania złożonych stosunków łączących instytucje, Akademię i Kościół. Terminologia się skomplikuje, gdy uwzględnimy kolejne słowo kluczowe, mianowicie: „filozofia”. Z pewnym zastrzeżeniem można by je podstawić za słowo „nauka” i wtedy po jednej stronie mielibyśmy *naukę, filozofię, rozum*, a po drugiej: *religię, teologię, wiarę*. Sprawa jest jednak daleka od uporządkowania i dlatego w dotychczasowym wykładzie posługiwałem się wymienionymi terminami dość swobodnie, w sensie umożliwiającym ich zastąpienie i wymianę. Niemniej już sam namysł nad znaczeniem kluczowych terminów prowadzi do dość oczywistej sugestii, że stanowisko oddane słowem „separacja” zasługuje na uwagę, gdy mamy do czynienia z relacją nauki i teologii. Separacja staje się natomiast nie do przyjęcia, gdy zaczynamy rozprawiać o stosunku rozumu do wiary. Poniżej spróbujemy wyrazić tę myśl nieco jaśniej posługując się formułą zawartą w tytule: *separacja dyskursów – eksplikacja sensów*. Objaśnienie sensu tej formuły rozpoczniemy od przypomnienia dwóch historycznych przykładów sporów i debat dotyczących (1) początku świata i (2) zadziwiających zdarzeń, które w języku potocznym nazywamy cudami.

Początek świata z perspektywy naukowej i religijnej: Georges Lemaître

W 1931 roku wybitny astrofizyk z Cambridge Arthur Eddington opublikował artykuł *The end of the world: the standpoint of mathematical physics*¹³¹. W pracy tej Eddington zastanawiał się nad śmiercią cieplną wszechświata, tj. stanem, w którym „starzejący się” wszechświat osiąga stan maksymalnego nieuporządkowania, czyli, jak mówią fizycy, entropii. Historia wszechświata „oglądana” przez pryzmat entropii, lecz w odwrotnym kierunku prowadzi do „momentu”, w którym świat znajdował się w stanie maksymalnego porządku, tj. minimalnej, czyli zerowej entropii. Myśląc o tym szczególnym punkcie, o tym „nagłym końcu czasoprzestrzeni [...] który ogólnie nazywany jest ‘początkiem’” Eddington napisał, że: „filozoficznie rzecz biorąc, pojęcie początku obecnego porządku Natury jest dla mnie odrażające”¹³². Eddington nie był ateistą, lecz zdeklarowanym kwakrem; i jego mocne sformułowanie – jak tłumaczą historycy idei – było

¹³¹ Historię przedstawiam za pracami D. Lamberta. Zob.: Dominique Lambert, *Les origines de l'hypothèse de l'atome primitif: une perspective nouvelle*, “Revue des questions scientifiques”, nr 176, 2005, 187-200; Dominique Lambert, *Droga duchowa Georgesa Lemaître’a*, tłum. W. Załuski i K. Mrówka, Tarnów: Biblos 2012; Dominique Lambert, *The Atom of the Universe. The Life and Work of Georges Lemaître*, Kraków: Copernicus Center Press 2015.

¹³² *Droga duchowa Georgesa Lemaître’a*, s. 53.

związane z religijnymi przekonaniem astronoma, który uznawał początek świata za metafizyczną czy religijną ideę stworzenia i nie chciał w żaden sposób mieszać opisu przyrody z tym, co ujawniało wewnętrzne objawienie religijne, tak istotne dla kwaków. Takie „mieszanie” byłoby z punktu widzenia filozoficznego „odrażające”, gdyż stwarzałoby ryzyko przekształcenia rzeczywistości transcendentnej (tj. początku jako stwarzania przez Boga) w rzeczywistość czysto immanentną (początek wszechświata opisywany przez fizyków).

To co odrażało Eddingtona, ksiądz Georges Lemaître, podówczas profesor Katolickiego Uniwersytetu w Louvain, uznał za fascynujące. Odpowiadając na zastrzeżenia Eddingtona, swojego nauczyciela z Cambridge, w maju 1931 r. opublikował on krótki tekst p.t.: *The beginning of the world from the point of view of quantum theory*. Nawiązał w nim do kwantowej interpretacji drugiej zasady termodynamiki i przeprowadził następujący wywód. Zgodnie z teorią kwantową wzrostowi entropii musi towarzyszyć wzrost liczby kwantów. Gdy cofamy się w przeszłość, entropia maleje i zmniejsza się liczba kwantów. Jest rzeczą rozsądną przyjąć, że w bardzo odległej przeszłości, „w granicy” – jak mówią fizycy – cała energia wszechświata jest skupiona w jednym kwancie. A to oznacza, że „bez wątpienia możemy sobie wyobrazić początek świata w postaci jedyne go atomu, którego ciężar atomowy stanowi masę całego wszechświata”¹³³.

Pojęcie atomu pierwotnego dobrze oddaje poglądy Lemaître’a na temat początkowego stanu materii. Już we wcześniejszych tekstach dawał on wyraz przekonaniu, że początkowym stanem wszechświata mogło być światło (promieniowanie). Obecnie podkreślił, że promieniowanie rozpatrywane z punktu widzenia kwantowego składa się z paczek energii, z kwantów. Zatem atom pierwotny jest unikalnym kwantem, z którego, w wyniku kolejnych rozpadów, powstała cała energia-materia istniejąca w aktualnym wszechświecie.

Historycy idei ujawnili, że hipoteza atomu pierwotnego pozostaje w doskonałej spójności z tematem symbolicznej egzegezy *Genesis 1*, którą młody Lemaître był zafascynowany w czasach studenckich¹³⁴. Można powiedzieć, że formułując tę hipotezę Lemaître osiągnął punkt, w którym jego religijne intuicje znalazły czytelny wyraz w obszarze naukowym. W pierwotnej wersji omawianego artykułu znajduje się fragment, który został usunięty przez autora przy ostatecznej korekcie. Głosi on: „Myślę, że każdy, kto wierzy w najwyższą istotę podtrzymującą wszelkie istnienie i wszelkie działania, wierzy także, że Bóg jest co do swej istoty ukryty, oraz może się cieszyć widząc, jak współczesna fizyka dostarcza zasłony

¹³³ Droga duchowa Georges Lemaître’a, s. 53-54.

¹³⁴ Jej wykład znajduje się w dzienniku jego flamandzkiego przyjaciela Jorisa van Severena. Więcej w: Droga duchowa Georges Lemaître’a, rozdz. 3.

skrywającej stworzenie”¹³⁵. Lambert jest przekonany, że szybkość reakcji Lemaître’a na tezy Eddingtona oraz jego zapal w bronieniu zgodności naukowego początku wszechświata z pojęciem stworzenia w sensie teologicznym wyraźnie pokazują, że problematyka początku wszechświata znajdowała się w samym sercu najgłębszych idei Lemaître’a od czasów studenckich. A to oznacza, że korzenie hipotezy atomu pierwotnego tkwią nie tylko w czysto naukowym rozumowaniu odwołującym się do termodynamiki czy teorii kwantów, lecz także w ideach religijnych wskazanych w końcowym fragmencie artykułu z maja 1931 r. (usuniętym z jego wersji ostatecznej). Jednym słowem, w latach 30. Lemaître był konkordystą.

Sytuacja uległa zmianie na skutek reakcji otoczenia naukowego. Dość szybko pojawiły się głosy, że hipoteza atomu pierwotnego została przedstawiona w celach apologetycznych. Albert Einstein wyraził tę opinię już w 1931 roku i odtąd Lemaître musiał się z nią stale mierzyć. Z perspektywy czasu, wspominając swoje spotkania z Einsteinem, Lemaître napisał: „kiedy mówiłem mu o moich ideach o pochodzeniu promieni kosmicznych, wtedy reagował żywo: ‘Mówił Pan o tym Milikanowi?’ Ale kiedy mówiłem mu o atomie pierwotnym, wtedy zatrzymywał mnie: ‘Nie, nie to, to za bardzo sugeruje stworzenie’”¹³⁶. Jak można się domyślać, krytyka wpłynęła na zachowanie belgijskiego księdza, który musiał się bronić na dwóch frontach. Uczonym, jak Einstein starał się wykazać, że hipoteza atomu pierwotnego ma swoje uzasadnienie na gruncie naukowym, natomiast ateistycznym, ale także religijnym separatystom starał się dowieść, że naukowe postępy nie zagrażają wierze religijnej. Badanie pism astronoma ukazuje, że w wypowiedziach Lemaître’a z tego okresu pojawiają się sformułowania i tematy, które zdają się wskazywać na odejście od konkordystycznego ujęcia, mianowicie: koncepcja dwóch dróg prowadzących do jednej prawdy oraz koncepcja Boga ukrytego. Oba pojęcia można wpisać w strategię oddzielania nauki i wiary.

Szczytowym momentem tej strategii jest reakcja Lemaître’a na mowę *Un’Ora* papieża Piusa XII, z 22 listopada 1951 roku do członków Akademii Papieskiej. W mowie tej Papież zasugerował, że współczesna astrofizyka mogłaby dostarczyć cennych elementów do dowodów na istnienie Boga i tym samym wesprzeć doktrynę stworzenia *ex nihilo*. Oto znaczący fragment z przemówienia Piusa XII: „Z tym samym jasnym i krytycznym spojrzeniem, z którym [duch oświecony i wzbogacony przez współczesną wiedzę naukową] bada i osądza fakty, przewiduje i rozpoznaje dzieło twórczej Wszechmocy, której mądrość [*virtù*], wzbudzona przez mocne *Fiat*

¹³⁵ Fragment ten występuje w oryginalnym manuskrypcie zachowanym w Archiwum Lemaître’a w Louvain-La-Neuve (U.C.L.). Zob. *Droga duchowa Georges’a Lemaître’a*, 56.

¹³⁶ Wypowiedź z 1957 roku. Zob. *Droga duchowa Georges’a Lemaître’a*, 104.

wyłoszone miliardy lat temu przez Ducha Stworzyciela, rozpostarła się we wszechświecie, powołując do istnienia, w geście hojnej miłości, materię przeobfitą w energię. Doprawdy, wydaje się, że nauka dzisiaj, w jednej chwili cofająca się o miliony wieków, stała się świadkiem tego początkowego *Fiat Lux*, chwili, w której wyłonił się z nicości, wraz z materią, ocean światła i promieniowania, kiedy cząstki pierwiastków chemicznych dzieliły się i łączyły w miliony galaktyk”¹³⁷.

Lemaître trafnie – jak się później okazało – przewidział, że część uczonych zinterpretuje tę wypowiedź w duchu konkordyzmu (integracji) i, co więcej, uzna ją za wsparcie udzielone przez Papieża (mimo że Pius XII nie cytował kosmologa) dla koncepcji atomu pierwotnego. Przypuszcza się, że w 1952 roku astronom poprosił dyrektora *Specola Vaticana*, jezuitę O’Connella o przekazanie Ojcu Świętemu swej opinii. Nie jest jasne, co i kiedy zostało Piusowi XII przekazane, niemniej w późniejszych swych wypowiedziach Papież nigdy nie wyraził już tak zdecydowanego stanowiska. Natomiast ksiądz Lemaître stał się jeszcze bardziej ostrożny. Paul Dirac, laureat Nagrody Nobla z fizyki i kolega Lemaître’a z Akademii Papieskiej wspomina, iż rozmawiając z Lemaître’em na temat jego „fascynującego nowego obrazu wszechświata oraz o uczuciu wzbudzonym przez wielkość tego obrazu” dał wyraz swemu przekonaniu, że kosmologia jest „najbliższą religii gałęzią nauki” Nieoczekiwanie Lemaître zaprotestował i zasugerował, że to psychologia jest najbliższa religii¹³⁸.

Ten krótki przegląd ukazuje, że ksiądz Lemaître jako młody naukowiec był zafascynowany konkordyzmem (integracją); następnie, pod wpływem krytyki ze strony świata naukowego zaczął się wypowiadać w duchu dyskordyzmu (separacji), lecz w rzeczywistości najbliższy był stanowisku, które wyżej nazwaliśmy eksplikacją. Bliższa analiza wypowiedzi pozwala na ostrożny wniosek, że stanowisko Lemaître’a dałoby się wpisać w nasze

¹³⁷ Pius XII, „Discorso per la Sessione plenaria e per la Settimana di studio sul problema dei microsismi”, w: *Discorsi dei Papi alla Pontificia Academia delle Scienze (1936-1993)*, Pontificia Academia Scientiarum, 1994, ss. 81-94: È innegabile che una mente illuminata ed arricchita dalle moderne conoscenze scientifiche, la quale valuti serenamente questo problema, è portata a rompere il cerchio di una materia del tutto indipendente e autoctona, o perché increata, o perché creatasi da sé, e a risalire ad uno Spirito creatore. Col medesimo sguardo limpido e critico, con cui esamina e giudica i fatti, vi intravede e riconosce l’opera della onnipotenza creatrice, la cui virtù, agitata dal potente «*fiat*» pronunciato miliardi di anni fa dallo Spirito creatore, si dispiegò nell’universo, chiamando all’esistenza con un gesto d’amore generoso la materia esuberante di energia. Pare davvero che la scienza odierna, risalendo d’un tratto milioni di secoli, sia riuscita a farsi testimone di quel primordiale «*Fiat lux*», allorché dal nulla proruppe con la materia un mare di luce e di radiazioni, mentre le particelle degli elementi chimici si scissero e si riunirono in milioni di galassie.

¹³⁸ P.A.M. Dirac, *The scientific work of Georges Lemaître*, w: “Pontificia Academia Scientiarum. Commentarii”, II, nr 11, s. 14.

tytułowe sformułowanie: separacja dyskursów – eksplikacja sensów. Nie będziemy jednak podążać w tym kierunku. Zwróćmy uwagę na kwestie ogólniejszą i uwzględnijmy fakt, że z perspektywy współczesnej hipoteza pierwotnego atomu jest „antenatem” standardowego modelu kosmologicznego, zgodnie z którym ewolucja znanego nam Wszechświata rozpoczęła się w skończonej przeszłości od tajemniczego Wielkiego Wybuchu, czyli tzw. pierwotnej osobliwości, w której Wszechświat był – jak potocznie powiadamy – „skurczony do punktu”. Mówiąc jeszcze inaczej, Wszechświat wyłonił się ze stanu, o którym wiemy tylko tyle, że „osiąga się go, gdy pewne wielkości fizyczne zmierzają do nieskończoności, a inne są równe zeru”¹³⁹. Mówiąc nieco dokładniej: „W $t = 0$ przestrzeń fizyczna jest nadal trójwymiarowa, tzn. do zidentyfikowania jej punktów trzeba podać wartości trzech współrzędnych, a jednocześnie cała jest jednym punktem w sensie metrycznym, czyli odległość dowolnych dwóch jej punktów jest równa zeru. Fakt, że cała przestrzeń, nawet jeśli jest nieskończona, ma w pierwotnej osobliwości objętość równą zeru, oznacza z kolei osobliwy stan fizyczny kosmicznej materii. Jest ona nieskończenie ściśnięta, czyli gęstość i ciśnienie są nieskończone, co pociąga za sobą nieskończoną temperaturę.

W pierwotnej osobliwości załamuje się pojęcie przestrzeni jako takiej, a w konsekwencji – pojęcie prawa fizyki. Osobliwość taka stanowi granicę poznania.”¹⁴⁰

Uderza podobieństwo dwóch pojęć, wywodzących się z różnych dyskursów: osobliwości początkowej, o której mówią współcześni kosmologowie (i Lemaître) oraz *creatio ex nihilo*, o której od dawna rozprawiają teologowie. Są to dwa różne pojęcia, ich znaczenia są określone przez odmienne dyskursy, w które te są uwikłane, i w związku z tym należy je zawsze odróżniać. Z drugiej strony oba pojęcia „mierzą” w początek, a więc w rzeczywistość, która jest jedna, chociaż nie poznana do końca. Sens tej jednaj rzeczywistości na każdym etapie domaga się eksplikacji – z różnych punktów widzenia.

Miracula: Wittgenstein vs Newman

Rozważmy jeszcze jeden przykład dotyczący nieco innego obszaru. Tym razem skupimy się na dziwnych zjawiskach lub wydarzeniach, które w języku potocznym i teologicznym nazywamy cudami. Patrząc z perspektywy naukowej, z cudami jest kłopot – w nauce nie ma bowiem miejsca na cuda. Zwrócił na to uwagę Ludwig Wittgenstein podczas lektury pism kardynała Johna H. Newmana.

¹³⁹ Leszek M. Sokołowski, *Elementy kosmologii dla nauczycieli, studentów i dociekliwych uczniów*, Kraków: Zamków 2005, 62.

¹⁴⁰ Tamże, 61-2.

John Henry Newman napisał dwa eseje na temat cudów, obydwie przed przejściem na katolicyzm¹⁴¹. Pierwszy esej dotyczy tzw. cudów biblijnych, natomiast w drugim Newman zajmuje się cudami historii Kościoła. Porównanie obu prac jest pouczające, gdyż ukazuje pewną zmianę stanowiska ich autora. W pierwszej pracy Newman argumentuje zgodnie z popularną wówczas w anglikanizmie doktryną, głoszoną przez tzw. teologów ewidencjalnych (*evidence theologians*), że epoka cudów wyczerpuje się w wydarzeniach opisanych w Starym Testamencie, Ewangeliach i Aktach Apostolskich. Celem cudów było bowiem potwierdzenie Bożego natchnienia wyżej wymienionych pism oraz bóstwa Chrystusa. Wraz z apostołami epoka cudów się skończyła i tzw. cuda znane z historii wczesnego Kościoła są – mówiąc ogólnie – niepewne, jeśli nie są wręcz oszustwem. W pierwszym esej Newmana przyjmuje to stanowisko i w jego świetle odnosi się do historycznej debaty, która rozgorzała między Hume’em, Paine’em i Benthamem, a apologetami chrześcijańskimi broniącymi cudów biblijnych. W drugim esej Newmana powołuje się na zasadę ciągłości świętej historii i nie oddziela już radykalnie cudów zapisanych w Piśmie Świętym od potwierdzonych cudów w późniejszej historii Kościoła. Ten nowy sposób interpretacji jest dość bliski stanowisku Rzymskiego Kościoła Katolickiego. W końcowym fragmencie drugiego pisma Newmana przywołuje cuda związane z prześladowaniami chrześcijan przez Wandalów¹⁴², czym zajmujemy się za chwilę. Rozważaniom o cudach poświęcił Kardynał również fragment swej *Apologii*¹⁴³ i Ludwig Wittgenstein, który czytał pisma Newmana, przypuszczalnie zaznajomił się tylko z tym tekstem. Nie jest to pewne, ponieważ dysponujemy jedynie relacją „z drugiej ręki” na ten temat¹⁴⁴.

Przeczytawszy *Apologię* Wittgenstein miał się wyrazić w następujący sposób: „To zadziwiające. Jak człowiek o takim wykształceniu i kulturze może wierzyć w takie rzeczy! Newman miał dziwaczny umysł. Później [O.K.B.] nalegałem, aby to wyjaśnił. Czy „dziwaczny” znaczyło, że taki człowiek jak Newman został rzymskim katolikiem? Oh, nie. Najlepsi przyjaciele i studenci, jakich miałem, to konwertyci. Dziwaczność u Newmana poznajemy po rodzaju racji, jakimi uzasadnia zostanie

¹⁴¹ Pełny tekst obu esejów jest dostępny:

<http://www.newmanreader.org/works/miracles/index.html>

¹⁴² Zob. Wiktor z Wity, *Dzieje prześladowania Kościoła w Afryce przez Wandalów*, tłum., wstęp i komentarz Jan Czuj, Poznań 1930. *Pisma Ojców Kościoła*, t.14. Reprint: Poznań 2005.

¹⁴³ John H. Newman, *Apologia pro Vita Sua*, London: Sheed and Ward 1987 (¹1864).

¹⁴⁴ O. K. Bouswana, *Conversations 1949-1951*, w: *Wittgenstein. Conversations, 1949-1951*, ed. by J.L. Craft, R.E. Hustwit, Indianapolis: Hackett Publishing Company, 1986. Oets Kolk Bouwsma rozmawiał z Wittgensteinem w USA (Cornell University i Smith College) i w Oxfordzie, UK.

rzymskim katolikiem. W *O cudach* przytacza przypadek chrześcijan, którzy pojmani przez dzikich zostali pozbawieni języków, a mimo to mogli mówić. I Newman daje naturalne wyjaśnienie, że jeśli człowiek straci część języka to nie może mówić; a gdy straci cały język, to może mówić. Następnie jednak powiada, że to w dalszym ciągu może być cudem...¹⁴⁵. Tekst Wittgensteinowa nie jest zbyt jasny. Filozof zdaje się sugerować, że Newman oddziela tych męczenników, którym wycięto kawałek języka od tych, których pozbawiono całego języka; i że dopatruje się cudu w tym, że okaleczeni mogli mówić, a równocześnie jest skłonny dopuścić naturalistyczne wytłumaczenie zadziwiającego przypadku zdolności mowy u tych, którzy stracili cały język. Sprawa zasługuje na dokładniejsze zbadanie. Niemniej dokładna lektura późniejszego wydania *Apologii* Newmana natychmiast pomaga zrozumieć zarówno niejasne uwagi Wittgensteina, jak i problemy z nimi związane.

Newman opublikował *Apologię* w 1864 roku. Niebawem zwrócono mu uwagę, że w artykule z 22 maja 1858 roku opublikowanym w *Notes and Queries* zostały przytoczone świadectwa, że niektórzy ludzie, którym wycięto cały język mogli mówić. Co więcej, sprawa ta była przedmiotem namysłu, skoro pewne osoby pobawione tylko części języka – według tych samych świadectw – godziły się na operację wycięcia całego języka, aby mogły mówić. Zapoznawszy się z tymi relacjami w 1870 roku Newman uzupełnił swój tekst o dłuższy przypis, w którym przytoczył wspomniane świadectwa, a następnie je skomentował. „Nie byłbym szczery, gdybym powiedział, że zostałem przez te świadectwa po prostu nawrócony, aby wierzyć, iż w przypadku wyznawców afrykańskich nie było nic cudownego. Uczciwie można zachować sceptycyzm co do jednej strony zagadnienia, jak i drugiej; jeśli Gibbona uznajemy za godnego pochwały za uparte podważanie wiarygodności świadectw za tym cudem; to nie rozumiem, dlaczego miałbym być ganiony za domaganie się dalszych uzasadnień nowszych świadectw, które mają zdyskredytować ten cud. Sprawy dotyczące faktów nie mogą być obalane przywołaniem analogii czy przesądów; gruntowne wieloaspektowe badanie musi dotyczyć każdego poszczególnego przypadku, tak jak on się przedstawia, z osobna. Powiedziawszy to, zgadzam się w pełni, że przytoczone świadectwa dyskredytujące cud, *prima facie* wydają się na tyle spójne, że dopóki nie udowodni się, iż nie mają znaczenia [dla sprawy], katolicy nie powinni się do nich odwoływać w spornych celach¹⁴⁶.

¹⁴⁵ O. K. Bouswana, *Wittgenstein Conversations 1949-1951*, s. 35.

¹⁴⁶ Zob. pełny tekst z *Apologii*, s. 206-207: However, a few years ago an article appeared in *Notes and Queries* (No. for May 22, 1858), in which various evidence was adduced to show that the tongue is not necessary for articulate speech.

Jak widać, Newman wcale nie wygłaszał dziwacznych opinii, które mu przypisuje Ludwig Wittgenstein. Stanowisko Newmana jest bowiem dość jasne, jeśli rozważymy je w świetle naszej formuły: separacja dyskursów – eksplikacja sensów. Pojęcie cudu należy do dyskursu teologicznego, tj. do dyskursu, w którym istnienie Boga działającego w świecie jest założone. Jeśli jest Bóg, który troszczy się o stworzenie, to pewne niezwykle zdarzenia – gdy mają miejsce w religijnym kontekście – są przez wierzących uznawane za szczególne znaki Bożej obecności. Te same wydarzenia – patrząc z perspektywy naukowej – są niezrozumiałe i, jak już wspomnieliśmy, nie mogą być elementem dyskursu naukowego¹⁴⁷. Jak tak, ponieważ nauka nie dysponuje sposobem sensownego ich badania. Czy

1. Colonel Churchill, in his 'Lebanon,' speaking of the cruelties of Djezzar Pacha, in extracting to the root the tongues of some Emirs, adds, "It is a curious fact, however, that the tongues grow again sufficiently for the purposes of speech".

2. Sir John Malcolm, in his *Sketches of Persia*, speaking of Zâb, Khan of Khisht, who was condemned to lose his tongue, "This mandate," he says, "was imperfectly executed, and the loss of half this member deprived him of speech. Being afterwards persuaded that its being cut close to the root would enable him to speak so as to be understood, he submitted to the operation and the effect has been that his voice, though indistinct and thick, is yet intelligible to persons accustomed to converse with him ... I am not an anatomist, and I cannot therefore give a reason why a man, who could not articulate with half a tongue, should speak when he had none at all; but the facts are as stated."

3. And Sir John McNeil says, "In answer to your inquiries about the powers of speech retained by persons who have had their tongues cut out, I can state from personal observation that several persons whom I knew in Persia, who had been subjected to that punishment, spoke so intelligibly as to be able to transact important business ... The conviction in Persia is universal, that the power of speech is destroyed by merely cutting off the tip of the tongue; and is to a useful extent restored by cutting off another portion as far back as a perpendicular section can be made of the portion that is free from attachment at the lower surface ... I never had to meet with a person who had suffered this punishment, who could not speak so as to be quite intelligible to his familiar associates."

I should not, however, be honest, if I professed to be simply converted by their testimony, to the belief that there was nothing miraculous in the case of the African confessors. It is quite as fair to be sceptical on one side of the question as on the other; and if Gibbon is considered worthy of praise for his 'stubborn incredulity' in receiving the evidence for the miracle, I do not see why I am to be blamed, if I wish to be quite sure of the full appositiveness of the recent evidence which is brought to its disadvantage. Questions of fact cannot be disproved by analogies or presumptions; the inquiry must be made into the particular case in all its parts, as it comes before us. Meanwhile, I fully allow that the points of evidence brought in disparagement of the miracle are *primâ facie* of such cogency, that, till they are proved to be irrelevant, Catholics are prevented from appealing to it for controversial purposes.

¹⁴⁷ Por. Mieszko Tałasiewicz, *Racjonalność wiary w cuda*, Znak, maj 2011, nr 672: „Cuda nie są zagrożeniem dla nauki: nie obalają odkrywanych przez naukę praw ani nie zrównują nauki z legendą i fantazjowaniem. Nauka – także nauka uprawiana przez wierzących w cuda chrześcijan – ma cuda ignorować. Nauka ma odkrywać i opisywać regularności i prawa, nie zatrzymując się nad cudownymi wyjątkami”.

oddzielenie obu dyskursów wyczerpuje rozumne (racjonalne) potraktowanie dziwnych zdarzeń zwanych w języku potocznym cudami? Tak zdaje się sądzić L. Wittgenstein, o którym skądinąd wiemy, że w sprawie rozumu i wiary jest zdecydowanym separatystą i w wielu swych pismach daje wyraz tzw. *a-poznawczej* koncepcji wiary religijnej. Wiara – w ujęciu Wittgensteina – nie ma nic wspólnego z poznaniem. Ludzie wierzący przyjmują na przykład opowiadania ewangeliczne nie dlatego, że są prawdziwe, lecz dlatego, że je miłują. Gdyby warunkiem uznania opowieści o życiu Jezusa miały być dowody stosowane w naukach historycznych, wówczas sama wiara uległaby zniszczeniu. Mówiąc językiem nawiązującym do historii teologii, Ludwig Wittgenstein jest fideistą – nie w sensie wyznawanej wiary, lecz w sensie rozumienia wiary religijnej¹⁴⁸. Z jego punktu widzenia wezwanie Newmana, aby zadziwiające zdarzenia poddać solidnemu badaniu co do ich faktyczności, jest dziwaczne, bo niszczy wierzenie. Newman patrzy na ten sam problem zupełnie inaczej. To że odróżniamy dwa dyskursy, naukowy i teologiczny, że zgadzamy się, iż w dyskursie naukowym nie ma nawet miejsca na pojęcie *miraculum*, wcale nie oznacza zamknięcia racjonalnej dyskusji. Wszak zadziwiające zdarzenia można rozważać w szerszym kontekście niż kontekst naukowy. Jeśli patrząc z perspektywy naukowej osiągniemy wniosek, że zadziwiające zdarzenie jest niewytłumaczalne, wówczas – jako ludzie rzeczowi – możemy starać się ustalić to, co jest w danej sprawie możliwe do ustalenia. Uzyskana w ten sposób wiedza nie będzie wprawdzie miała statusu naukowego, ale będzie spełniać wszystkie te kryteria, którymi kierujemy się w życiu podejmując decyzje etc. Innymi słowy, badanie ściśle naukowe ma granice, a rozumny człowiek, tj. człowiek rozumiejący zarówno wartość, jak i ograniczenia badania naukowego, wychodzi poza te granice, gdy świadectwa doświadczalne tego wymagają.

Przedstawiliśmy pobieżnie dwa historyczne przykłady dotyczące relacji nauki i wiary w świetle formuły: *separacja dyskursów – eksplikacja sensów*, która, wydaje się, pomaga lepiej zrozumieć i wyrazić sedno złożonej problematyki pogranicza. Okazuje się, że pojęcia, których używamy mają historię; są zakorzenione w dyskursach, tj. w języku teorii i tradycji badawczych. Nie możemy ich dobrze zrozumieć w oderwaniu od tych tradycji. I tak, chcąc poznać znaczenie pojęcia *creatio ex nihilo*, trzeba odwołać się do tradycji teologicznej. Z kolei pojęcie *osobliwości początkowej* ma sens jedynie w kontekście historii kosmosu opisywanej

¹⁴⁸ Zob. Stanisław Wszolek, *Racjonalność wiary*, Kraków: WN PAT, 2003; zwłaszcza rozdz. p.t. „Wiara i język”.

przez standardowy model kosmologiczny. Jednak z pomocą obu odmiennych pojęć staramy się mówić o początku, a zatem – docelowo – o tej samej rzeczywistości. Odróżniamy więc dyskursy po to, aby lepiej rozumieć sens początku. (I wniosek ten pozostanie ważny także wtedy, gdyby teoria Wielkiego Wybuchu została odrzucona.) Pojęcie cudu jest ściśle związane z językiem religijnym i teologicznym; w języku naukowym w ogóle nie ma miejsca na *miraculum*. Jednak podczas teologicznych dyskusji nad cudami korzystamy z pomocy naukowców (np. lekarzy), którzy są potrzebni, aby powiedzieć, że badane zdarzenie w świetle naszej najlepszej wiedzy naukowej jest niezrozumiałe. Bez takiego orzeczenia nie byłaby możliwa eksplikacja sensu dziwnego zdarzenia, które w języku religijnym nazywamy cudem.